

MARCEL PROUST

**Strona Guermantes,
część pierwsza, tom
drugi**



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

MARCEL PROUST

W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU

Strona Guermantes

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

CZĘŚĆ PIERWSZA, TOM DRUGI

Wybierając się do Paryża, Saint-Loup obiecał zaprowadzić mnie do pani de Villeparisis, gdzie, mimo iż nie zdradzając tego, miałem nadzieję spotkać panią de Guermantes. Zaprosił mnie na śniadanie ze swoją kochanką, którą odprowadzilibyśmy później do teatru na próbę. Mieliśmy się wybrać po nią rano w okolice Paryża, gdzie mieszkała.

Prosiłem Roberta, żeby zjeść śniadanie w restauracji (w życiu złotej młodzieży puszczającej pieniądze restauracja gra rolę równie ważną jak skrzynie z tkaninami w arabskich powieściach), gdzie Aime, jak mi to oznajmił, miał pełnić obowiązki „metrdotela” w oczekiwaniu sezonu w Balbec. Dla mnie, co marzyłem o tylu podróżach, a robiłem ich tak mało, wielki urok miało spotkanie człowieka, który stanowił część już nie tylko moich wspomnień z Balbec, ale samego Balbec, który jeździł tam co rok, który, kiedy niedomaganie lub wykłady zatrzymywały mnie w Paryżu, oglądał mimo to, w ciągu długich schyłków lipcowych popołudni, zanim goście zaczęli się schodzić na obiad, zachodzące i tonące w morzu słońce; patrzył na nie przez szklane tafle wielkiej jadalni, poza którymi, w porze, gdy słońce gasło, nieruchome skrzydła dalekich i błękitnych statków robiły wrażenie egzotycznych motyli nocnych w witrynie. Kelner ten, sam namagnesowany przez swój kontakt z potężnym magnesem Balbec, stał się z kolei dla mnie magnesem. Spodziewałem się przez rozmowę z nim znaleźć się już niejako w styczności z Balbec, zakosztować na miejscu nieco czaru podróży.

Wyszedłem rano z domu, gdzie zostawiłem Franciszkę biadającą, ponieważ lokaj księżnej znowu poprzedniego dnia nie mógł odwiedzić narzeczonej. Franciszka zastała go we łzach; o mało nie spoliczkował odźwiernego, ale się opanował, bo zależało mu na miejscu.

Zanim się spotkałem z Robertem, który miał mnie oczekiwać u siebie przed bramą, natknąłem się na pana Legrandina, którego straciliśmy z oczu od czasu Combray; mocno już szpakowaty, zachował w rysach coś młodego i serdecznego. Zatrzymał się:

— Ha, ha! — rzekł — widzę, że z pana cały elegant. W tużurku! Ten tużurek, to liberia, z którą moja niepodległość nie umiałaby się pogodzić. Prawda że z pana teraz człowiek światowy, chodzi pan z wizytami. Na to aby pomarzyć, jak ja to czynię, nad jakimś wpół zniszczałym grobem, moja marynarka i mój fontaż wystarczą. Wie pan, jak cenię piękno pańskiej duszy; pojmuję pan, jak musi mnie boleć to, że pan idzie się jej zapierać między niewiernymi. Mogąc wytrzymać bodaj chwilę w dusznej atmosferze saloonów — którą nie umiałbym oddychać — ściga pan na swoją przyszłość klątwę Proroka. Zgaduję, widzę: bywa pan u ludzi czczych, u posiadaczy zamków i pałaców; oto klątwa dzisiejszej burżuazji. Och, ta arystokracja! terror popełnił wielki błąd, że im wszystkim nie zdjął głów z karku. Wszystko lajdaki lub krety. Ale cóż, moje biedne dziecko, skoro to cię bawi! Podczas gdy ty spieszysz na jakiś *five o'clock*, twój stary przyjaciel będzie szczęśliwszy od ciebie; włócząc się samotnie po zaułkach miasta, będzie oglądał różowy księżyc na fioletowym niebie. To fakt, że ja na wpół tylko żyję na tej ziemi, gdzie czuję się wygnąncem; trzeba całej mocy praw ciężenia, aby mnie na niej zatrzymać, abym się nie wymknął w inną sferę. Jestem z innej planety. Bywaj; nie bierz pan za złe staroświeckiej szczerości wieśniaka znad Vivonne, który zachował prostotę wieśniaczą. Aby ci dowieść mojego szacunku, przyślę ci swoją ostatnią powieść. Ale to ci się nie będzie podobało; to nie dosyć zepsute, nie dosyć *fin de siecle* dla ciebie; za szczere, za uczciwe; tobie trzeba Bergotte’a, przyznałeś to sam, trzeba zapaszku zgnilizny na zblazowane podniebienia smakoszków. Muszą mnie uważać w pańskim kółku za weterana; popełniam ten błąd, że wkładam serce w to, co piszę, to już nie w modzie; przy tym życie ludu nie jest dość dystygowane, aby mogło interesować wasze snobinetki. Do widzenia; staraj się wspomnieć od czasu do czasu słowa Chrystusa: „Czyn tak, a będziesz żył”. Bywaj, przyjacielu.

Pożegnałem Legrandina bez zbytniej urazy. Pewne wspomnienia są niby wspólne przyjaciele, umieją nas godzić. Drewniany mostek wśród pól usianych jaskrami, grzebiących feudalne ruiny, łączył Legrandina i mnie niby dwa brzegi Vivonne.

Opuściliśmy Paryż, gdzie mimo zaczynającej się wiosny, drzewa na bulwarach ledwie miały pierwsze liście; kiedy podmiejska kolej przeniosła mnie wraz z Robertem do pobliskiej wioski, gdzie mieszkała jego kochanka, z zachwytem ujrzałem ogródki strojne olbrzymimi białymi ołtarzami kwitnących drzew owocowych. Było to jak gdyby jakieś

osobliwe, poetyczne, ulotne i lokalne święto, na które przyjeżdża się z bardzo daleka o stałych porach: ale to święto było dziełem natury. Kwiaty wiśni, tworząc niby białą pochwę, były tak ściśle przylepione do gałęzi, że z daleka, między drzewami zaledwie mającymi coś kwiatów i liści, zdawały się, w ów słoneczny dzień jeszcze tak zimny, niby śnieg, który stopniał gdzie indziej, a został jeszcze na drzewach. Ale wielkie grusze spowijały każdy dom, każdy skromny dziedziniec szerszą, jednolitszą, świetniejszą białą, tak jakby wszystkie domy, wszystkie zagrody tej wioski miały przystąpić tego samego dnia do pierwszej komunii.

Te siola w okolicach Paryża zachowują jeszcze u swoich wrót parki z XVII i XVIII wieku, kosztowne kaprysy finansistów i faworyt. Ogrodnik zużytkował jeden taki park, położony poniżej drogi, na szkółkę drzew owocowych (a może po prostu zachował rysunek olbrzymiego sadu z owych czasów). Posadzone w szachownice, mniej gęsto, grusze te, późniejsze od innych, tworzyły — podzielone niskimi murami — wielkie kwadraty białych kwiatów, z każdej strony odmiennie cieniowanych światłem, tak że wszystkie te powietrzne pokoje bez dachu robiły wrażenie salonów Pałacu Słońca, takiego, jaki można by odnaleźć kędyś na Krecie; przywodziły także na myśl przegrody rezerwuaru lub jakichś partii morza, które człowiek dzieli dla połowu lub hodowli ostryg, kiedy — zależnie od położenia — widziało się światło igrające na szpalerach niby na wodach wiosennych, rozpryskujące tu i ówdzie, migocącą pośród rzadkich i napełnionych lazurem sztachet — gałęzi — białą pianę rozslonecznionego i musującego kwiecia.

Była to dawna wioska, ze swoim starym merostwem ogorzałym i złocistym, przed którym, niby słupy szczęścia powiewające chorągiewkami, stały trzy wielkie grusze, dwornie wystrojone w białe atłas niby na świeckie i lokalne święto.

Nigdy Robert nie mówił czulej o swojej kochance niż podczas tej drogi. Ona jedna wypełniała jego serce; kariera wojskowa, wielki świat, rodzina, wszystko to nie było mu zapewne obojętne, ale nie liczyło się za nic wobec najmniejszego drobiazgu tyżącego jego kochanki. Była to jedyna rzecz mająca dlań urok; nieskończenie więcej uroku niż wszyscy Guermantowie i wszyscy królowie ziemi. Nie wiem, czy on to sobie mówił jasno, że ona jest istotą wyższą nad wszystko, ale to pewna, że cenił tylko to, dbał tylko o to, co się jej tyczyło. Przez nią był zdolny cierpieć, być szczęśliwym, może zabić. Naprawdę interesujące, pasjonujące, było dlań tylko to, czego sobie życzyła i co robiła jego kochanka; tylko to, co się działo na wąskiej przestrzeni jej twarzy i pod jej uświęconym czołem, czytelne co najwyżej w ulotnym wyrazie. Saint-Loup, tak pełen honoru we wszystkim innym, rozważał perspektywę świetnego małżeństwa jedynie pod tym kątem, żeby móc nadal utrzymywać swoją kochankę, zachować ją. Gdyby się spytać, na ile on ją szacuje, sądzę że nie podobna by sobie wyobrazić ceny dość wysokiej. Jeżeli się z nią nie żenił, to dlatego, że praktyczny zmysł mówił mu, iż, z chwilą kiedy by się już niczego nie spodziewała od niego, opuściłaby go, a przynajmniej żyłaby na własną rękę, i że trzeba ją trzymać nadzieją jutra. Bo Saint-Loup przypuszczał, że ona go może nie kocha. Bez wątpienia, ogólne uczucie zwane miłością, musiało — jak zawsze dzieje się u mężczyzn — skłaniać go do wierzenia chwilami, że ona go kocha. Ale w praktyce czuł, że ta miłość nie zmienia faktu iż ona żyje z nim jedynie dla pieniędzy i że, z chwilą kiedy się już nie będzie niczego spodziewała od niego, rzuci go (kochając go, ale będąc w tym ofiarą teorii swoich przyjaciół-literatów — myślał Saint-Loup).

— Zrobię jej dziś, jeżeli będzie miła — rzekł Robert — prezent, który ją ucieszy. Naszyjnik, który widziała u Bouchersona. Trzydzieści tysięcy franków: w tej chwili to trochę ciężko dla mnie. Ale pomyśl, to biedactwo niewiele ma radości w życiu. Ależ będzie kontenta! Wspominała mi o tym, mówiła, że zna kogoś, kto by jej może dał ten naszyjnik. Nie sądzę, aby to była prawda; ale na wszelki wypadek prosiłem Bouchersona, który jest nadwornym jubilerem mojej rodziny, aby mi go zarezerwował. Szalenie się cieszę, że ty ją poznasz; nie jest szczególnie piękna, wiesz (widziałem, że Robert myśli wręcz przeciwnie i że mówi tak jedynie po to, aby zwiększyć mój podziw); jest zwłaszcza cudownie inteligentna; przy tobie nie będzie może śmiała dużo mówić, ale cieszę się z góry na to, co mi powie później o tobie; wiesz, ona mówi rzeczy, które można zgłębiać bez końca, ma naprawdę coś pityjskiego.

Aby dotrzeć do domu, gdzie mieszkała, przechodziliśmy koło małych ogródków; nie mogłem się wstrzymać, aby nie przystawać, bo tonęły w kwieciu wiśni i gruszy; puste

z pewnością i niezamieszkałe wczoraj jeszcze niby niewynajęta posiadłość, nagle zaludniły się i wypiękniały dzięki tym nowo przybyłym, których piękne białe suknie widniały poprzez sztachety.

— Słuchaj, ja widzę, że ty chcesz podziwiać to wszystko, poetyczna istota — rzekł Robert — zaczekaj na mnie tutaj, moja mała mieszka tuż, pójdę po nią.

Czekając, przechadzałem się trochę między skromnymi ogródkami. Kiedym podniósł głowę, widziałem tu i ówdzie w oknach młode dziewczęta; równie młode pędy bżów, gibkie i lekkie w swoich świeżych sukienkach lila, zwisające wśród liści, kołysały się na wietrze, nie troszcząc się o przechodnia, wznoszącego oczy aż do pięterka ich zieleni. Poznawałem w nich fioletowe kłębki, narządzone u wejścia do parku pana Swanna — skoro się minie białą furtkę, w ciepłe wiosenne popołudnie — do cudnego prowincjonalnego haftu. Skierowałem się ścieżką wiodącą ku łące. Zimny wiatr dął jak w Combray; mimo to z tłustej, wilgotnej i wiejskiej ziemi, która mogłaby się znajdować nad brzegiem Vivonne, wykwitła — punktualna jak cała gromada jej towarzyszek — wielka biała grusza, potrząsająca z uśmiechem swoim kwieciami. Kwiaty te, zmierzwił wiatrem, ale wyglansowane i posrebrzone promieniami słońca, tworzyły niby firankę zmaterializowanego i dotykającego światła.

Naraz Saint-Loup zjawił się w towarzystwie kochanki: i oto w tej kobiecie, która była dla niego wszystką miłością, wszystkim możebnym urokiem życia, w tej kobiecie, której istność, tajemniczo zamknięta w ciele niby w świętym tabernaculum, stanowiła przedmiot bez ustanku jeszcze bogacony wyobraźnią mego przyjaciela, przedmiot, którego, czuł to — nigdy nie miał poznać, o który się wiecznie pytał siebie, czym ona jest sama w sobie, poza zasłoną spojrzeń i ciała, w tej kobiecie poznałem natychmiast „Rachelę kiedy Pan”, tę co przed kilku laty — kobiety w tym świecie tak szybko zmieniają sytuację, o ile ją zmieniają! — mówiła do rajfurki:

— Zatem, jutro wieczór, jeżeli pani będzie mnie potrzebowała dla kogo, pośle pani po mnie.

I kiedy „posłano po nią” w istocie, i kiedy się znalazła sama w pokoju z owym „kimś”, wiedziała tak dobrze, czego się żąda od niej, że, zamknawszy drzwi na klucz — przez ostrożność przezornej kobiety lub rytualnym gestem — zaczynała się rozbierać, tak jak się robi u doktora przystępującego do auskultacji. Przerywała tę czynność jedynie o tyle, o ile „ktoś”, nie lubiąc nagości, powiedział jej, że może zostać w koszuli; jak niektórzy lekarze, którzy, mając bardzo bystry słuch, a bojąc się, aby się chory nie zaziębił, poprzestają na słuchaniu oddechu i serca przez białiznę. Całe życie, wszystkie myśli, cała przeszłość tej kobiety, wszyscy mężczyźni, do których mogła należeć, były dla mnie czymś tak obojętnym, że, gdyby mi to opowiedziała, słuchałbym tylko przez grzeczność i ledwie bym słyszał; i oto czułem, że niepokój, cierpienie, miłość Roberta przyrosły do niej tak, że zrobiły z niej — z tego, co dla mnie było mechaniczną zabawką — przedmiot nieskończonych cierpień, wręcz cenę istnienia. Widząc te dwa rozszczępione czynniki (dlatego że znałem „Rachelę kiedy Pan” z domu publicznego), pojmowałem, że wiele kobiet, dla których mężczyźni żyją, cierpią, zabijają się, mogą być same w sobie lub dla innych, tym, czym Rachelą była dla mnie. Myśl, że ktoś może czuć bolesną ciekawość jej życia, zdumiewała mnie. Mógłbym opowiedzieć Robertowi wiele jej miłości, które mi się zdawały czymś najobojętniejszym w świecie; a jakimż byłyby ciosem dla niego! I czegoż nie dał, aby się dowiedzieć o nich, i na próżno.

Pojmowałem, ile wyobraźnia ludzka może pomieścić w małym kawałku twarzy — jak u tej kobiety — jeżeli pierwsze jej poznanie nastąpiło w drodze wyobraźni; i na odwrót, na jak nędzne, pozbawione wszelkiej wartości i ceny składniki materialne może się rozłożyć to, co było celem tylu marzeń, jeżeli przeciwnie poznanie nastąpiło w drodze najtrywialniejszego faktu. Rozumiałem, że to co mi się zdawało niewarte dwudziestu franków wówczas, gdy mi to ofiarowano za dwadzieścia franków w domu schadzek, gdzie ona była dla mnie jedynie kobietą chcącą zarobić dwadzieścia franków, że to może być warte więcej niż milion, niż rodzina, niż wszystkie dobra świata, jeżeli się zaczęło od wyrojenia w niej istoty nieznannej, niezwyklej, nieuchwytniej, nieujarzmionej. Bez wątplenia, i Robert, i ja, obaj widzieliśmy tę samą szczupłą twarz. Ale doszliśmy do niej dwiema przeciwnymi drogami, które nie zetkną się ze sobą nigdy, i nigdy nie ujrzymy tej samej jej strony. Tę twarz, z jej spojrzeniami, uśmiechami, poruszeniami ust, ja po-

znałem z zewnątrz jako twarz byle jakiej kobiety, gotowej za dwadzieścia franków zrobić wszystko, co zechcę. Toteż spojrzenia, uśmiechy, poruszenia ust, wyrażały dla mnie jedynie akty ogólne, bez śladu czegoś indywidualnego, i nie byłbym ciekaw szukać w nich osoby. Ale to, co mnie poniekąd ofiarowano na wstępie, ta twarz gotowa do wszystkiego, było dla Roberta metą ostateczną, do której dążył poprzez ile nadziei, wątpliń, podejrzeń, marzeń! Dawał więcej niż milion, aby to posiadać, aby się nie dostało innym to, co mnie — jak każdemu — ofiarowano niegdyś za dwadzieścia franków. Że on tego nie dostał za tę cenę, mogło zależeć od przypadku chwili, chwili, w której ta, co zdawała się gotowa oddać, wymknie się, może mając schadzke, może z innego powodu, który każe się jej tego właśnie dnia opierać. Jeżeli ma do czynienia z naturą uczuciową, wówczas — nawet gdy tego nie spostrzeże, ale zwłaszcza gdy spostrzeże, zaczyna się straszliwa gra. Niezdolny strawić swego zawodu, wyrzec się tej kobiety, mężczyzna upędza się za nią, ona ucieka, tak że jeden uśmiech, którego nie śmiał się już spodziewać, kosztuje go tysiąc razy drożej niżby powinno kosztować całkowite posiadanie. Jeżeli, łącząc naiwność z tchórzostwem wobec cierpienia, popełni ktoś to szaleństwo, aby uczynić z dziewczki niedostępne bóstwo, zdarza się nawet czasem w tym wypadku, że nie dostąpi nigdy tego posiadania, a nawet pierwszego pocałunku; nie śmie nawet już o niego prosić, aby nie zadać kłamu swoim zapewnieniom idealnej miłości. Cóż za cierpienie wówczas, umrzeć, nie dowiedziawszy się nigdy, czym mógł być pocałunek kobiety, którą się najbardziej kochało.

Saint-Loup zdołał szczęśliwie uzyskać wszystkie fawory Racheli. Z pewnością, gdyby wiedział teraz, że ofiarowywano je całemu światu za cenę jednego ludwika, byłby z pewnością straszliwie cierpiał, ale i tak dałby milion, aby je zachować, wszystko bowiem, czego by się dowiedział, nie zdołałoby go sprowadzić — bo to jest ponad siły człowieka i może się zdarzyć jedynie mocą jakiegoś wielkiego naturalnego prawa — z drogi, na której się znalazł i skąd ta twarz była mu widzialna jedynie poprzez jego marzenia; stąd te spojrzenia, te uśmiechy, te drgania ust, były jedyną rewelacją osoby, której chciałby poznać prawdziwą istotę i sam jeden posiadać jej pragnienia. Nieruchomość tej wąskiej twarzy, niby ćwiartki papieru poddanej kolosalnemu ciśnieniu dwóch atmosfer, zdawała mi się zrównoważona dwiema nieskończonościami, które schodziły się na niej, nie stykając się, bo ona je rozdzielała. I w istocie, patrząc na nią, każdy z nas dwu widział ją po innej stronie tajemnicy.

I nie „Rachela kiedy Pan” wydawała mi się czymś drobnym; raczej czymś ogromnym wydawała mi się potęga ludzkiej wyobraźni, złudzenie, na jakim się opierają cierpienia miłości. Robert ujrzał, że jestem wzruszony. Odwróciłem oczy ku gruszom i wiśniom, aby myślał, że to ich piękność mnie wzrusza. I wzruszała mnie po trosze w ten sam sposób; objawiała mi również coś, co się nie tylko widzi oczami, ale czuje sercem. Kiedy widziałem te drzewa w ogrodzie i wziąłem je za cudzoziemskich bogów, czyż nie pomyliłem się jak Magdalena, kiedy, w innym ogrodzie, w dniu, którego rocznica miała niebawem nadejść, ujrzała postać ludzką i „myślała, że to ogrodnik”. Stróże wspomnień złotego wieku, piastuny obietnicy, że rzeczywistość nie jest tym, co się mniema, że przepych poezji, że cudny blask niewinności mogą w niej błyszczeć i mogą się stać nagrodą, na którą będziemy się starali zasłużyć, wielkie białe istoty cudownie pochylone nad cieniem zapraszającym do odpoczynku, do rybołówstwa, do lektury — czyż to nie były raczej anioły?

Wymieniłem kilka słów z kochanką Roberta. Poszliśmy na przełaj przez wieś. Domy były niechlujne. Ale obok najnędrniejszych, tych, co robiły wrażenie jakby spalonych deszczem siarki, tajemniczy podróźny, zatrzymawszy się przez jeden dzień w przeklętym mieście, błyszczący anioł stał prosto, rozpościerając nad nim olśniewającą opiekę kwiatnych skrzydeł niewinności: to była grusza.

Saint-Loup wysunął się ze mną trochę naprzód.

— Byłbym wołał czekać tu we dwójkę z tobą, wołałbym nawet zjeść śniadanie z tobą samym, i żebyśmy zostali sami do chwili, kiedy będzie czas iść do ciotki. Ale dla mojej biednej małej to jest taka przyjemność, i ona taka jest milusia dla mnie, że — rozumiesz — nie mogłem jej tego odmówić. Zresztą ona ci się spodoba; to dusza literacka, krzak gorejący; i to takie zabawne być z nią na śniadaniu w restauracji, jest taka miła, taka prosta, zawsze kontenta ze wszystkiego.

Ale mam wrażenie, że właśnie tego rana, i prawdopodobnie jedyny raz, Robert wyzwoił się na chwilę od kobiety, którą — siłą tkliwości — stworzył sobie powoli, i że nagle, na pewien dystans od siebie, ujrzał inną Rachelę, duplikat tamtej, ale absolutnie różny i ludzko podobny do przeciętnej kokotki. Opuściwszy piękny sad, mieliśmy wsiąść do pociągu, aby wracać do Paryża, kiedy idącą o kilka kroków przed nami Rachelę poznały i przywitały pospolite „pulki” — takie, jaką była ona — które, myśląc zrazu, że jest sama, zaczęły wołać: „O, Rachela, siadaj z nami, Lucy i Żużu są w wagonie, jest właśnie miejsce, chodź, pójdziemy potem na *skating*”. I już miały jej przedstawić dwóch żygolaków, swoich kochanków, którzy im towarzyszyli, kiedy, pod wpływem zakłopotanej miny Racheli, spojrzały ciekawie nieco dalej, spostrzegły nas i pożegnały ją przepaszając. Rachela odpowiedziała również pożegnaniem, trochę nieswojo, ale przyjaźnie. Były to dwie biedne podfruwajki, w kołnierzach z fałszywej wydry, wyglądające mniej więcej tak, jak Rachela, kiedy Saint-Loup spotkał ją po raz pierwszy. Nie znał ich z widzenia ani z nazwiska; ale widząc ich wyraźną zażyłość z jego „małą”, pomyślał, że Rachela miała może miejsce — może je ma jeszcze — w życiu przez niego niepodjętym, bardzo różnym od tego, jakie on pędził; w życiu, w którym kobietę ma się za jednego ludwika, gdy on dawał Racheli więcej niż sto tysięcy rocznie. Nie tylko ujrzał przelotnie to życie, ale zarazem ujrzał w nim Rachelę, całkiem inną od tej, którą znał, Rachelę podobną do dwóch małych pulek, Rachelę za dwadzieścia franków. W rezultacie Rachela rozdzieliła się na chwilę dla niego; w pewnej odległości od swojej Racheli, ujrzał Rachelę małą pulkę, Rachelę rzeczywistą, o ile przyjąć, że Rachela-pulka była rzeczywistsza od tamtej. Przyszło mu wówczas może na myśl, że z tego piekła, w którym żył, z perspektywą i koniecznością bogatego małżeństwa, sprzedaży nazwiska, po to aby móc nadal dawać Racheli sto tysięcy franków rocznie, mógłby się może łatwo wyrwać i mieć wszystko od swojej kochanki, jak owe żygolaki od tych kokotek, za byle co. Ale jak to zrobić? Nie zawiniła w niczym. Mniej obsypywana darami, byłaby mniej serdeczna, nie mówiłaby mu, nie pisała rzeczy, które go tak wzruszały i które cytował z pewną ostentacją swoim kolegom, podkreślając z naciskiem jej czułość, ale przemilczając, że ją utrzymuje bogato, a nawet że jej w ogóle daje cośkolwiek; że te fotografie z dedykacjami i te czułe telegramy reprezentują sto tysięcy franków, zagęszczone do swojej najwięźlejszej i najszacowniejszej formy. Jeżeli Saint-Loup zatajał fakt, że te skąpe czułości Racheli są przez niego opłacane, fałszem byłoby — mimo iż symplicystyczne rozumowanie robi to w stosunku do wszystkich płacących kochanków, w stosunku do tylu mężów — powiedzieć, że on to czyni przez miłość własną, przez próżność. Saint-Loup był na tyle inteligentny, aby pojąć, że wszystkie rozkosze próżności znalazłby łatwo i darmo w swoim świecie, dzięki swemu nazwisku i urodzie, i że przeciwnie, właśnie jego stosunek z Rachelą wytrącił go po trosze ze „świata”, zdeprecjonował go na giełdzie towarzyskiej. Nie, ambicja uchodzenia za posiadacza gratis oznak czułości tej, którą się kocha, to po prostu uboczny produkt miłości, potrzeba wmówienia w siebie i w drugich wzajemności istoty tak bardzo ukochanej.

Rachela zbliżyła się do nas, pozwalając dwóm podfruwajkom wsiąść do ich przedziału; mimo to, zarówno fałszywa wydra „pulek” i naburmuszona mina żygolaków, jak imiona Lucy i Żużu, przedłużyły na moment istnienie nowej Racheli. Przez chwilę Robert wyobraził sobie *place Pigalle*, nieznanych przyjaciół, plugawe miłostki, naiwne rozrywki popołudniowe, spaceru lub zabawy, w owym Paryżu, gdzie usłonecznienie ulic, począwszy od bulwaru Clichy wydawało mu się nie to samo, co słoneczna jasność, w której przechadzał się z kochanką; ale że musi być inne, bo miłość i zrośnięte z nią cierpienie mają, tak jak pijaństwo, moc różniczkowania przedmiotów. Podejrzewał w samym Paryżu jakiś nieznaną Paryż; jego stosunek z Rachelą wydał mu się niby zwiedzanie dziwnego życia; o ile bowiem, będąc z nim, Rachela była trochę podobna do niego samego, przeżywała z nim przecież część swego realnego życia, ba, najcenniejszą, dzięki szalonym sumom, jakie jej dawał; część życia, która budziła zazdrość jej przyjaciółek i miała jej kiedyś pozwolić osiąść na wsi lub pokusić się o wielką karierę teatralną, po uciulaniu okrągłej sumki.

Robert byłby chciał spytać Racheli, kto to są te Lucy i Żużu; o czym byłyby z nią mówiły, gdyby wsiadła do ich przedziału, na czym byłyby razem spędziły dzień, zakoń-

czony może — jako szczyt zabawy, po rozkoszach skatingu — w *taverne Olympia*, gdyby mnie i Roberta nie było. Przez chwilę tajemnice tego lokalu, dotąd żałośnie nudne, obudziły jego ciekawość; cierpienie jego oraz słońce tego wiosennego dnia oświeciły ulicę Caumartin, dokąd — gdyby nie poznała Roberta — Rachela poszłaby może teraz, aby zarobić ludwika. Uczuł skurcz serca. Ale na co zadawać pytania, kiedy wiedział z góry, że odpowiedzią będzie proste milczenie, albo kłamstwo, albo coś bardzo przykrego dla niego, co mu jednak niczego nie wyjaśni.

Konduktorzy zamykali drzwiczki. Wsiadliśmy do pierwszej klasy: cudowne perły Racheli znów przekonały Roberta, że to jest kobieta wielkiej ceny. Uściskał ją, przyjął ją z powrotem w serce, gdzie się jej przyjrzał, uwewnętrznionej, tak jak to zawsze robił dotąd — z wyjątkiem tej krótkiej chwili, gdy ją ujrzał na *place Pigalle* z obrazu impresjonisty i pociąg ruszył.

To była zresztą prawda, że ona była „literacka”. Bez przerwy mówiła do mnie o książkach, o nowej sztuce, o tolstoizmie; przerwała sobie jedynie, aby wyrzucać Robertowi, że pije za dużo wina.

— Och, gdybyś ty mógł żyć przez rok ze mną, zobaczyłbyś, dawałabym ci pić samą wodę i miewałbyś się o wiele lepiej.

— Doskonale, jedźmy gdzie.

— Wiesz przecie, że ja mam dużo pracy — (brała serio swój talent dramatyczny). — Zresztą, co by powiedziała twoja rodzina?

I rozwiódła się przede mną na temat jego rodziny w zarzutach, które mi się wydawały nader słuszne i które Saint-Loup — oporny na punkcie szampa — całkowicie uznawał. Ja, który się tak obawiałem dla Roberta wina i który czułem dobry wpływ jego kochanki, byłem już gotów radzić mu, aby posłał w diabły rodzinę. Łzy nabiegły do oczu młodej kobiecie, kiedy niebacznie poruszył temat Dreyfusa.

— Biedny męczennik — rzekła wstrzymując łkanie — oni go tam uśmiercą.

— Uspokój się, Zizi; wróci, będzie uniewinniony, prawda wyjdzie na wierzch.

— Do tego czasu on umrze! Ale bodaj jego dzieci będą nosiły nazwisko bez zmyy. Myśl o tym, ile on musi cierpieć, zabija mnie po prostu! I czy pan sobie wyobrazi, matka Roberta, kobieta nabożna, powiada, że powinni go trzymać na Diablej Wyspie, nawet jeżeli jest niewinny. Czy to nie ohyda?

— Tak, to najściślej prawda; mówi tak — rzekł Robert. — To moja matka, nie mam prawa jej sądzić; ale to pewna, że ona nie ma serca takiego jak Zizi.

W rzeczywistości, te śniadania, „takie miłusie”, kończyły się zawsze nader burzliwie. Z chwilą bowiem gdy Saint-Loup znalazł się z kochanką w jakimś lokalu, wyobrażał sobie, że ona patrzy na wszystkich mężczyzn, robił się ponury, ona widziała jego zły humor, który może dla zabawy podsycala, ale którego, jeszcze prawdopodobniej, przez głupią ambicję, zraniona jego tonem, nie chciała ułagodzić; udawała, że nie spuszcza oczu z jakiegoś mężczyzny, zresztą nie zawsze dla czystej zabawki. W istocie, niech tylko zdarzył się jakiś przystojny sąsiad w teatrze lub kawiarni, lub nawet prosty dorożkarz, Robert, ostrzeżony natychmiast przez swoją zazdrość, spostrzegał to wcześniej od Racheli; natychmiast widział w nim jednego z owych potworów, o których mówił mi w Balbec, co dla rozrywki deprawują i hańbią kobiety; błagał kochankę, aby nie patrzała na tego osobnika i tym samym zwracał na niego jej uwagę. Otóż czasami Rachela znajdowała że Robert ma wcale dobry gust w swoich podejrzaniach; przedstawiała go nawet drażnić, iżby się uspokoił i wyprawiała go z jakimś zleceniem, aby zyskać czas na wymienienie kilku słów z nieznanym, często na umówienie schadzki, czasem nawet na zaspokojenie naprędce kaprysu.

Ledwieśmy weszli do restauracji, ujrzałem, że Robert jest chmurny. Bo też Saint-Loup zauważył natychmiast (co uszło naszej uwagi w Balbec), że na tle swoich pospolitych kolegów, Aimé, ze swoją skromną dystynkcją, ma — bardzo mimo woli — coś romantycznego, co promieniuje przez pewną ilość lat z puszystych włosów i greckiego nosa, a co go wyróżniało z cizby innych służebników. Ci, prawie wszyscy niemłodzi, odznaczali się osobliwą brzydota mającą coś obłudnie księzego, coś z obleśnych spowiedników, częściej coś z dawnych komików, których czoła w kształcie głowy cukru spotyka się już tylko w pokątnie historycznym foyer niemodnych teatrzyków, gdzie ich uwieczniono w rolach sługusów lub arcykapłanów. Restauracja ta, dzięki specjalnemu doborowi, a może

dzięki systemowi dziedzicznej nominacji, przechowała te uroczyste typy niby kolegium augurów. Na nieszczęście, Aimé poznał nas, wskutek czego on przyjął od nas zamówienie, gdy orszak operetkowych arcykapłanów odpłynął ku innym stolikom. Aimé spytał mnie o zdrowie babki, ja spytałam go o żonę i dzieci. Odpowiedział ze wzruszeniem, bo miał kult życia rodzinnego. Robił wrażenie człowieka inteligentnego, energicznego, ale w granicach szacunku. Kochanka Roberta zaczęła mu się przyglądać z nadzwyczajną uwagą. Ale zapadłe oczy kelnera, którym lekka krótkowzroczność dawała wyraz skrytej głębi, nie zdradziły żadnego wrażenia w jego nieruchomej twarzy. W prowincjonalnym hotelu, gdzie Aimé służył wiele lat, zanim przybył do Balbec, ładny, teraz nieco pożółkły i zmęczony — zarys jego twarzy, którą przez tyle lat, niby sztych przedstawiający księcia Eugeniusza, widziało się zawsze na tym samym miejscu w prawie zawsze pustej jadalni, nie musiał ściągać zbyt ciekawych spojrzeń. Długo tedy — zapewne z braku znawców — Aimé pozostał nieświadom artystycznych walorów swojej twarzy, mało zresztą skłonny do ściągania na nią uwagi, bo był temperamentu chłodnego. Co najwyżej jakaś przejezdna paryżanka, zatrzymawszy się przypadkiem w mieście, podniosła na niego oczy, poprosiła go może, aby przyszedł pomóc jej przed odjazdem zapakować rzeczy i w przeźroczyście, jednostajnej i głębokiej pustce tej egzystencji dobrego męża i prowincjonalnego sługi, zagrzebała sekret kaprysu bez jutra, którego nikt nie miał nigdy odkryć.

Mimo to, Aimé musiał spostrzec wytrwałość, z jaką oczy młodej artystki spoczywały na nim. W każdym razie nie uszła ta wytrwałość uwagi Roberta, na którego twarzy widziałem gromadzący się rumieniec, nie ów żywy rumieniec, który go oblewał purpurą w chwili gwałtownego wzruszenia, ale słaby, rozprószony.

— Czy ten kelner jest bardzo zajmujący, Zizi? — spytał Racheli, oddaliwszy Aimégo dość gwałtownie. — Można by przypuszczać, że ty zamierzasz robić jego portret.

— Zaczyna się, byłam tego pewna!

— Ale co się zaczyna, małeńka? Jeżeli nie mam racji, cofam wszystko, nic nie powiedziałem. Ale mam przecie prawo cię ostrzec przed tym famulusem, którego znam z Balbec (inaczej kpilbym sobie z tego) i który jest jednym z największych łajdaków, jakich święta ziemia nosiła.

Zdawało się, że Rachela ustępuje Robertowi; zapuściła się ze mną w rozmowę literacką, do której i on się wmieszał. Nie nudziłem się z nią, bo знаła wybornie utwory, które podziwiałem i dzieliła mniej więcej moje sądy; że jednak słyszałem od pani de Villeparisis, iż ona nie ma talentu, nie przywiązywałem do tej kultury wielkiej wagi. Poruszała zręcznie tysiąc tematów i byłaby naprawdę miła, gdyby nie przejęła drażniącej gwary kapliczek i pracowni. Rozciągała zresztą tę gwarę na wszystko; przywykłszy na przykład mówić o obrazie (jeżeli był impresjonistyczny) albo o operze (jeżeli była wagnerowska): „Och, to silne”, jednego dnia, kiedy młody człowiek pocałował ją za ucho i pogłaskany jej udanym dreszczem robił skromnego, ona rzekła: „Owszem, jako wrażenie, uważam, że to było silne”. Ale zwłaszcza dziwiło mnie, że ona używa przy Robertcie jego wyrażenia (których Robert nabył może od znajomych jej literatów), a Robert jej wyrażenia przy niej; czynili to tak, jakby to był język obowiązujący, nie zdając sobie sprawy z ubóstwa oryginalności wspólnej wszystkim.

Jedząc, Rachela manipulowała bardzo niezdarnie rękami, tak iż można było wnosić, że i na scenie musi być dosyć niezręczna. Zwinność odnajdywała jedynie w miłości, przez tę wzruszającą prawidłą kobiet, które tak kochają ciało mężczyzny, że od pierwszego razu zgadują, co sprawi największą przyjemność temu ciału, mimo iż tak różnemu od ich własnego.

Przestałem brać udział w rozmowie, kiedy zaczęto mówić o teatrze, bo na tym punkcie Rachela była zbyt zjadliwa. Podjęła co prawda, współczującym tonem, obronę Bermi przeciw Robertowi, co dowodziło, że ją często atakowała wobec niego. Rachela mówiła: „Och, nie, nie! to jest niezwykła kobieta. Oczywiście, to co ona robi, nie wzrusza nas już; nie odpowiada zupełnie temu, czego dziś szukamy; ale trzeba ją brać w momencie, gdy się zjawiała, zawdzięcza się jej wiele. Ona robiła rzeczy mocne, wiesz! A przy tym, to taka dzielna kobieta, wielkie serce; nie kocha oczywiście tych rzeczy, które nas pasjonują, ale przy dosyć wyrazistej twarzy miała ładny gatunek inteligencji”. Palce nie jednako towarzyszącą wszystkim sądom estetycznym. Gdy chodzi o malarstwo, aby pokazać, że coś jest tego namalowane, szeroko machnięte, wystarczy wystawić wielki palec. Ale „ładny ga-

tunek inteligencji” jest bardziej wymagający; trzeba mu dwóch palców, lub raczej dwóch paznokci, tak jakby się strzepywało kurz. Ale poza tym jednym wyjątkiem, kochanka Roberta mówiła o najbardziej znanych artystach tonem ironii i wyższości, który mnie drażnił, bo sądziłem — mylnie zresztą — że to ona do nich nie dorasta. Ona spostrzegła wybornie, że ja muszę ją uważać za miernotę, a że przeciwnie wysoko cenię tych, którymi ona gardzi. Ale nie uraziło jej to, bo w wielkim talencie nieuznanym jeszcze, jak u niej, choćby nawet był najpewniejszy samego siebie, istnieje pewna pokora: względy, jakich żądamy, dawkujemy nie wedle naszych darów, ale według zdobytej sytuacji. (W godzinę później, miałem ujrzeć w teatrze Rachelę okazującą wiele szacunku tym samym artystom, o których wyrażała się tak ujemnie). Toteż, chociaż moje milczenie nie mogło jej zostawić wątpliwości, nalegała mimo to, abyśmy zjedli obiad razem, upewniając, że w niczym towarzystwie nie bawiła się tak dobrze jak w moim. O ile nie byliśmy jeszcze w teatrze, dokąd mieliśmy iść po śniadaniu, można by rzec, że jesteśmy w *foyer*, strojnym w portrety starej gwardii aktorskiej, tak dalece kelnerzy mieli owe fizjonomie, które wydają się stracone wraz z całą generacją świetnych artystów Palais-Royal. Stojąc przed bufetem, wyglądali także na Akademików: jeden oglądał gruszki z twarzą, jaką mógłby mieć pan de Jussieu i z jego bezinteresownym zaciekawieniem; inni obok niego rzucali na salę spojrzenia nacechowane ciekawością i chłodem, jakimi znakomici członkowie Instytutu mierzą publiczność, wymieniając równocześnie po cichu parę słów. Były to twarze sławne wśród bywalców lokalu; ale pokazywano sobie jednego nowego z rubinowym nosem i obłudną wargą, z miną kleszą; ten funkcjonował tutaj po raz pierwszy, toteż wszyscy patrzyli z zainteresowaniem na nowego wybrańca. Niebawem, może dlatego aby wyprawić Roberta i zostać sama z Aimém, Rachelę zaczęła robić oko do młodego kantorowicza, który jadł śniadanie z przyjacielem przy sąsiednim stoliku.

— Zizi, prosiłbym cię, abys nie patrzała na tego faceta w ten sposób — rzekł Saint-Loup, na którego twarzy przelotne rumieńce skupiły się w krwawą chmurę, wzbierającą w pociemniałych i napiętych rysach mego przyjaciela. — Jeżeli masz z nas robić widowisko, wolę zjeść śniadanie osobno i poczekać na ciebie w teatrze.

W tej chwili oznajmiono, że jakiś pan prosi, aby Aimé wyszedł do niego do powozu, że ma mu coś do powiedzenia. Saint-Loup, zawsze niespokojny i drżący, czy nie chodzi o jaką pocztę miłosną dla jego kochanki, spojrzał w okno i ujrzał w głębi powozu, z rękami w białych rękawiczkach z czarnymi wyszyciami, z kwiatem w butonierce, pana de Charlus.

— Widzisz — rzekł do mnie z cicha — rodzinka ściga mnie aż tutaj. Proszę cię, bo ja nie mogę, ale skoro ty znasz dobrze kelnera, który nas z pewnością sprzeda, poproś go, aby nie szedł do powozu. Niech bodaj idzie garson, który mnie nie zna. Jeżeli powie wujowi, że mnie tu nie znają, wiem, jaki on jest, nie wejdzie do środka sprawdzać, on nie cierpi takich lokali. Ale powiedz, czy to nie jest obrzydliwe, żeby taki stary dziwkarz, wciąż jeszcze upędzający się za spódnicami, dawał mi wieczne nauki i szpiegował mnie!

Aimé, otrzymawszy moje wskazówki, posłał jednego ze swoich pomocników z oznajmieniem, że on sam nie może podejść; gdyby się zaś pytano o margrabiego de Saint-Loup, kazał powiedzieć że go tu nie znają. Niebawem powóz odjechał. Ale Rachelę, która nie słyszała tego, cośmy sobie szeptali i myślała, że chodzi o młodego człowieka, do którego Robert zabronił jej robić oko, wybuchnęła obelgami.

— A to dobre! Więc teraz ten młody człowiek! dobrze robisz, żeś mnie uprzedził; rozkoszna rzecz śniadanie w takich warunkach! Niech się pan nie zajmuje tym, co on mówi, on jest trochę wstawiony; a zresztą — dodała, obracając się do mnie — on tak mówi, bo myśli że to jest szyk, że to jest w wielkim stylu takie sceny zazdrości.

I zaczęła rękami i nogami dawać wyraz swemu zdenerwowaniu.

— Ależ, Zizi, to ja mogę być zirytowany. Ośmieszasz nas w oczach tego pana, który będzie przekonany, że ty go kokietujesz, a który wygląda na figurę spod najciemniejszej gwiazdy.

— Mnie, przeciwnie, bardzo się podoba; po pierwsze, ma cudowne oczy, do tego umie patrzeć na kobiety; czuć, że je musi kochać.

— Milcz przynajmniej, póki ja nie wyjdę. Tyś zupełnie oszalała! — krzyknął Robert. — Garson, moje rzeczy.

Nie wiedziałem, czy mam iść za nim.

— Nie, chcę być sam — rzekł do mnie tym samym tonem, jakim przed chwilą mówił do swojej kochanki i tak jakby był na mnie wściekły. Gniew jego był niby wspólna fraza, dająca w operze melodię kilku replikom zupełnie różniącym się w librecie od siebie sensem i charakterem, ale złączonym przez muzykę w jednym uczuciu. Kiedy Robert odszedł, Rachelę wezwała Aimégo, prosząc go o różne informacje. Spytała mnie potem, jak mi się on wydaje.

— Ma zabawne spojrzenie, prawda? Rozumie pan, mnie by bawiło wiedzieć, co on może myśleć, mieć go przy sobie do usługi, zabrać go z sobą w podróż. Ale nie więcej. Gdyby się trzeba było kochać z każdym mężczyzną, który się nam podoba, to byłoby w gruncie dosyć okropne. Robert niepotrzebnie nabija sobie głowę. Wszystko to jest u mnie czysto cerebralne, Robert powinien by być bardzo spokojny.

Patrzała wciąż na Aimégo.

— O, niech pan patrzy na te jego czarne oczy, chciałabym wiedzieć, co tam w nich siedzi.

Niebawem oznajmiono Racheli, że Saint-Loup prosi ją do separatki, dokąd udał się innym wejściem, aby dokończyć śniadania, nie przechodząc przez restaurację. Znalazłem się nagle sam, potem Robert kazał mnie zawołać. Zastałem Rachelę wyciągniętą na sofie, śmiejącą się pod jego pocałunkami i pieszczotami. Pili szampana. „Serwus, ty!” rzekła do niego, bo nauczyła się świeżo tej formuły, która się jej wydawała ostatnim słowem pieszczoty i dowcipu. Źle się jakoś czułem, i niezależnie od perory Legrandina, ze smutkiem myślałem, że zacząłem to pierwsze wiosenne popołudnie w separacie, a skończę je za kulisami. Spojrzawszy na zegarek, aby sprawdzić, czy się nie spóźni, Rachelę nalała mi szampana, poczęstowała mnie egipskim papierosem i odpięła dla mnie różę od stanika. Wówczas powiedziałem sobie: nie trzeba zbyt żałować dnia; godziny spędzone z tą młodą kobietą nie są stracone, skoro dzięki niej mam tę uroczą rzecz, której nie można opłacić zbyt drogo: różę, wonnego papierosa, kubek szampana. Mówiłem to sobie, bo zdawało mi się, że w ten sposób daję owym godzinom nudy charakter estetyczny i tym samym usprawiedliwiam je. Może powinienem był myśleć, że sama potrzeba argumentu dla pocieszenia się w mojej nudzie, starczy za dowód, że nie odczuwam nic estetycznego.

Co się tyczy Roberta i jego kochanki, robili wrażenie, że wcale nie pamiętają swojej świeżej sprzeczki, ani tego, że ja byłem jej świadkiem. Nie robili do niej żadnej aluzji, nie szukali żadnego usprawiedliwienia, tak samo jak dla kontrastu, który z nią tworzyło obecne ich zachowanie się. Dojąc z nimi szampana, odczuwałem coś niby pijaństwo z Rivebelle, mimo iż zapewne nie było to to samo. Nie tylko każdy rodzaj pijaństwa — od tego, które daje słońce lub podróż, aż do tego, które daje zmęczenie lub wino — ale każdy stopień pijaństwa (który powinien mieć odmienną „kotę”, jak te co oznaczają głębokość morza) obnaża w nas specjalnego człowieka, ściśle w tej głębokości, w jakiej się znajduje. Gabinet, gdzie siedzieliśmy, był mały, ale jedyne lustro, które go zdobiło, umieszczone było w ten sposób, że zdawało się odbijać trzydzieści innych w perspektywie bez końca; a lampka elektryczna umieszczona na szczycie ramy, wieczorem, kiedy była zapalona, musiała, wraz z procesją trzydziestu podobnych do niej odbić, dawać pijakowi, nawet samotnemu, wrażenie, że przestrzeń dokoła niego mnoży się równocześnie z jego wrażeniami podsyconymi pijaństwem i że, zamknięty w tej salce, panuje nad czymś o wiele rozleglejszym w swojej nieokreślonej i świetlnej krzywiźnie, niż aleja *Jardin de Paris*. Otóż, będąc w tej chwili owym pijącym, naraz, szukając go w lustrze, spostrzegłem go, szpetnego, nieznanego, patrzącego na mnie. Radość pijaństwa była mocniejsza niż wstręt; przez wesołość lub fanfaronadę uśmiechnąłem się doń, a równocześnie on uśmiechnął się do mnie. I czułem się tak bardzo pod ulotną i potężną władzą chwili, w której wrażenia są tak mocne, iż nie wiem, czy moim jedynym smutkiem nie była myśl, że owo okropne ja, które ujrzałem, przeżywa może swój ostatni dzień i że nigdy nie spotkam tego obcego człowieka w ciągu mego życia.

Robert był tylko zły, że nie chciał bardziej błyszczeć w oczach jego kochanki.

— No, słuchaj, opowiedz jej o tym panu, któregoś spotkał rano, co to miesza snobizm z astronomią, nie pamiętam już dobrze. — I zerkał na nią spod oka.

— Ależ, Robercie, nie ma o nim nic więcej do powiedzenia, niż to, coś powiedział.

— Nudny jesteś. Więc opowiedz o Franciszce na polach Elizejskich; to ją tak zabawi.

Pijaństwo

Lustro

— Och, tak! Bobbey tyle mi mówił o Franciszce. — I biorąc Roberta pod brodę, Rachela powtórzyła, przez brak inwencji, przyciągając mu głowę do światła: „Serwus, ty!”.

Od czasu jak aktorzy nie byli już dla mnie wyłącznie, w swojej dykcji i w swojej grze, piastunami prawdy artystycznej, interesowali mnie sami w sobie; bawiłem się, tak jakbym oglądał postacie ze starego *romansu komicznego*, widząc jak za zjawieniem się nowej twarzy młodego panicza wchodzącego na salę „naiwna” słucha z roztargnieniem oświadczeń amanta na scenie, gdy ten, w pełni płomiennej tyrady miłosnej, praży spojrzeniem starszą damę siedzącą w pobliskiej łoży i fascynującą go wspaniałymi perłami; w ten sposób, zwłaszcza dzięki informacjom Roberta o życiu prywatnym artystów, widziałem jakby inną sztukę, niemą i wyrazistą, odgrywaną pod sztuką mówioną, która zresztą, mimo iż mierna, interesowała mnie; czułem bowiem, jak w niej kielkuje i rozkwita na przeciąg godziny, w świetle rampy, na twarzy aktora inna twarz, utworzona z aglutynacji szminki i kartonu, a na jego prywatnej duszy inna dusza, stworzona ze słów roli.

Te znikome i żywe indywidualności, jakimi są osoby sztuki również pochłaniającej, które się kocha, podziwia, z którymi się współczuje, które chciałoby się ujrzyć po wyjściu z teatru, ale które się rozszczępiły na aktora pozbawionego już tego charakteru, jaki miał w sztuce, na tekst niezrośnięty już z twarzą aktora, na kolorowy pył dający się zetrzeć chustką, które, jednym słowem, obróciły się w składniki niemające już nic z nich, z przyczyny swego rozkładu, dokonanego natychmiast z końcem widowiska, każą, tak samo jak rozpad ukochanej istoty, wątpić o realności naszego ja i dumać nad tajemnicą śmierci.

Jeden numer programu był mi nadzwyczaj przykry. Młoda kobieta, przedmiot nienawiści Racheli i kilku jej przyjaciółek, miała debiutować w tym teatrzyku w starych piosenkach, na którym to debiucie wspierała wszystkie nadzieje swoje i swojej rodziny. Ta młoda kobieta miała pupę bardzo wydatną, niemal śmieszną; głos ładny, ale zbyt niski, zwątlony jeszcze tremą i stanowiący kontrast z tym potężnym umięśnieniem. Rachela ściągnęła do sali sporo swoich stronników, których zadaniem było paraliżować sarkazmami znaną z nieśmiałości debutantkę; zbić ją z tropu tak, aby zrobiła kompletne *fiasco*, które by ją pozbawiło widoków *engagement*. Od pierwszych słów nieszczęsnej kilku widzów zaczęło sobie w tym celu pokazywać ze śmiechem jej tył; kilka kobiet należących do spisku śmiało się w głos; każda wysoka nuta zwiększała rozmyślną wesołość trącąca skandalem. Nieszczęśliwa, która pociła się z męki pod szminką, próbowała przez chwilę walczyć; potem rzuciła na salę zrozpaczone i oburzone spojrzenie, które jedynie zdwoiło wycia. Zmysł naśladowczy, chęć okazania odwagi i dowcipu, pociągnął kilka ładnych aktorek, których nie uprzedzono z góry, ale które, porozumiewając się z tamtymi złośliwym spojrzeniem, wiły się wśród gwałtownych wybuchów śmiechu, tak że pod koniec drugiej piosenki, mimo iż program obejmował ich jeszcze pięć, reżyser kazał spuścić kurtynę. Siłęm się nie myśleć już o tym wydarzeniu, tak samo jak o cierpieniu mojej babki, kiedy wuj, aby ją podrażnić, częstował dziadka koniakiem; pojęcie złośliwości miało dla mnie coś nazbyt bolesnego. A przecież, tak samo jak litość wobec nieszczęścia nie jest może zbyt ścisła, bo siłą wyobraźni odtwarzamy sobie cały ból, nad którym nieszczęśliwy, zmuszony walczyć przeciw niemu, nie myśli się roztkliwiać, tak samo złość nie posiada zapewne w duszy złośliwego człowieka owego czystego i rozkosznego okrucieństwa, którego pojęcie sprawia nam taką przykrość. Nienawiść jest mu pobudką, gniew daje mu zapał, energię, niemające nic bardzo radosnego; trzeba by sadyzmu, aby stąd czerpać przyjemność; zły myśli, że dręczy złego. Rachela wyobrażała sobie z pewnością, że aktorka, której dokuczała, nie jest niczym interesującym; w każdym razie sądziła, że wywołując gwizdania, broni dobrego smaku, drwiąc sobie z tego co śmieszne i dając nauczkę złej koleżance. Mimo to wolałem nie mówić o tym wydarzeniu; skoro nie miałem odwagi ani siły zapobieżenia mu, byłoby mi zbyt przykro, gdybym, mówiąc dobrze o ofierze, sprowadzał do sadyzmu uczucia ożywiające katów tej debutantki.

Ale początek tego przedstawienia zainteresował mnie jeszcze w inny sposób. Wy tłumaczył mi po części naturę złudzenia, jakiego Saint-Loup był ofiarą w stosunku do Racheli; złudzenia, które stworzyło przepaść między obrazami, pod jakimi oglądaliśmy obaj kochankę Roberta, widząc ją tegoż ranka pod kwitnącą gruszą. Rachela niemalże statystowała w błahej sztuczce. Ale oglądana w ten sposób, była to inna kobieta. Twarz jej była z tych, które wydobywa odległość, a które rozsypują się w proch widziane z bli-

Okrucieństwo

ska. I niekoniecznie odległość sceny: świat jest w tej mierze jedynie większym teatrem. Będąc tuż obok niej, widziało się jedynie mgławicę, mleczną drogę piegów, pryszczków, nic więcej. Na pewną odległość wszystko to znikало; z zatartych i wessanych policzków wylinał się — niby półksiężyc — nos tak subtelny, tak czysty, że pragnęłoby się ściągnąć na siebie uwagę Racheli, widzieć ją do syta, mieć ją koło siebie — gdyby się jej nigdy nie widziało inaczej i z bliska! Ja nie byłem w tym położeniu, ale był w nim Saint-Loup, kiedy ją ujrzał na scenie pierwszy raz. Wówczas zadał sobie pytanie, jak się zbliżyć do niej, jak ją poznać; otwarła się w nim cała czarodziejska dziedzina — ta, w której żyła ona — skąd szły ku niemu rozkoszne promienie, ale do której nie miał dostępu. Wyszedł z teatru, powiadając sobie, że szaleństwem byłoby pisać do niej, że by mu nie odpowiedziała; gotów był oddać majątek i nazwisko dla istoty żyjącej w nim w świecie o tyle wyższym od tych nazbyt znanych realności; w świecie upiękuszonym żądzą i marzeniem, kiedy, czekając pod teatrem, starą budą, która sama robiła wrażenie dekoracji, ujrzał wysypującą się z drzwi w zgrabnych kapelusikach wesołą gromadkę grających owego wieczora aktorek. Młodzi ludzie, którzy je znali, czekali tam na nie. Ponieważ ilość pionków ludzkich jest mniej liczna niż ilość kombinacji, jakie mogą utworzyć, w sali, gdzie nie mamy nikogo znajomego, znajdzie się zawsze ktoś kogo nie spodziewaliśmy się ujrzeć w życiu, a kto zjawia się tak w porę, że trafia robi wrażenie czegoś opatrnościowego; niemniej, gdybyśmy się znaleźli nie tam, lecz gdzie indziej, gdzie by się zrodziły inne pragnienia, spotkalibyśmy znowu innego starego znajomego zdolnego im dopomóc. Złote wrota świata marzeń zamknęły się za Rachelą, zanim Saint-Loup ujrzał ją wychodzącą z teatru, tak że piegi i pryszcze zeszły na drugi plan. Raziły go jednak, tym bardziej że nie będąc już sam, nie miał już tej swobody marzenia co w teatrze. Ale młoda aktorka, mimo że jej już nie widział, dalej kierowała jego czynami, jak owe gwiazdy, które władają nad nami siłą swego przyciągania, nawet wówczas gdy nie są widzialne naszym oczom. Jakoż pragnienie zbudzone przez aktorkę o subtelnych rysach — których nawet nie pamiętał — sprawiło, iż, rzucając się na obecnego tam przypadkowo dawnego kolegę, kazał się przedstawić osobie bez rysów i z piegami (skoro to była ta sama), powiadając sobie, że później postara się rozpoznać, którą z dwóch kobiet jest ta osoba w rzeczywistości. Rachela śpieszyła się, nie odezwała się nawet tym razem do Roberta; dopiero w kilka dni później zdołał uzyskać to, że pożegnała kolegów i pozwoliła się odprowadzić. Kochał ją już. Potrzeba marzenia, pragnienie szczęścia przez osobę, którą się wymarzyło, sprawiają, że niewiele czasu potrzeba, aby powierzyć wszystkie swoje nadzieje szczęścia tej, która kilka dni wprzód była jedynie przygodnym, nieznany, obojętnym zjawiskiem na deskach teatru.

Po zapadnięciu kurtyny przeszliśmy na scenę. Onieśmielony swoją obecnością na deskach scenicznych chciałem się wdać w rozmowę z Robertem; w ten sposób moje zachowanie się (a nie wiedziałem, jakby się właściwie należało zachować w tak dla mnie nowym miejscu) utonęłoby całkowicie w naszej rozmowie; wszyscy będą myśleli, że jestem tak zaabsorbowany, iż wyda się całkiem naturalne, że mój wyraz nie odpowiada miejscu, gdzie się znajduję, ile że, pochłonięty tym, co mówię, zaledwie wiem, gdzie jestem. Zaczem, dla pośpiechu, chwyciłem się pierwszego z brzegu tematu:

— Wiesz — rzekłem do Roberta — że byłem się z tobą pożegnać w dniu wyjazdu; nigdy nie mieliśmy sposobności mówić o tym. Kłaniałem ci się na ulicy.

— Nie mów nawet — odparł — byłem w rozpacz; spotkaliśmy się tuż koło koszar, ale nie mogłem się zatrzymać, bo już byłem bardzo spóźniony. Byłem niepokieszony, wierząc.

Więc on mnie poznał! Widziałem jeszcze ten całkowicie bezosobisty ukłon, jaki Robert oddał mi, przykładając rękę do kępi, bez jednego spojrzenia zdradzającego, że mnie zna, bez gestu, który by wyraził żal, że się nie może zatrzymać. Widocznie owa fikcja, jaką obrał w danej chwili — ta, że mnie nie poznaje — musiała dlań upraszczać sytuację. Ale byłem zdumiony, że mógł się na nią zdecydować tak szybko, zanim jakiś odruch zdradził pierwsze wrażenie. Zauważyłem już w Balbec, że obok tej naiwnej szczeroci jego twarzy, której skóra przezroczyścioci swojoci przepuszczała nagly doplyw pewnych wzruszeń, ciało Roberta bylo cudownie wdroszone wychowaniem do pewnej ilosci towarzyskich komedii; niby doskonaly aktor, mogle on, w pulku czy w salonie — grac na przemian rozmaite role. W jednej z tych rol kochal mnie glęboko, byl ze mna jak z bratem; byl moim bratem przedtem i stal sie nim znów potem, ale przez krótką chwilę byl innym człowiekiem, któ-

ry mnie nie znał i który, trzymając lejce, z monoklem w oku, bez spojrzenia i uśmiechu, podniósł rękę do kepi, aby mi oddać poprawny ukłon wojskowy!

Snułem się między dekoracjami. Widziane z bliska, odarte z czaru odległości i światła, obliczonych przez wielkiego malarza, który je projektował, wydawały się nędzne; Rachela zaś, kiedy się do niej zbliżył, nie mniej uległa władzy zniszczenia. Skrzydła jej uroczego nosa zgubiły się w perspektywie, między salą a sceną, całkiem tak jak plastyka dekoracji. To już nie była ona; poznawałem ją jedynie dzięki oczom, w których schroniła się jej tożsamość. Forma, blask tej błyszczącej przed chwilą młodej gwiazdy — znikły. W zamian za to — tak jak gdybyśmy się zbliżyli do księżycy i jak gdyby się nam przestał wydawać różowy i złoty — na tej twarzy tak gładkiej przed chwilą, widziałem już tylko same narośle, plamy, wyboje. Mimo chaosu, w jaki się rozpadały z bliska nie tylko twarz kobieca, ale malowane płótna, czułem się szczęśliwy, że tam jestem, że chodzę pośród dekoracji, w całej tej ramie, którą niegdyś moja miłość natury czyniłaby mi nudną i sztuczną, ale którą pędzel Goethego w *Wilhelmie Meisterze* obdarzył dla mnie niejaką pięknoscią. Zachwyciło mnie, że pośród dziennikarzy lub zaprzyjaźnionych z aktorkami światowców, którzy kłaniali się, rozmawiali, palili jak w restauracji, widzę młodego człowieka w czarnym aksamitnym berecie, w spódniczce *hortensja*, z policzkami cętkowanymi różem niby kartka z albumu Watteau. Z uśmiechem na ustach, z oczami wzniesionymi ku niebu, manewrując z wdziękiem rękami, podskakując lekko, ów młody człowiek wydawał się istotą tak bardzo innego gatunku niż rozsądni ludzie w marynarkach i tużurkach, pośród których on ścigał jak wariat swoje ekstatyczne marzenie, tak obcy sprawom ich życia, tak wcześniejszy od form ich cywilizacji, tak wyzwolony z praw natury! Patrząc nań, śledzić oczami wśród dekoracji swobodne arabeski, jakie kreśliły na nich jego kapryśne i uszminekowane skrzydlate płasy, było orzeźwiające i miłe, niby oglądać motyla zabłąkanego w ciżbie. Ale w tej samej chwili Saint-Loup wyobraził sobie, że jego kochanka zwraca zbyt dużą uwagę na tego tancerza próbującego ostatni raz figury *divertissement*, w którym miał wystąpić; twarz Roberta spochmurniała.

— Mogłabyś patrzeć w inną stronę — rzekł ponuro. — Wiesz, że ci tancerze to są skończone wyciruchy, obwiesie spod ciemnej gwiazdy! Taki będzie się potem chwalił, żeś na niego zwróciła uwagę. Zresztą, słyszysz przecie, wołają, żebyś szła się ubierać. Znowu się spóźnisz.

Trzej panowie — trzej dziennikarze — widząc wściekłą minę Roberta de Saint-Loup, zbliżyli się rozbawieni, aby posłuchać wymiany słów. Że zaś z drugiej strony ustawiano dekoracje, przyparto nas do nich.

— Och, ależ ja go poznaję, to mój przyjaciel — wykrzyknęła kochanka Roberta, patrząc na tancerza. — Ależ on to świetnie robi, patrzcie na małe ręce, jak one tańczą wraz z całą resztą!

Tancerz obrócił głowę; ludzka jego osobowość zjawiała się w sylfie, którego wcielał; prosta i szara galareta jego oczu zadrżała i zabłysła między sztywnymi i malowanymi rzęsami, a uśmiech poszerzył jego usta na uróżowanej twarzy. Następnie, aby zabawić młodą kobietę, niby śpiewaczka nucąca przez uprzejmość aryjkę, która nas zachwyciła, zaczął powtarzać ruch rąk, parodiując samego siebie z finezją karykaturzysty i wesołością dziecka.

— Och, to świetne! jak on robi samego siebie! — wykrzyknęła Rachela, klaszcząc w ręce.

— Błagam cię, kochanie — rzekł Saint-Loup żalosnym głosem — nie rób z siebie widowiska; zabijasz mnie. Przysięgam ci, że jeżeli powiesz jeszcze słowo, nie przyjdę do ciebie do garderoby i pójdę sobie. No, Zizi, nie bądź niedobra.

— Nie stój tak w tym dymie cygar, zaszkodzisz sobie — rzekł do mnie Saint-Loup, z troskliwością, jaką miał dla mnie od czasu Balbec.

— Och, co za szczęście, jeżeli sobie pójdziesz.

— Uprzedzam cię, że już nie wrócę.

— Nie śmiem o tym marzyć.

— Słuchaj, wiesz, przyrzekłem ci naszyjnik, jeżeli będziesz grzeczna; ale skoro mnie traktujesz w ten sposób...

— A, to coś, co mnie nie dziwi u ciebie. Przyrzekłeś mi, powinnam była zgadnąć, że nie dotrzymasz. Podzwaniaś mi nad uchem swoimi pieniędzmi, ale ja nie jestem interesowna jak ty. Mam twoją kolię gdzieś. Znam kogoś, kto mi ją ofiaruje.

— Nikt ci jej nie ofiaruje, bo zastrzegłem ją u Boucherona i mam jego słowo, że jej nie sprzedam nikomu prócz mnie.

— Doskonale, chciałeś mnie szantażować, zabezpieczyłeś się z góry. Typowy potomek Marsantów, *Mater Semita*, czuć rasę — odparła Rachela, powtarzając etymologię wspartą na grubym błędzie, bo *Semita* znaczy „*sente*”, a nie semitka, ale przylepioną Robertowi przez nacjonalistów z powodu jego dreyfusizmu, przejętego zresztą od Racheli. A już Rachela mniej niż ktokolwiek miała racji przymawiać od Żydówek pani de Marsantes, u której salonowi etnografowie nie zdołali wykryć Żyda poza jej pokrewieństwem z rodziną Lévy-Mirepoix.

— Ale jeszcze nie wszystko skończone, bądź pewny — ciągnęła Rachela. — Słowo dane w tych warunkach nie ma znaczenia. Podszedłeś mnie. Boucheron dowie się o tym i dostanie podwójną cenę za swoją kolię. Usłyszysz o mnie niedługo, bądź pewien.

Saint-Loup miał sto razy rację. Ale okoliczności są zawsze tak zagmatwane, że ten co ma rację sto razy, może jej nie mieć raz. I mimo woli przypomniałem sobie to niemiłe, a przecież bardzo niewinne słówko, które mu się wyrwało w Balbec: „W ten sposób mam ją w ręku”.

— Żle zrozumiałas to, co mówiłem o kolii. Nie przyrzekłem ci jej w sposób formalny. Z chwilą gdy robisz wszystko, aby mnie przywieść do zerwania, bardzo naturalne jest, że ci jej nie dam. Nie rozumiem, gdzie tu widzisz podejście lub interesowność. Nie możesz mówić, że ja podzwaniałam pieniędzmi; wciąż ci powtarzam, że jestem biedny i że nie mam grosza. Nie słusznie bierzesz to w ten sposób, maleńka. W czym jestem interesowny? Ty wiesz, że jedyne co mnie interesuje, to ty.

— Owszem, owszem, możesz mówić dalej — rzekła ironicznie Rachela, imitując gestem ruch piły. Po czym zwróciła się do tancerza:

— Och, naprawdę, on jest bajeczny z tymi rękami. Ja, kobieta, nie potrafiłabym tego, co on wyczynia.

I obracając się do tancerza, pokazała mu zmienioną twarz Roberta:

— Patrz, on cierpi — szepnęła doń w przystępie sadystycznego okrucieństwa, nie będącego zresztą w stosunku do jej prawdziwego przywiązania do Roberta.

— Słuchaj, ostatni raz, przysięgam ci, że choćbyś na głowie stawiała, będziesz mogła za tydzień przeproszać, ile ci się podoba, nie wrócę. Miarka się przebrała, uważaj. To już nieodwołalne; będziesz tego żałowała kiedyś, ale będzie za późno.

Może był szczerzy; ból rozstania się z kochanką wydawał mu się mniej okrutny niż znoszenie pewnych rzeczy.

— Słuchaj, dziecko — rzekł Robert zwracając się do mnie — nie stój tutaj, powtarzam ci, zaczniesz kaszleć.

Wskazałem dekorację, która nie pozwalała mi zmienić miejsca. Saint-Loup dotknął lekko kapelusza i rzekł do dziennikarza:

— Proszę pana, czy pan nie zechciałby rzucić cygara, dym szkodzi mojemu przyjacielowi.

Nie czekając nań, Rachela skierowała się do garderoby; idąc, odwróciła się jeszcze:

— Czy i z kobietami tak sobie poczynają te małe rączki? — rzekła z daleka do tancerza sztucznie melodyjnym i niewinnym głosikiem „nawnej”. — Ty sam robisz wrażenie kobiety; sądzę, że można by się doskonale porozumieć z tobą i z jedną z moich przyjaciółek.

— O ile wiem, palenie nie jest tu wzbronione; kiedy ktoś jest chory, najlepiej żeby siedział w domu — rzekł dziennikarz.

Tancerz uśmiechnął się tajemniczo do artystki.

— Och, cicho siedź, przywodziś mnie do szaleństwa — krzyknęła. — Zrobimy jakąś kombinację.

— W każdym razie, widzę, że pan nie jest uprzejmy — rzekł Saint-Loup do dziennikarza tonem wciąż łagodnym i grzecznym, z miną człowieka, który omawia jakieś minione zdarzenie.

W tej chwili ujrzałem, jak Saint-Loup podnosi prostopadle ramię, tak jakby dawał znak komuś, kogo nie widziałem, lub jak dyrygent orkiestry. I w istocie — bez większego przejścia niż kiedy, na prosty ruch palczki w symfonii lub w balecie, gwałtowny rytm następuje po wdzięcznym *andante* — po swoich grzecznych słowach Robert opuścił w grzmiącym policzku dłoń na twarz dziennikarza.

Teraz, kiedy po pełnych umiaru rozmowach dyplomatów, po pogodnych igraszkach pokoju nastąpił wściekły wybuch wojny, nie zdziwiłbym się nadto, widząc przeciwników kąpiących się we własnej krwi. Cios prowokował cios. Ale czego nie mogłem zrozumieć (jak osoby, które uważają za niewłaściwość wybuch wojny między dwoma krajami wówczas, gdy dopiero była mowa o rewizji granic, lub śmierć chorego, kiedy była mowa jedynie o powiększeniu wątroby), to w jaki sposób, po słowach Roberta dyskutujących jedynie stopień grzeczności, mógł nastąpić gest, który zupełnie nie wypływał z tych słów, gest, którego one nie zapowiadały. Ten gest, zrodzony w samoródtwie gniewu *ex nihilo*, gwałcił nie tylko prawo narodów, ale zasadę przyczynowości. Szczęściem, dziennikarz, który, zachwiaszwszy się pod gwałtownością uderzenia, zbladł i zawahał się chwilę, nie oddał ciosu. Co się tyczy jego przyjaciół, jeden natychmiast odwrócił głowę, wypatrując z uwagą w stronę kulis kogoś, kogo najoczywściej tam nie było; drugi udał, że mu coś wpadło w oko i krzywiąc się, zaczął trzeć powiekę; trzeci rzucił się ku wyjściu, wołając: „Och, zdaje się, że podnoszą kurtynę: nie dostaniemy się na salę”.

Byłbym chciał przemówić do Roberta, ale był tak przepełniony oburzeniem na tancerza, że przyłgnęło ono całkowicie do powierzchni jego żrenic; niby wewnętrzne ruszowanie napinało jego policzki, tak że jego duchowe podniecenie wyrażało się pełnym zewnętrznym bezruchem; nie zdobyłby się nawet na grę mięśni pozwalającą przyjąć do świadomości moje słowa ani odpowiedzieć na nie. Przyjaciele dziennikarza, widząc, że wszystko jest skończone, zbliżyli się do niego, jeszcze drżący. Ale, wstydząc się, że go opuścili, chcieli koniecznie, aby myślał, że oni nic nie zauważyli. Jeden zaczął obszernie opowiadać, że mu coś wpadło w oko, drugi, że myślał, iż podnoszą kurtynę, trzeci rozwiódł się nad niezwykłym podobieństwem kogoś przechodzącego do jego brata. Zdawali się nawet mieć pretensję do niego, że nie dzieli ich przeżyć.

— Jak to, nie uderzyło cię to? Ślepy jesteś?

— A wy jesteście kapłony — burknął spoliczkowany dziennikarz.

Niekonsekwentni wobec przyjętej fikcji, na zasadzie której powinni byli — ale tego nie uczynili — udać, że nie rozumieją, o co jemu chodzi, powiedzieli to, co jest tradycyjne w takich okolicznościach: „Ech, zacierzewiasz się, nie przejmuj się, ależ z ciebie gorączka”.

Zrozumiałem tego rana pod kwitnącymi gruszami złudzenie, na jakim wspierała się miłość Roberta do „Racheli kiedy Pan”; niemniej zdawałem sobie sprawę, ile, przeciwnie, jest realności w cierpieniu zrodzonym z tej miłości. Pomału, ból, jaki Saint-Loup odczuwał od godziny, nie ustał, ale skurczył się, wsiąknął, w oczach jego pojawiała się wolna i elastyczna strefa. Opuściliśmy teatr i szliśmy przed siebie. Zatrzymałem się chwilę na rogu *avenue Gabriel*, skąd niegdyś widywałem często zjawiającą się Gilbertę. Próbowałem przez kilka sekund przypomnieć sobie te wrażenia, po czym przyspieszyłem kroku, aby dogonić Roberta, kiedy ujrzałem, że dość lichy ubrany jegomość mówi doń coś z bliska. Wywnioskowałem, że to musi być jakiś osobisty przyjaciel Roberta; ale ujrzałem, że jeszcze jakby zbliżyli się do siebie; naraz, tak jak na niebie ukazuje się zjawisko astralne, ujrzałem owoidalne ciała, które z zawrotną chyżością przybierały wszystkie pozycje, pozwalające im utworzyć w stosunku do Roberta niestałą konstelację. Wyrzucone niby z procy, przybrały dla mnie liczbę co najmniej siedmiu. Były to wszakże jedynie dwie pięści Roberta, pomnożone przez chyżość zmiany miejsca w tej idealnej na pozór i dekoracyjnej całości. Ale fajerwerk ten był jedynie „laniem”, jakie Saint-Loup aplikował obcemu panu; agresywny zaś (w miejsce estetycznego) charakter zdarzenia ujawniła mi dopiero mina nieszczególnie ubranego jegomościa, który zdawał się równocześnie tracić równowagę, szczękę i dużo krwi. Osobom, które zbliżyły się z pytaniami na ustach, dał jakieś kłamiwe wyjaśnienia, odwrócił głowę i widząc, że Saint-Loup zdecydowanym krokiem oddala się w moją stronę, patrzył za nim z miną urażoną i przybitą, ale bynajmniej nie wściekłą. Wściekły był, przeciwnie, Saint-Loup, mimo że jemu nic się nie dostało; kiedy się zrównał ze mną, oczy jego błyszczały jeszcze gniewem. Wypadek ten

nie miał (jak mogłem przypuszczać) żadnego związku z pyskobiciem w teatrze. Ów pan był to gorącochrwisty przechodzień, który, widząc pięknego żołnierza, uczynił mu pewne propozycje. Saint-Loup nie mógł się nadziwić czelności tej „kliki”, która nie czeka dla swoich praktyk nawet mroków nocy; mówił o propozycjach nieznanego z tym samym oburzeniem, z jakim dzienniki mówią o kradzieży zbrojną ręką, popełnionej w biały dzień w centrum Paryża. Usprawiedliwieniem spranego jegomościa mogłoby być to, że żądza sąsiaduje na tyle blisko z aktem, aby sama piękność zdawała się już przyzwoleniem. Otóż fakt, że Saint-Loup był piękny, nie podlegał dyskusji. Lanie, które zaaplikował nieznanemu, ma dla tego rodzaju ludzi tę korzyść, że każe się im poważnie zastanowić nad sobą; ale działanie tych refleksji trwa zazwyczaj zbyt krótko, aby się mogli poprawić i uniknąć w końcu znajomości z policją. Tak więc — mimo że Saint-Loup zaaplikował swoją pucówkę bez wielkiego zastanowienia — wszystkie tego rodzaju egzekucje, nawet gdy przychodzą w pomoc prawom, nie są zdolne ujednolicić obyczajów.

Wydarzenia te — a zwłaszcza to, o którym myślał najbardziej — zrodziły z pewnością w Robercie potrzebę samotności. Zaproponował mi, abym sam poszedł do pani Villeparisis; on przyjdzie później; woli — powiedział — abyśmy nie wchodzili razem; w ten sposób będzie wyglądało, że on dopiero co przyjechał do Paryża, nie zaś, żeśmy już spędzili z sobą popołudnie.

Jak to przypuszczałem przed poznaniem pani de Villeparisis w Balbec, między środowiskiem, w którym żyła margrabina, a światem pani de Guermantes istniała wielka różnica. Pani de Villeparisis należała do kobiet, które, pochodząc ze świetnej rodziny, wszedłszy przez fakt małżeństwa w inną, nie mniej świetną, nie mają mimo to wielkiej sytuacji światowej; prócz kilku diuszess, będących ich siostrzenicami lub szwagierkami, a nawet paru koronowanych głów (stare stosunki rodzinne), skupiają w swoim salonie jedynie publiczność trzeciego rzędu, mieszczaństwo, szlachtę prowincjonalną albo z „fe-lerem”, której obecność od dawna wypłoszyła ludzi eleganckich lub snobów, o ile nie są zmuszeni bywać tam z obowiązku pokrewieństwa lub zbyt dawnej zażyłości. Zapewne, po paru chwilach nietrudno mi było zrozumieć, jakim cudem pani de Villeparisis była w Balbec tak dobrze — lepiej od nas samych — poinformowana o najmniejszych szczegółach podróży, jaką ojciec odbywał wówczas po Hiszpanii z panem de Norpois. Ale to nie dopuszczało wniosku, aby dwudziestoletni przeszedł stosunek pani de Villeparisis z ambasadorem mógł być racją zdeklasowania się margrabiny w towarzystwie, gdzie najświetniejsze kobiety afiszują mniej godnych kochanków; zresztą pan de Norpois był z pewnością od dawna dla margrabiny jedynie starym przyjacielem. Czy pani de Villeparisis miewała niegdyś inne przygody, będąc wówczas gorętszej krwi niż obecnie na starość, która to starość, spokojna i nabożna, zawdzięczała może jednak trochę swojej barwy owym namiętym i odległym latom? Może nie umiała na prowincji, gdzie mieszkała przez czas dłuższy, uniknąć pewnych skandalów, nieznanymi nowym pokoleniom, które konstatowały jedynie ich skutki w mieszanym i wątpliwym składzie salonu, stworzonym z natury swojej na to, aby był najbardziej wolny od wszelkiego aliażu? Czy ów „zły język”, jaki przypisywał jej siostrzeniec, zyskał jej w owych czasach wrogów? Czy kazał jej wyzyskiwać pewne sukcesy u mężczyzn, aby dawać folgę zemście wobec kobiet? Wszystko to było możliwe; a uroczy, subtelny — nie tylko w słowach, ale akcentach — sposób, w jaki pani de Villeparisis mówiła o skromności, o dobroci, nie był argumentem przeciw tej hipotezie; ci bowiem, co nie tylko pięknie mówią o pewnych cnotach, ale nawet odczuwają ich urok i rozumieją je doskonale, co potrafią w swoich pamiętnikach odmalować ich godny obraz, pochodzą wprawdzie często z niemej, surowej i prostodusznej generacji, która te cnoty uprawiała, ale sami do niej nie należą. Generacja ta odbija się w nich, ale się w nich nie kontynuuje. Miejsce jej dawnego charakteru zastępuje wrażliwość, inteligencja, które nie służą do czynu. I bez względu na to, czy w życiu pani de Villeparisis istotnie były owe skandale, które zatarłyby blask jej nazwiska, przyczyną jej zdeklasowania była z pewnością owa inteligencja — inteligencja niemal drugorzędnego pisarza raczej niż światowej kobiety.

Bez wątpienia pani de Villeparisis sławiła zwłaszcza przymioty niezbyt podniecające, jak takt i miarę; ale, aby mówić o umiarze w sposób pełnowartościowy, miara nie wystarczy, trzeba pewnych zalet pisarskich, które wymagają egzaltacji przekraczającej miarę. Zauważyłem w Balbec, że geniusz pewnych wielkich pisarzy był dla pani de Villeparisis

niedostępny; umiała jedynie drwić z nich sprytnie, dawać swemu niezrozumieniu dowcipną i wdzięczną formę. Ale ten dowcip i wdzięk, rozwinięte w tym stopniu co u niej, stawały się same — na innym planie, i choćby ich używała dla zapoznania najwyższych arcydzieł — stawały się same prawdziwą wartością artystyczną. Otóż, takie przymioty wywierają na wszelką światową sytuację swoiste działanie chorobotwórcze, jak mówią lekarze, i tak destrukcyjne, że najsolidniejsza pozycja ledwie parę lat zdoła mu się opierać. To, co artyści nazywają inteligencją, wydaje się czystą pretensjonalnością eleganckiego towarzystwu, które, niezdolne stanąć na jedynym punkcie widzenia, z którego artyści sądzą wszystko, nie rozumiejąc nigdy specjalnego uroku, jakiemu tamci ulegają, dobierając wyrażen lub tworząc skojarzenia, odczuwa w zetknięciu z nimi zmęczenie, irytację, nader rychło rodzące antypatię. A przecież jak w rozmowie, tak w pamiętnikach swoich, które ogłoszono później, pani de Villeparisis ujawniała wdzięk na wskroś światowy. Przeszedłszy obok wielkich rzeczy, których nie zgłębiała, a czasem nie dostrzegała, z lat, które przeżyła i które odmalowała zresztą z wielką trafnością i czarem, utrwaliła jedynie to, co w nich było najbłahsze. Ale dzieło, nawet kiedy się ima jedynie tematów nieintelektualnych, jest i tak przejawem inteligencji; aby dać w książce lub w mało różniącej się od niej rozmowie doskonale wrażenie pustki, trzeba pewnej refleksji, do której osoba całkowicie pusta nie byłaby zdolna. W niektórych pamiętnikach pisanych przez kobietę i uważanych za arcydzieło, to i owo zdanie, cytowane jako model lekkości i wdzięku, zawsze nasuwało mi myśl, że aby dojść do tej lekkości, autorka musiała posiadać niegdyś dość solidną wiedzę, uprzykrzone wykształcenie, i że, jako młoda dziewczyna, była może w oczach przyjaciółek nieznosną sawantką. Między niektórymi przymiotami literackimi a nielaską „świata” związek jest tak nieuchronny, że kiedy dziś czytamy pamiętniki pani de Villeparisis, jakieś trafne wyrażenie, jakaś celna metafora, wystarczą czytelnikowi, aby przy ich pomocy uprzytomnił sobie głęboki, ale lodowaty ukłon, jaki, na schodach jakiejś ambasady, musiała składać starej margrabinie snobka w rodzaju pani Leroi, która rzucała jej może bilet wizytowy, udając się do Guermantów, ale nigdy nie przestępowała progu jej salonu, z obawy, aby się nie zdeklasować w towarzystwie bywających tam żon lekarzy lub rejentów. Sawantką była może pani de Villeparisis w pierwszej młodości; upojona wówczas swoją wiedzą, nie umiała może powstrzymać — w przeciwieństwie do ludzi światowych, mniej od niej inteligentnych i mniej wykształconych — ostrych żarcików, których zraniona nimi osoba nie zapomina.

Przy tym talent nie jest naddatkiem, który się sztucznie dołącza do rozmaitych zalet, zapewniających sukcesy towarzyskie, w tym celu, aby stworzyć to, co światowcy nazywają „damą”. Talent jest żywym produktem pewnej organizacji duchowej, której na ogół wielu zalet brakuje i w której przeważa wrażliwość; a cechy tej wrażliwości, których nie dostrzegamy w książce, mogą się przejawiać dość jaskrawo w życiu, na przykład pewne zainteresowania, fantazje, ochota pójścia tu czy tam dla własnej przyjemności, nie w celu pomnożenia, podtrzymania lub prostego kontynuowania stosunków towarzyskich. Widziałem w Balbec panią de Villeparisis otoczoną swoim dworem, niepatrzącą nawet na osoby zbierające się w hallu hotelowym. Ale miałem przecucie, że to odcięcie nie było obojętnością, i zdaje się, że dawniej nie zawsze je sobie nakładała. Zapalała się do poznania jakiegoś osobnika, niemającego żadnych tytułów do bywania u niej; czasem dlatego że ją uderzył swoją urodą, lub tylko dlatego że chwalono jego dowcip, lub że się wydawał inny od jej znajomych, którzy, w owej epoce, kiedy ich jeszcze nie ceniła, bo myślała, że jej nigdy nie opuszczą, należeli wszyscy do najczystszej *Faubourg Saint-Germain*. Jakimś cyganowi, plebejuszowi, którego wyróżniła, musiała posyłać zaproszenia, których wartości nie mógł ocenić, z wytrwałością, która deprecjonowała stopniowo margrabinę w oczach snobów, nawykłych szacować salon raczej wedle osób, które pani domu z niego wyklucza, niż wedle tych, które przyjmuje.

To pewna, że jeżeli pani de Villeparisis w latach młodości, zblazowana przyjemnością należenia do najrasowszego kwiatu arystokracji, czyniła sobie jakby zabawę z tego, aby gorszyć swój świat i rezolutnie niweczyć własną sytuację, zaczęła cenić tę sytuację, odkąd ją straciła. Niegdyś chciała pokazać diuressom, że jest czymś więcej od nich, mówiąc i robiąc wszystko to, czego one nie śmiały mówić i robić. Ale teraz, kiedy one, z wyjątkiem najbliższej rodziny, przestały u niej bywać, czuła się upośledzona i pragnęła jeszcze panować, ale inaczej niż inteligencją. Byłaby chciała ściągnąć wszystkie te, które

tak starannie odsunęła. Ileż egzystencji kobiecych, mało znanych zresztą (bo każdy, wedle swego wieku, ma jakby swój odrębny świat, a dyskrecja starców nie pozwala młodym ludziom znać przeszłości i ogarnąć całego kręgu), rozpada się w ten sposób na sprzeczne okresy, z których ostatni jest wypełniony pracą nad odzyskaniem tego, co w drugim tak wesoło puszczono z wiatrem? Puszczono z wiatrem w jaki sposób? Młodzi ludzie niełatwo to sobie wyobrażają, wówczas gdy mają przed sobą starą i czcigodną margrabinę de Villeparisis; nie postanie im w myśli, aby dzisiejszy poważny pamiętnikarz, tak godny pod swoją białą peruką, mógł być niegdyś wesołą kobietką, stanowiącą rozkosz lub ruinę ludzi od dawna leżących w grobie. To że margrabina zniweczyła w ten sposób z całą wytrwałością i konsekwencją sytuację, jaką zawdzięczała swemu urodzeniu, nie znaczy zresztą wcale, aby, nawet w owej odległej epoce, nie ceniła wysoko swojej pozycji. Tak samo neurastenik może sam dziergać od rana do wieczora odosobnienie i bezczynność, w jakich żyje i od których cierpi; i podczas gdy się sili dodać nowe oczko do sieci, która go czyni więźniem, być może iż marzy o samych balach, polowaniach i podróżach. Pracujemy nieustannie nad tym, aby nadać kształt swojemu życiu, ale kopując mimo woli, niby wzorek, rysy osoby, którą jesteśmy, nie zaś tej, którą byłoby nam miło być. Wzgardliwe ukłony pani Leroi mogły wyrażać poniekąd prawdziwą naturę pani de Villeparisis, ale nie odpowiadały zgoła jej pragnieniu.

Bez wątpienia, w tej samej chwili gdy pani Leroi, wedle ulubionego wyrażenia pani Swann, *zamrażała* margrabinę, ta mogła szukać dla siebie pociechy, wspominając, iż niegdyś królowa Maria Amelia mówiła jej: „Kocham cię jak córkę”. Ale tego rodzaju uprzejmości monarsze, sekretne i nieznane, istniały tylko dla margrabiny, zakurzone niby dyplom *ex-laureata* konserwatorium. Jedyne prawdziwe przewagi światowe to te, które tworzą życie; które mogą zniknąć, ten zaś, co z nich korzysta nie potrzebuje ani się ich czepiać, ani się nimi chwalić, bo tego samego dnia zastąpi je sto innych. Przypominając sobie słowa królowej, pani de Villeparisis byłaby je chętnie zamieniła na stałą moc zyskiwania zaproszeń, jaką posiadała pani Leroi; tak jak w restauracji nieznany wielki artysta, którego geniusz nie jest wypisany ani w rysach jego nieśmiałej twarzy, ani w niemodnym kroju marynarki, wolałby być bodaj młodym giełdziarzem, najniżej notowanym towarzyszko, ale zajądającym śniadanie przy sąsiednim stoliku z dwiema aktorkami i do którego, w usługowej i nieprzerwanej procesji cisną się gospodarz lokalu, kelnerzy, garsoni, pikolaki, nawet kuchciki, wychodzący sznurem z kuchni, aby mu się pokłonić jak w feerii, podczas gdy z innej strony wylazi piwniczny, zakurzony jak jego butelki, koślawy i olśniony, jak gdyby, idąc z piwnicy, skrzył sobie nogę, zanim wydobył się na światło.

Trzeba jednakże powiedzieć, że o ile nieobecność pani Leroi w salonie pani de Villeparisis gnębiła panią domu, brak ten przechodził niezauważony przez większość jej gości. Nie mieli pojęcia o wyjątkowej sytuacji pani Leroi, znanej jedynie eleganckiemu światu, i nie wątpili, że przyjęcia pani de Villeparisis były — jak o tym są dziś przekonani czytelnicy jej pamiętników — najświetniejsze w Paryżu.

Za pierwszą wizytą, jaką, rozstawszy się z Robertem, złożyłem pani de Villeparisis (idąc w tym za radą pana de Norpois, daną memu ojcu), zastałem ją w salonie obitym żółtym jedwabiem, gdzie kanapy oraz cudowne fotele z haftami Beauvais odcinały się różowym, niemal fioletowym kolorem dojrzałych poziomek. Obok portretów Guermantów i Villeparisis wisiały — ofiarowane przez modele — portrety królowej Marii Amelii, królowej Belgów, księcia de Joinville, cesarzowej austriackiej. Pani de Villeparisis, w staroświeckim koronkowym czepeczku (który konserwowała z tym samym inteligentnym zmysłem lokalnej lub historycznej barwy, z jakim hotelarz bretoński, choćby miał klientelę najbardziej paryską, sprytnie konserwuje u kelnerek czepek i szerokie rękawy), siedziała przy stoliku, gdzie, obok pędzli, palety i zaczętej akwareli, stały przed nią w szklankach, w salaterkach, filiżankach, róże mchowe, cynie, *caprifolium*, które z powodu napływających w tej chwili gości przestała malować i które robiły wrażenie, iż stroją ładę kwiaciarki, niby na jakimś sztychu z XVIII wieku.

W salonie tym, umyślnie niezbyt ogrzanym, bo margrabina zakatarzyła się, wracając od siebie ze wsi, znajdował się pomiędzy obecnymi archiwista, z którym pani de Villeparisis segregowała rano własnoręczne listy historycznych osobistości, pisane do niej i mające figurować w *fac simile* jako dokumenty w pamiętnikach, które właśnie pisała. Był i pewien historyk, uroczysty i onieśmielony, który, dowiedziawszy się że margrabina

posiada po przodkach portret księżnej de Montmorency, przyszedł prosić jej o pozwolenie reprodukcji tego portretu w swoim dziele o Frondzie. Do tych gości przybył mój kolega Bloch, obecnie młody autor dramatyczny, na którego margrabina liczyła, że dostarczy gratis artystów na jej najbliższe koncerty. Prawda, iż kalejdoskop socjalny właśnie się obracał i że sprawa Dreyfusa miała zepchnąć Żydów na ostatni szczebel drabiny społecznej. Ale z jednej strony, na próżno cyklon dreyfusistowski szalał; nie z początkiem burzy fale biją z największą wściekłością. Następnie, pani de Villeparisis, pozwalając większości swojej rodziny grzmieć przeciw Żydom, została dotąd całkowicie obca „Sprawie” i nie interesowała się nią. Wreszcie, młody człowiek jak Bloch, którego nikt nie znał, mógł ująć niezauważony, podczas gdy wielcy reprezentacyjni Żydzi byli już zagrożeni.

Bloch nosił teraz bródkę, binokle, długi tużurek i rękawiczkę niby zwój papirusa w ręce. Rumuni, Egipcjanie i Turcy mogą nie cierpieć Żydów. Ale we francuskim salonie różnice między tymi narodami nie są tak uderzające; Izraelita wchodzący do salonu tak jakby się wyłaniał z głębi pustyni, z ciałem pochylonym jak u hieny, z przekrzywioną szyją, rozdający wielkie „salamaleki”, doskonale zadowala gust do orientalizmu. Tylko trzeba na to, aby Żyd nie należał do „świata”; inaczej łatwo przybiera wygląd lorda, obyczaje zaś jego „gallicyzują się”, tak że krnąbrny nos, rosnąc jak nasturcje w nieoczekiwanych kierunkach, budzi myśl raczej o nosie Maskaryła niż o nosie Salomona. Ale Bloch, jeszcze niewyrobiony w salonowej gimnastyce, nieuszlachetniony skrzyżowaniem z Anglią lub Hiszpanią, pozostał dla miłośnika egzotyizmu, mimo europejskiego kostiumu, równie dziwny i ciekawy jak Żyd z obrazu Decampa. Cudowna potęga rasy, która z głębi wieków pcha przed siebie, aż w dzisiejszy Paryż, w kuluary naszych teatrów, za okienka naszych biur, na pogrzeby, na ulice, nietkniętą falangę, stylizującą nowoczesne uczesanie, wchłaniającą i neutralizującą tużurek, pozostaje w sumie całkiem tożsama z falangą asyryjskich skrybów, którzy, odmalowani w uroczystym stroju na fryzie gmachu w Suzie, bronią bram pałacu Dariusza. (W godzinę później Bloch wyobrażał sobie, że to przez antysemityzm pan de Charlus dopytywał się, czy on ma imię żydowskie, gdy baron uczynił to jedynie przez estetyczną ciekawość i kult barwy lokalnej.) Zresztą, pojęcie trwałości ras nieściśle oddaje wrażenie, jakie na nas robią Żydzi, Grecy, Persowie, wszystkie te ludy, którym raczej należałoby zostawić ich różnorodność. Znamy ze starożytnych malowideł twarz dawnych Greków; widzieliśmy Asyryjczyków na frontonie pałacu w Suzie. Otóż kiedy gdzieś w towarzystwie spotkamy ludzi Wschodu, należących do takiej czy innej grupy, odnosimy wrażenie, że mamy przed sobą istoty wywołane mocą spirytyzmu. Znaliśmy jedynie powierzchowny obraz; i oto obraz ten nabrał głębi, rozpościera się w trzech wymiarach, porusza się. Młoda Greczynka, córka bogatego bankiera, modna w tej chwili, podobna jest do jednej z owych figurantek, które w historycznym i estetycznym wraz balecie symbolizują w żywym ciele sztukę helleńską; a jeszcze w teatrze aparat sceniczny banalizuje te obrazy; natomiast widowisko, jakie nam daje wejście do salonu Turczynki lub Żyda, ożywiając figury, czyni je tym dziwniejszymi, tak jakby chodziło istotnie o postacie wywołane mediumiczną siłą. To dusza (lub raczej to niewiele, do czego się sprowadza, dotąd przynajmniej, dusza w tego rodzaju materializacjach), to dusza oglądana dawniej przez nas jedynie w muzeach, dusza dawnych Greków, dawnych Żydów, wyrwana z życia nieznaczącego i transcendentalnego zarazem, zdaje się wykonywać wobec nas tę zdumiewającą mimikę. W młodej Greczynce, która się nam wymyka, na próżno chcielibyśmy uścisnąć postać podziwianą niegdyś na jakimś wazonie. Miałem wrażenie, że, gdybym w świetle salonu pani de Villeparisis sfotografował Blocha, klisze dałyby ten sam obraz Izraela, niepokojący tak, jakby się nie wyłaniał z ludzkości, budzący rozczarowanie bo, mimo wszystko, nazbyt podobny jest do ludzkości — obraz typowy dla fotografii z seansów spirytystycznych. Nawet, biorąc ogólniej, błahość słów wygłaszanych przez osoby, pośród których żyjemy, daje nam wrażenie czegoś nadprzyrodzonego — w tym naszym biednym codziennym świecie, gdzie nawet genialny człowiek, od którego spodziewamy się, skupieni koło niego jak koło wirującego stolika, tajemnicy nieskończoności, wypowiada tylko te słowa — te same, które właśnie wyszły z ust Blocha: „Proszę uważać na mój cylinder”.

— Mój Boże, ministrowie, mój drogi panie!... — mówiła właśnie pani de Villeparisis, zwracając się specjalnie do mego dawnego kolegi i nawiązując nić konwersacji, którą przerwało moje wejście. — Nikt wówczas nie chciał przyjmować ministrów. Choć

byłam jeszcze bardzo mała, przypominam sobie, jak król prosił mojego dziadka, aby zaprosił pana Decaze na redutę, gdzie ojciec miał tańczyć z księżną de Berry. „Zrobisz mi przyjemność, Florymondzie”, mówił król. Dziadek, który był trochę głuchy, usłyszawszy „de Castries”, uważał prośbę za zupełnie naturalną. Kiedy zrozumiał, że chodzi o pana Decaze, miał chwilę buntu, ale skłonił się i napisał tegoż samego wieczora do pana Decaze, błagając, aby mu uczynił tę łaskę i zaszczyt i przyszedł do niego na bal w przyszłym tygodniu. Bo ludzie byli grzeczni, drogi panie, w owym czasie; a pani domu nie poprzestałaby na tym, aby przesłać komu bilet wizytowy, dopisując ręcznie: „filiżanka herbaty” albo „herbata tańcząca”, albo „herbata z muzyką”. Ale, o ile znano grzeczność, znano i impertynencję. Pan Decaze przyjął zaproszenie, ale w wilię zawiadomiono wszystkich, że dziadek, czując się cierpiący, odwołał redutę. Był posłuszny królowi, ale nie oglądał u siebie na balu pana Decaze... Tak, proszę pana, przypominam sobie bardzo dobrze pana Mole; był to człowiek wielkiego dowcipu (dał tego dowód, przyjmując — tak jak przyjął — pana de Vigny w Akademii), ale był bardzo uroczysty; widzę go jeszcze, jak schodzi na obiad u siebie w domu z cylindrem w ręce.

— Och, to bardzo ewokacyjne dla epoki dość żałośnie filisterskiej; bo to był z pewnością powszechny zwyczaj, aby mieć kapelusz w ręku u siebie w domu — rzekł Bloch, pragnąc skorzystać z tej tak rzadkiej sposobności poinformowania się u naocznego świadka o właściwościach arystokratycznego życia z dawnych epok; podczas gdy archiwista, rodzaj przygodnego sekretarza margrabiny, obejmował ją rozczulonym spojrzeniem, zdając się nam mówić: „Nadzwyczajna kobieta, wszystko wie, wszystkich znała, możecie ją pytać o co chcecie, bajeczna jest”.

— Ale nie — odparła pani de Villeparisis, przysuwając bliżej szklankę pełną kwiatów, które za chwilę miała znów zacząć malować — to był po prostu zwyczaj pana Mole. Nigdy nie widziałam, aby ojciec miał kapelusz u siebie w domu, wyjąwszy, rozumie się, kiedy przychodził król, skoro bowiem król jest wszędzie u siebie, gospodarz domu staje się prostym gościem we własnym salonie.

— Arystoteles powiada nam w rozdziale II... — zaryzykował pan Adam, historyk Frondy, ale tak nieśmiało, że nikt tego nie zauważył. Trapiony od kilku tygodni nerwową bezsennością, opierającą się wszelkiemu leczeniu, nie kładł się już wcale i zmęczony zmęczeniem wychodził tylko wtedy, kiedy jego prace tego wymagały. Niezdolny podejmować często tych wypraw, tak prostych dla innych, a jego kosztujących tyle co wyprawa na Księżyc, konstatawał ze zdziwieniem, że życie większości ludzi nie jest stale zorganizowane w tym sensie, aby zapewnić maksimum wydajności nagłym zrywom jego energii. Często zastawał zamkniętą bibliotekę, do której wybrał się, skupiwszy całą siłę woli i w tużurku niby człowiek z Wellsa. Szczęście, zastał panią de Villeparisis w domu i miał ujrzeć portret.

Bloch przerwał mu w pół zdania.

— Doprawdy — rzekł, odpowiadając na słowa pani de Villeparisis w przedmiocie ceremoniału wizyt królewskich — absolutnie tego nie wiedziałem — (jak gdyby to było dziwne, że on tego nie wiedział).

— À propos tego rodzaju wizyt, czy pan wie, na jaki głupi koncept wpadł wczoraj mój siostrzeniec Błażej? — spytała archiwisty pani de Villeparisis. — Zamiast się zaanonsować, kazał mi powiedzieć, że przyszła królowa szwedzka.

— Ha, ha! tak sobie: „królowa szwedzka”, ni z tego ni z owego. Dobry kawał! — parsknął Bloch, podczas gdy historyk uśmiechnął się z majestatyczną nieśmiałością.

— Zdziwiłam się trochę, bo wróciłam ze wsi dopiero od kilku dni; chcąc mieć trochę spokoju, prosiłam, aby nikomu nie mówiono, że jestem w Paryżu; toteż zastanawiałam się, jakim cudem królowa już wie o moim powrocie — odparła pani de Villeparisis, pograżając swoich gości w zdumieniu tym, że wizyta królowej szwedzkiej nie jest dla gospodyni domu sama przez się niczym anormalnym.

Niewątpliwie, pani de Villeparisis, która przez całe rano porządkowała z archiwistą dokumenty do swoich pamiętników, w tej chwili bezwiednie próbowała ich działania na przeciętną publiczność dającą skrót tej, z której będą się kiedyś składali jej czytelnicy. Salon pani de Villeparisis nie był salonem naprawdę eleganckim; na to margrabina przyjmowała zbyt wiele „pań miasta”, a w zamian brakło tam niejednej ze świetnych dam,

które zdołała ściągnąć do siebie pani Leroi; ale nikt by się tego nie domyślił z jej pamiętników. Tam niektóre mniej świetne stosunki autorki nikną, bo nie ma sposobności ich cytować; nieobecnych zaś nie czuje się braku, bo na przestrzeni siłą rzeczy ograniczonej, jaką ogarniają te pamiętniki, może figurować niewiele osób; jeżeli więc te osoby należą do rodów monarszych lub figur historycznych, ostateczne wrażenie pamiętnika na publiczności sięga maksimum wykwintu. Zdaniem pani Leroi, salon pani de Villeparisis był czymś trzeciorzędnym, i ten sąd pani Leroi bolał panią de Villeparisis. Ale nikt już prawie nie wie, kto była pani Leroi; jej sąd ulotnił się, a salon pani de Villeparisis, gdzie bywała królowa szwedzka, gdzie bywali książę d'Aumale, książę de Broglie, Thiers, Montalambert, biskup Dupanloup, przetrwał jako jeden z najświetniejszych salonów XIX wieku dla tej potomności, która nie zmieniła się od czasu Homera i Pindara i dla której godną zazdrości rangą jest wysokie urodzenie — królewskie lub omal że królewskie — przyjaźń królów, wodzów narodu, znamienitych mężów.

Otóż wszystko to miała pani de Villeparisis po trosze w swoim obecnym salonie i w swoich wspomnieniach, czasem lekko retuszowanych, przy których pomocy przedłużała go w przeszłość. Następnie pan de Norpois, niezdolny odbudować swojej przyjaciółce prawdziwej sytuacji, przyprowadzał jej w zamian zagranicznych lub francuskich mężów stanu, którzy go potrzebowali i którzy wiedzieli, że jedynym skutecznym sposobem zyskania jego łask jest być u pani de Villeparisis. Może i pani Leroi знаła te europejskie znakomitości. Ale jako kobieta miła i unikająca tonu sawantki, strzegła się mówić o kwestii wschodniej z premierami, zarówno jak o istocie miłości z powieściopisarzami i filozofami. „Miłość? — odparła raz pretensjonalnej damie, która spytała jej: »Co pani myśli o miłości?«. — Miłość uprawiam często, ale nie mówię o niej nigdy”. Kiedy pani Leroi miała u siebie owe świeczniki literatury i polityki, poprzestawała, jak księżna de Guermantes, na tym, aby im urządzić partyjkę pokera. Często woleli to niż programowe rozmowy na wielkie tematy, do jakich ich zmuszała pani de Villeparisis. Ale te rozmowy, może śmieszne w towarzystwie, dostarczyły *Wspomnieniom* pani de Villeparisis kapitalnych ustępów, dysertacji politycznych, które dobrze robią w pamiętnikach, jak w tragediach Corneille’a. Zresztą, jedynie salony pań de Villeparisis mogą przejść do potomności, bo panie Leroi nie umieją pisać, a choćby umiały, nie miałyby na to czasu. I jeżeli żyłka literacka pań de Villeparisis jest przyczyną lekceważenia ze strony pań Leroi, wzgarda znowuż pań Leroi osobliwie wspomaga żyłkę literacką pań de Villeparisis, zostawiając sawantkom wczasy, jakich wymaga kariera literacka. Bóg, który chce, aby istniało trochę dobrze napisanych książek, podsyca w tym celu wzgardę w sercu pań Leroi, bo wie, że gdyby panie Leroi zapraszały na obiady panie de Villeparisis, te rzuciłyby natychmiast pióro i kazałyby zaprzęgać na ósmą.

W pewnym momencie weszła wolnym i uroczystym krokiem stara dama słusznego wzrostu, która pod odwiniętym słomkowym kapeluszem obnosiła monumentalną białą fryzurę *à la Marie-Antoinette*. Nie wiedziałem wówczas, że to jest jedna z trzech kobiet, które można było jeszcze obserwować w paryskim towarzystwie i które, jak pani de Villeparisis, mimo iż pochodząc z wielkiego rodu, skazane były na towarzystwo samych odpadków swojego świata. Racje tego ostracyzmu gubiły się w mroku lat; mógłby coś o nich powiedzieć jedynie jakiś elegant współczesnej im epoki. Każda z tych dam miała swoją „księżnę de Guermantes”, swoją świetną siostrzenicę, która składała jej powinne wizyty, ale żadna nie zdołałaby ściągnąć do siebie „księżnej de Guermantes” dwóch tamtych. Pani de Villeparisis żyła bardzo blisko z tymi trzema damami, ale ich nie lubiła. Może ich położenie, dość podobne do jej własnego losu, odbijało obraz, który nie był jej miły. Następnie, te skwaśniałe sawantki, starając się liczbą „saynetek” odegranych pod swoim patronatem stworzyć iluzję salonu, rywalizowały z sobą, niemal walczyły o byt, ile że majątek każdej z nich, nadwreżony w ciągu burzliwej egzystencji, zmuszał je do liczenia się z groszem, do korzystania z gratisowego udziału jakiegoś artysty. Co więcej, dama z fryzurą Marie-Antoinette, ilekroć widziała panią de Villeparisis, nie mogła się powstrzymać od myśli, że księżna de Guermantes nie przychodzi na jej piątki. Pocięchą jej było, że piątków tych nie opuszcza nigdy — jako dobra kuzynka — księżna de Poix, która była jej „księżną de Guermantes” i która znowuż nigdy nie bywała u pani de Villeparisis, mimo iż będąc serdeczną przyjaciółką księżnej de Guermantes.

Jednakże między pałacem na *quai Malaquais* a salonami przy ulicach du Tournon, de la Chaise i du Faubourg Saint-Honoré, węzeł równie silny jak znienawidzony łączył trzy upadłe bóstwa, o których bardzo rad byłbym się dowiedzieć, przeglądając jakiś mitologiczny słownik wielkiego świata, co za awanturka miłosna, co za świętokradzki wybryk, sprowadziły tę karę. To samo świetne pochodzenie, ten sam obecny upadek odgrywały może dużą rolę w konieczności, która im kazała wraz nie cierpieć się i przestawać z sobą. Następnie, każda z nich znajdowała w osobach swoich przyjaciółek wygodny sposób świadczenia grzeczności swoim gościom. Jakimż cudem goście ci nie czuliby się w najbardziej zamkniętym świecie, kiedy ich przedstawiono wysoko utytułowanej damie, której siostra zaślubiła księcia de Sagan czy de Ligne! Tym bardziej, że w dziennikach o wiele więcej mówiono o tych rzekomych salonach niż o prawdziwych. Nawet eleganccy siostrzeńcy (pierwszy Saint-Loup), kiedy jakiś kolega prosił ich, aby go wprowadzili w świat, mówili: „Zaprowadzę cię do mojej ciotki Villeparisis, to interesujący salon”. Wiedzieli zwłaszcza, że to im przysporzy mniej trudu, niż wprowadzić owych przyjaciół do wykwintnych siostrzenic lub szwagierek tych dam. Ludzie bardzo wiekowi, młode kobiety, które dowiedziały się tego od nich, powiadali mi, że jeżeli tych starszych dam nie przyjmowano, to dla nadmiernej swobody ich życia; na moją zaś obiekcję, że to nie jest przeszkoda do dobrego tonu, odpowiedziano mi, że to było coś przechodzącego wszystkie znane dziś proporcje. Wyuzdanie tych uroczystych dam, które siedziały wyprostowane, stało się w ustach osób świadomych rzeczy czymś, czego bym sobie nie zdołał wyobrazić, na miarę przedhistorycznych epok mamuta. Krótko mówiąc, te trzy Parki o białych, niebieskich lub różowych włosach, przyczyniły się do ruiny nieprawdopodobnej ilości mężczyzn. Myślałem, że dzisiejsi ludzie wyolbrzymiają przywary owych bajecznych czasów, jak Grecy stwarzający Ikara, Tezeusza, Herkulesa z ludzi mało odmiennych od tych, którzy ubóstwili te postacie po wielu latach. Ale błędy danej istoty podsumowuje się aż wtedy, kiedy ta osoba nie bardzo jest już w stanie ich powtarzać; z rozmiarów kary socjalnej — która zaczyna się spełniać i którą jedynie stwierdzamy — oceniamy, wyobrażamy sobie, przesadzamy rozmiar popełnionej zbrodni. W tej galerii symbolicznych figur, jaką jest „świat”, kobiety naprawdę lekkie, kompletne Messaliny, mają zawsze uroczystą postać damy co najmniej siedemdziesięcioletniej, wyniosłej, która przyjmuje tyle, ile może, ale nie tych których by chciała; u której nie chcą być kobiety mające swoje grzeszki; jest to dama, której nieodmiennie papież daje „złotą różę” i która czasami napisała o młodości Lamartine’a dzieło uwieńczone przez Akademię Francuską.

— Dzień dobry, Alix — rzekła pani de Villeparisis do damy z białą fryzurą *Marie-Antoinette*, która to dama objęła przenikliwym okiem zebranie, aby sprawdzić, czy nie ma w tym salonie jakiego egzemplarza, który mógłby się nadać do jej salonu, a który w tym wypadku powinna odkryć sama, bo pani de Villeparisis, nie ma co o tym wątpić, umiałaby go przed nią przebiegle ukryć. I tak, pani de Villeparisis strzegła się pilnie przedstawić starej damie Blocha, z obawy, aby nie wystawił w salonie przy *quai Malaquais* tej samej *saynetki* co u niej. Było to zresztą jedynie wet za wet. Bo w wilię tego dnia pani Ristori deklamowała w salonie starej damy, baczącej pilnie, aby pani de Villeparisis, której zwędziła włoską artystkę, usłyszała o tym aż po fakcie. Iżby się o tym nie dowiedziała z gazet i nie obraziła się, stara dama przyszła jej to opowiedzieć, jakoby w niewinności ducha.

Pani de Villeparisis, uważając, że moja prezentacja nie grozi tym, co znajomość z Blochem, przedstawiła mnie fałszywej Marii Antoninie. Ta, starając się możliwie najmniej poruszać, aby na przekór wiekowi ocalić ową linię bogini Coysevoxa, która przed wielu laty czarowała wytworną młodzież, a którą *quasi*-poeci opiewali teraz w lichych rymach — przybrawszy zresztą styl wyniosłej sztywności, wspólnej osobom, które zły los skazał na ustawiczne robienie awansów — skinęła lekko głową z lodowatym majestatem, po czym, obracając się w inną stronę, przestała się mną zajmować, tak jakbym nie istniał. Zachowanie się jej miało podwójną intencję; zdawało się mówić pani de Villeparias: „Widzisz, że nie zależy mi na jednym stosunku więcej i że młodzi ludzie — z żadnego punktu widzenia, ty jaszczurko — nie interesują mnie”. Ale kiedy, w kwadrans potem, owa dama wychodziła, wówczas korzystając z zamętu, szepnęła mi, abym przyszedł w piątek do jej łóża, gdzie spotkam jedną ze starych dam, której wspaniałe nazwisko — była zresztą z domu Choiseul — zrobiło na mnie kolosalne wrażenie.

— Proszę pana, coś mi się widzi, że pan chce pisać o księżnej de Montmorency — rzekła do historyka Frondy pani de Villeparisis, owym szorstkim tonem, jakim bezwiednie chmurzyła się jej uprzejmość, przez pomarszczony dąs, przez fizjologiczny żal starości, zarówno jak przez afektację w podrabianiu chłopskiego niemal tonu dawnej arystokracji. — Pokażę panu jej portret, oryginał kopii znajdującej się w Luwrze.

Wstała, składając pędzle obok kwiatów. Fartuszek, którym była przepasana i który nosiła, aby się nie powalać farbami, podkreślał jeszcze charakter niemal wieśniaczy, jaki jej dawały wielkie okulary i czepek, stanowiąc kontrast z elegancją służby, kamerdynera wnoszącego herbatę i ciasteczka, lokaja w liberii, na którego margrabina zadzwoniła, aby oświecił portret księżnej de Montmorency, ksieni jednego z najsławniejszych klasztorów wschodnich kresów Francji. Wszyscy wstali.

— Co jest dosyć zabawne — rzekła pani de Villeparisis — to że w owych klasztorach, gdzie nasze cioteczne babki bywały przeoryszkami, nie przyjęto by córek króla Francji. To były kapituły bardzo zamknięte.

— Nie przyjęto by córek króla Francji, a to czemu? — spytał zdumiony Bloch.

— Ależ temu, że dom francuski nie miał dosyć pokoleń szlacheckich, od czasu jak popęłnił mezalians.

Zdumienie Blocha rosło.

— Dom francuski mezalians? Z kim?

— No, z Medyceuszami — odparła najnaturalniej pani de Villeparisis. — Piękny portret, nieprawdaz, i doskonale zachowany — dodała.

— Droga — rzekła dama uczesana *à la Marie-Antoinette* — przypominasz sobie, że kiedyś ci przyprowadziła Liszta, Liszt powiedział, że ten portret to kopia.

— Gotowa jestem zawsze schylić głowę przed opinią Liszta w muzyce, ale nie w malarstwie. Zresztą on już był ramol i nie przypominam sobie, aby to kiedy powiedział. Ale to nie ty mi go przyprowadziłaś; jadłam z nim dwadzieścia razy obiad u księżnej de Sayn-Wittgenstein.

Strzał Alix spudłował; zamilkła, stała wyprostowana, bez ruchu. Twarz jej, pokryta grubą warstwą pudru, robiła wrażenie twarzy z kamienia. Ze swoim szlachetnym profilem, była podobna do sypiącej się bogini w parku, na trójkątnym i omszonym cokole okrytym mantylką.

— A! jeszcze jeden piękny portret — rzekł historyk.

Drzwi się otwały, weszła księżna de Guermantes.

— Jak się masz — rzekła jej bez skinienia głową pani de Villeparisis, wyjmując z kieszeni fartucha rękę, którą podawała nowo przybyłej; po czym natychmiast przestała się nią zajmować, zwracając się do historyka:

— To portret księżnej de la Rochefoucauld.

Młody służący o śmiałej minie i twarzy uroczej (ale — co przydawało jej doskonałości — nieco zuchwalej, przy czym zaczerwieniony nieco nos i lekko zadrażniona skóra dawały złudzenie, że zachowały jakby ślad dłuta rzeźbiarza) wszedł, niosąc bilet na tacy.

— To ten pan, który już kilka razy pytał o panią margabinę.

— Powiedziałeś mu że przyjmuję?

— Słyszał głosy.

— Więc dobrze, niech będzie, wpuść. To jakiś pan, którego mi przedstawiono — rzekła pani de Villeparisis. — Oświadczył, że bardzo by pragnął złożyć mi wizytę. Nigdy nie upoważniłam go do tego. Ale, ostatecznie, już piąty raz się fatyguje, nie trzeba ludzi urażać. Panowie — rzekła do mnie i do historyka Frondy — przedstawiam panom moją siostrzenicę, księżną de Guermantes.

Historyk skłonił się głęboko (tak samo ja) i jak gdyby przypuszczał, że jakaś serdeczna wymiana słów powinna nastąpić po tym ukłonie, oczy jego zabłyśły i gotował się otworzyć usta, kiedy go ostudził wygląd pani de Guermantes. Księżna skorzystała z autonomii swojego torsu, aby go rzucić naprzód z przesadną grzecznością i cofnąć go ściśle na dawne miejsce, nie zdradzając twarzą ani spojrzeniem, aby zauważyła, że ktoś znajduje się na wprost niej; wydawszy lekkie westchnienie, poprzestała na stwierdzeniu nikłości wrażenia odniesionego z osoby zarówno mojej, jak z osoby historyka, poruszając skrzydłami nosa z precyzją, która świadczyła o absolutnej inercji jej niezatrudnionej uwagi.

Król, Szlachcic, Krew,
Obyczaje

Obyczaje, Pozycja społeczna

Niewczesny gość wszedł, krocząc prosto ku pani de Villeparisis z naiwną i żarliwą miną: był to Legrandin.

— Dziękuję pani bardzo, że mnie pani raczyła przyjąć — rzekł, kładąc nacisk na słowie *bardzo* — przyjemność, jakiej pani użycza staremu samotnikowi, jest czymś tak rzadkim i subtelnym, iż upewniam panią, że oddźwięk, który...

Urwał, spostrzegając mnie.

— Pokazywałam właśnie panom piękny portret księżnej de la Rochefoucauld, żony autora *Maksym*; od wieków jest w rodzinie.

Pani de Guermantes przywitała się z Alix, usprawiedliwiając się, że tego roku, jak innych, nie mogła być u niej. „Miałam o pani wiadomości przez Magdalenę”, dodała.

— Była u mnie dziś na śniadaniu — rzekła markiza z *quai* Malaquais, myśląc z satysfakcją, że nigdy pani de Villeparisis nie mogłaby się pochwalić tym samym.

Tymczasem ja rozmawiałem z Blochem. Bojąc się — wedle tego, co mi mówiono o odmianie jego ojca w stosunku do niego — aby nie zazdrościł mojej egzystencji, wyraziłem przeświadczenie, że jego życie musi być szczęśliwsze. Powiedziałem to po prostu przez uprzejmość. Ale taka uprzejmość łatwo przekonywa o ich przewadze ludzi bardzo próżnych lub budzi w nich chęć przekonania innych.

— Tak, w istocie, pędzę życie wręcz rozkoszne — rzekł Bloch z wyrazem upojenia. — Mam trzech serdecznych przyjaciół, nie życzyłbym sobie ani jednego więcej, mam uroczą kochankę, jestem nieskończenie szczęśliwy. Rzadki jest śmiertelny, któremu by ojciec Zeus użyczył tyle szczęśliwości.

Przypuszczam, że Bloch chciał się zwłaszcza pochwalić i obudzić we mnie zazdrość. Może była też jakaś chęć oryginalności w jego optymizmie. Widoczne było, że nie chce odpowiadać tymi banalnościami co wszyscy („Och, to drobiazg” etc.), kiedy, na moje pytanie, jak się udał wyprawiony przez niego wieczorek tańczący, na którym nie mogłem być, Bloch odpowiedział spokojnie i obojętnie, tak jakby chodziło o kogoś innego: „Ależ tak, to było bardzo ładne, nad wyraz udane. To było naprawdę uroczne”.

— To, co nam pani mówi, interesuje mnie nieskończenie — rzekł Legrandin do pani de Villeparisis. — Właśnie sobie powiadałem kiedyś, że pani ma wiele z autora *Maksym* w czystości chwytu, coś, co bym określił dwoma sprzecznymi terminami: lapidarna zwinność i nieśmiertelna błyskawiczność. Chętnie bym dziś notował, co pani mówi; ale zapamiętam. To są rzeczy (wedle wyrażenia, zdaje mi się, Jouberta) przyjazne pamięci. Nie czytała pani nigdy Jouberta? Och! tak byłaby mu się pani podobała! Pozwolę sobie dziś jeszcze przesłać pani jego dzieła; dumny będę, że mogę pani sprezentować jego inteligencję. Nie posiadał pani siły, ale miał też dużo wdzięku.

Byłbym chciał zaraz przywitać się z panem Legrandin, ale wciąż trzymał się ode mnie możliwie najdalej, zapewne w tej nadziei, że nie dosłyszę bardzo wyszukanych pochlebstw, jakimi bez przerwy i pod łada pretekstem okadzał panią de Villeparisis.

Wzruszyła z uśmiechem ramionami, tak jakby on sobie z niej żartował i obróciła się do historyka:

— A to jest sławna Maria de Rohan, księżna de Chevreuse, z pierwszego męża księżna de Luynes.

— Moja droga, pani de Luynes przywodzi mi na myśl Yolandę; zaszła właśnie do mnie wczoraj; gdybym wiedziała, że masz wieczór wolny, byłabym posłała po ciebie. Pani Ristori, która przyszła niespodzianie, wygłosiła w obecności autorki wiersze królowej Carmen Sylvy; to było coś cudownego!

„Co za perfidia! — pomyślała pani de Villeparisis. — To z pewnością o tym rozmawiała kiedyś po cichu z panią de Beaulaincourt i z panią Chaponay”.

— Byłam wolna, ale nie byłabym przyszła — odparła — słyszałam panią Ristori za jej dobrych czasów; teraz to już jest ruina. Przy tym nie cierpię wierszy Carmen Sylvy. Ristori była tu raz, przyprowadzona przez księżnę d’Aoste, aby powiedzieć jedną pieśń z *Piekle* Danta. Oto w czym jest niezrównana.

Alix zniosła cios bez drgnienia. Pozostała jak z marmuru. Spojrzenie jej było przenikliwe i puste, nos szlachetnie orli. Ale jeden z jej policzków łuszczył się. Lekkie, dziwne, zielono-różowe wegetacje pokrywały podbródek. Jedna zima więcej może by ją zvaliła.

— O, proszę pana, jeżeli pan lubi malarstwo, niech pan spojrz na portret pani de Montmorency — rzekła margrabina do pana Legrandin, aby przerwać nową falę komplementów.

Korzystając z tego, że Legrandin się oddalił, pani de Guermantes wskazała go ciotce ironicznym i pytającym spojrzeniem.

— To pan Legrandin — rzekła półgłosem pani de Villeparisis — ma siostrę, która się nazywa pani de Cambremer, co ci z pewnością mówi nie więcej niż mnie.

— Jak to, ależ ja ją doskonale znam! — wykrzyknęła pani de Guermantes, zasłaniając sobie usta ręką. — Lub raczej nie znam jej, ale nie wiem co napadło Błażeja, który spotyka licha wie gdzie jej męża, aby powiedzieć tej grubej babie, żeby się do mnie wybrała z wizytą. Nie umiem opisać, co to była za wizyta! Opowiedziała mi, że była w Londynie, wyliczyła wszystkie obrazy z British. Jak mnie ciocia widzi, wychodząc od cioci, idę rzucić bilet temu potworowi. I niech ciocia nie myśli, aby to była najłatwiejsza rzecz; bo pod pozorem, że jest umierająca, ona nieprzerwanie siedzi w domu, i czy się przyjdzie o siódmą wieczór, czy o dziewiątą rano, zawsze jest gotowa uraczyć człowieka plackiem z truskawkami.

— Ale rozumie się, tak, to potwór — potwierdziła pani de Guermantes na pytające spojrzenie ciotki. To osoba niemożliwa: ona mówi „piszczyk”, słowem, rzeczy tego rodzaju.

— Co to jest „piszczyk”? — spytała pani de Villeparisis siostrzenicy.

— Ależ ja nie mam pojęcia! — wykrzyknęła księżna z udanym oburzeniem. — Nie chcę wiedzieć. Ja nie mówię tym językiem.

I widząc, że ciotka naprawdę nie wie, co znaczy *piszczyk*, aby mieć przyjemność okazania, że jest w równym stopniu wykształcona jak purystka, i aby zadrwić z ciotki, zadrwiwszy poprzednio z pani de Cambremer, rzekła na wpół ze śmiechem, powściąganym przez resztki udanego złego humoru:

— Ależ tak, to wszyscy wiedzą; „piszczyk” to jest pisarz w sensie pejoratywnym. Ale to jest ohydne słowo. To może język skrócić. Nigdy mnie nikt nie zmusi, abym to wymówiła.

— Jak to — dodała — to jest jej brat? Jeszcze go nie zlokalizowałam. Ale, w gruncie, to jest rzecz do pojęcia. Ona ma tę samą płaskość dywanika sprzed łóżka i te same zasoby intelektualne okrzęnej biblioteczki. Jest równie nadskakująca i równie nudna. Zaczynam się oswajać z ideą tego pokrewieństwa.

— Usiądź, zaraz nam dadzą herbaty — rzekła pani de Villeparisis do księżnej. — Obsłuż się sama, ty nie potrzebujesz oglądać portretów swoich prababek, znasz je równie dobrze jak ja.

Niebawem pani de Villeparisis usiadła i wzięła się do malowania. Wszyscy zbliżyli się do niej; skorzystałem z tego, aby podejść do pana Legrandin. Nie widząc nic występnego w jego obecności u pani de Villeparisis, rzekłem, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo go zranie, i budząc w nim zarazem przeświadczenie, że go zranił rozmyślnie:

— I cóż, proszę pana, czuję się niemal rozgrzeszony z obecności swojej w salonie, skoro pana w nim spotykam.

Pan Legrandin wywnioskował z tych słów (taki przynajmniej sąd wydał o mnie w kilka dni później), że jestem szczególnie źle ladaco, znajdujące rozkosz w tym, aby komuś dokuczyć.

— Mógłby pan być na tyle grzeczny, aby się ze mną wprzód przywitać — odparł, nie podając mi ręki, wściekłym i trywialnym głosem, którego w nim nie podejrzewałem i który, nie będąc w racjonalnym związku z tym, co Legrandin mówił zazwyczaj, zdradzał inny, bardziej bezpośredni i uderzający, związek z czymś, co odczuwał. A ponieważ jesteśmy zdecydowani ukryć na zawsze to, co czujemy, nigdy nie pomyśleliśmy o sposobie, w jaki byśmy to wyrazili. I nagle daje się w nas słyszeć, niby potworna i nieznana bestia, zwierzę, którego głos może wręcz przestraszyć kogoś, kto przejmuje to mimowolne, pośrednie i prawie że nieodparte zwierzenie naszej wady lub przywary; przestraszyć tak, jak przestraszyłoby nagle, pośrednio i dziwacznie wyrażone wyznanie zbrodniarza, niezdolnego się wstrzymać od przyznania się do morderstwa, o którymś go nie posądzali. Zapewne, wiedziałem, że idealizm — nawet subiektywny — nie przeszkodzi wielkiemu

filozofowi być łakomym lub zabiegać wytrwale o fotel w Akademii. Ale doprawdy Le-
grandin niepotrzebnie przypominał tak często, że jest „z innej planety”, skoro wszystkie
konwulsyjne odruchy jego gniewu lub uprzejmości płynęły z chęci dobrego uplasowania
się na tej.

— Oczywiście, kiedy mnie ktoś nęka dwadzieścia razy z rzędu, aby mnie gdzieś ścią-
gnąć — dodał półgłosem — wówczas, mimo że mam prawo do swobody, nie mogę
przecież okazać się chamelem.

Pani de Guermantes siadła. Nazwisko jej, któremu towarzyszył tytuł, spowijał jej fi-
zyczną osobę w owo księstwo, rozpościerające się dokoła niej i rodzące cienisty i złocony
chłód lasów Guermantes w tym salonie, dokoła pufa, na którym siedziała. Czułem się
tylko zdziwiony, że podobieństwo to nie było czytelniejsze na twarzy księżnej, niemają-
cej nic roślinnego; co najwyżej na policzkach które powinny by być naznaczone herbem
Guermantes — widniały drobne żyłki, będące skutkiem (ale nie obrazem) długich kon-
nych spacerów na wietrze. Później, kiedy mi się księżna stała obojętna, poznałem wiele
jej cech; mianowicie (aby się na razie ograniczyć do tego, czego urokowi już bezwiednie
i nieświadomie ulegałem) oczy jej, w których zamknięte było, niby na jakim obrazie, błę-
kitne niebo francuskiego popołudnia, czyste, skąpane w świetle, nawet kiedy to światło
nie lśniło; głos w pierwszej chwili jak gdyby zachrypnięty, niemal gminny, w którym
włóczyło się, niby na stopniach kościoła w Combray lub cukierni na rynku, leniwe i tłu-
ste złoto prowincjonalnego słońca. Ale tego pierwszego dnia nie rozróżniałem nic; moja
żarliwa uwaga rozpylała natychmiast to niewiele, co mogłem pochwycić i w czym mógł-
bym odnaleźć coś z nazwiska „Guermantes”. W każdym razie powiadałem sobie, że to
ją niewątpliwie oznacza dla całego świata nazwisko księżnej de Guermantes; że to wła-
śnie ciało zawiera niepojęte życie określone tym nazwiskiem; wprowadziło ją oto w sferę
odmiennych istot, w ten salon, który ją otaczał ze wszystkich stron, a od którego od-
cinała się tak żywo, że widziałem niejako, tam gdzie to życie przestało się rozpościerać,
smugę wrzenia określającą jej granice: w obwodzie, jaki rysował na dywanie krąg nie-
bieskiej jedwabnej spódnicy i w jasnych źrenicach księżnej, w przecięciu zainteresowań,
wspomnień i niepojętej, wzgardliwej, rozbawionej i ciekawej myśli, która je wypełniała
oraz odbijających się w nich zewnętrznych obrazów. Byłbym może nieco mniej wzru-
szony, gdybym spotkał księżną u pani de Villeparisis na wieczorze, zamiast ją spotkać
na jednym z „żurków” margrabiny, na „herbacie”, która jest dla kobiet tylko krótkim
postojem w rozkładzie dnia i gdzie, zostając w kapeluszu, w którym uganiały po mieście,
wnoszą w amfiladę salonów woń powietrza ulicy, szerzej wpuszczając w nie schyłek pa-
ryskiego popołudnia, niż to czynią wysokie otwarte okna, przez które dochodzi turkot
powozów. Pani de Guermantes miała słomkowy *canotier*, strojny bławatkami; a kwiaty te
przywodziły mi na pamięć nie słońca odległych lat na bruzdach Combray, opodał żywo-
plotu w Tansonville, gdzie tak często zrywałem te bławatki, ale zapach i pył zmierzchu,
w którym dopiero co kąpała się pani de Guermantes na ulicy de la Paix. Z uśmiech-
niętą, wzgardliwą i zagadkową miną, krzywiąc lekko zaciśnięte wargi, rysowała kółka
na dywanie końcem parasolki niby ostatnią maską swego tajemniczego życia; następnie,
z ową obojętną uwagą, która od razu niweczy wszelką styczność z tym, co się ogląda,
spojrzenie księżnej spoczywało kolejno na każdym z nas, potem robiło przegląd kanap
i foteli, łagodniejąc wówczas w wyrazie ludzkiej sympatii, jaką budzi nieznająca nawet
obecność rzeczy znajomej, rzeczy będącej niemal osobą; te meble nie były jak my, one
były poniekąd z jej świata, były związane z życiem jej ciotki; następnie, z mebla *Beau-
vais*, spojrzenie to schodziło na osobę, która na nim siedziała; wówczas przybierało ono
z powrotem ten sam bystry wyraz i to niezadowolenie, którego szacunek dla ciotki nie
pozwoliłby księżnej wyrazić, ale które by niewątpliwie odczuła, gdyby, w miejsce naszej
obecności, stwierdziła na fotelach tłustą plamę lub warstwę kurzu.

Wszedł znakomity pisarz G...; przyszedł złożyć pani de Villeparisis wizytę, którą uwa-
żał za pilną. Księżna, zachwycona tym, że go spotyka, nie przywołała go do siebie gestem,
niemniej, w sposób całkiem naturalny, on sam podszedł do niej; jej wdzięk, takt, pro-
stota, kazały mu ją uważać za kobietę inteligentną. Zresztą, grzeczność nakładała mu
obowiązek podejścia do księżnej, ile że — ponieważ był miły i sławny — pani de Gu-
ermantes zapraszała go często na śniadanie, nawet we trójkę z mężem, lub jesienią do
Guermantes; korzystała z tej zażyłości, aby go zapraszać w pewne wieczory na obiad z do-

stojnymi gośćmi pragnącymi poznać pisarza. Bo księżna lubiła przyjmować niektórych wybranych ludzi, ale pod warunkiem, aby byli nieżonaci, którego to warunku dopełniali wobec niej, nawet gdy byli żonaci; żony ich bowiem, zawsze mniej lub więcej pospolite, raziłyby w salonie, gdzie znajdowały się jedynie najwykwintniejsze piękności paryskie. Tych znakomitych ludzi zawsze zapraszało się bez żon; aby uprzedzić wszelką drażliwość, książę tłumaczył tym „wdowcom mimo woli”, że księżna nie przyjmuje kobiet, nie znosi towarzystwa kobiet, prawie tak, jakby to był przepis lekarza i tak jakby mówił, że żona nie może być w pokoju, gdzie jest jakiś zapach, jeść zbyt słono, siedzieć w wagonie tyłem do lokomotywy lub nosić gorsetu. Prawda, że ci wielcy ludzie widywali u Guermantów księżnę Parmy, księżnę de Sagan (którą Franciszka, słysząc wciąż o niej, nazywała w końcu — sądząc, iż ten rodzaj żeński wymagany jest przez gramatykę — *Saganką*) i wiele innych; ale obecność ich usprawiedliwiano tym, że to jest rodzina albo przyjaciółki z dzieciństwa, których się nie da pominąć. Przekonani lub nieprzekonani wyjaśnieniami księcia de Guermantes w przedmiocie szczególnej choroby księżnej, polegającej na tym, że nie znosi towarzystwa kobiet, wielcy ludzie powtarzali je swoim żonom. Niektóre myślały, że ta choroba jest tylko płaszczykiem zazdrości i że księżna chce sama władać nad dworem wielbicieli. Jeszcze naiwniejsze myślały, że księżna ma jakieś dwuznaczne gusty, może skandaliczną przeszłość, że kobiety nie chcą u niej bywać i że pani de Guermantes konieczność tłumaczy kaprysem. Najpoczuwszy, słysząc z ust mężów cuda o dowcipie i inteligencji księżnej, uważały, że osoba o tyle wyższa od innych kobiet nudzi się w ich towarzystwie, bo nie ma z nimi o czym mówić. I faktem jest, że księżna nudziła się z kobietami, o ile najdostojniejsze urodzenie nie przydawało im specjalnego uroku. Ale wygnane małżonki myliły się, sądząc, iż księżna pragnie przyjmować jedynie mężczyzn po to, aby z nimi mówić o literaturze, nauce i filozofii. Bo nie mówiła o tym nigdy, przynajmniej z luminarzami intelektu. Siłą tradycji rodzinnej, która sprawia, iż córki wielkich wodzów zachowują, nawet pośród swoich najbliższych zatrudnień, szacunek dla rzeczy tyjących armii, księżna — wnuczka kobiet zaprzyjaźnionych z Thiersem, Mériméem i Augierem — uważała, że trzeba w swoim salonie zachować miejsce przede wszystkim dla wybitnych umysłów; ale z drugiej strony, z łaskawego zarazem i serdecznego sposobu, w jaki tych sławnych ludzi przyjmowano w Guermantes, przechowała nawyk traktowania ludzi z talentem jak bliskich znajomych, których talent nie olśniewa nas, z którymi nie mówi się o ich dziełach, co by ich zresztą nie bawiło. Następnie, charakter jej umysłowości — styl Mériméeego oraz Meilhaca i Halévy — skłaniał ją, przez kontrast z rozgadany sentymentalizmem poprzedniej epoki, do rodzaju rozmowy odrzucającej wszelki frazes i grandilokwencję; co sprawiało, że księżna, znajdując się w towarzystwie poety lub muzyka, uważała za najwytworniejsze mówić jedynie o potrawach, które się właśnie je, lub o partyjce kart, do której się siadzie za chwilę. Dyscyplina ta miała dla kogoś nieoswojonego z nią coś niepokojącego, niemal tajemniczego. Kiedy pani de Guermantes pytała takiego kogoś, czy sprawiłoby mu przyjemność spędzić wieczór z jakimś sławnym poetą, ów, pożerany ciekawością, przybywał o oznaczonej godzinie. Przez cały czas księżna mówiła do poety o pogodzie. Siadano do stołu. „Czy pan lubi jajka przyrządzone w ten sposób?” — pytała poety. Wobec jego uznania, które podzielała (bo wszystko, co było u niej w domu, zdawało się jej wyborne, nawet ohydny jablecchnik sprowadzany z Guermantes), polecała lokajowi: „Proszę panu podać jeszcze”, podczas gdy wzruszony gość wciąż oczekiwał tego, co oni mieli z pewnością sobie do powiedzenia, skoro doprowadzili do skutku to spotkanie mimo tysiąca trudności — przed wyjazdem poety. Ale obiad ciągnął się dalej, obnoszono półmiski, które dawały pani de Guermantes sposobność do miłych żarcików lub zabawnych historyjek. Tymczasem poeta wciąż jadł, przy czym ani księciu, ani księżnej nie przychodziło na myśl przypomnieć sobie, że on jest poetą. I niebawem śniadanie dobiegało końca, i trzeba się było pożegnać, nie rzekłszy słowa o poezji, którą wszyscy kochali, ale o której — przez delikatność, jakiej przedsmak dał mi Swann — nikt nie mówił. Ta delikatność, to był po prostu *dobry ton*. Ale dla kogoś obcego, jeżeli zastanowił się trochę, miał ten obyczaj coś bardzo melancholijnego; obiad u Guermantów przywodził na myśl owe godziny, jakie nieśmiali kochankowie spędzają często, mówiąc same banalności, aż do chwili rozstania, tak że — przez nieśmiałość, wstydlivość lub niezręczność — wielki sekret, który wyznać byłoby dla nich takim szczęściem, nigdy nie może przejść im przez usta. Zresztą, trzeba dodać, że to milczenie zachowywane

co do rzeczy głębokich — przy czym wciąż się oczekiwało momentu ich poruszenia — o ile mogło uchodzić za charakterystyczne dla księżnej, nie było jednak absolutne. Pani de Guermantes spędziła młodość w środowisku nieco odmiennym, równie arystokratycznym, ale mniej świetnym, a zwłaszcza mniej czczym niż to, w którym żyła obecnie, w zamian za to odznaczającym się wielką kulturą. Zostawiło jej ono pod obecną światowością pewien grunt solidniejszy, niewidzialnie odżywczy, skąd księżnej zdarzało się czerpać nawet (bardzo rzadko, bo nie cierpiała pedantyzmu) jakiś cytat z Wiktora Hugo lub Lamartine’a, który, trafnie zastosowany, powiedziany z inteligentnym spojrzeniem pięknych oczu, mimo woli zadziwiał i czarował. Czasem nawet, bez pretensji, z taktem i prostotą, dawała autorowi dramatycznemu — akademikowi — jakąś dorzeczną radę, radziła mu złagodzić jakąś sytuację lub zmienić rozwiązanie.

Jeżeli w salonie pani de Villeparisis, tak samo jak w kościele w Combray na ślubie panny Percepied, z trudnością przychodziło mi w pięknej i zbyt ludzkiej twarzy pani de Guermantes odnaleźć nieznany urok jej nazwiska, sądziłem bodaj, że jej rozmowa — głęboka, tajemnicza — będzie miała dziwność średniowiecznego haftu lub gotyckiego witrażu. Ale na to, by słowa wychodzące z ust osoby zwanej *panią de Guermantes* nie sprawiły mi zawodu — nawet gdybym jej nie kochał — nie wystarczyłoby już, aby były subtelne, piękne i głębokie; na to musiałyby odbijać ów amarantowy kolor ostatniej zgłoski jej nazwiska, ów kolor, którego nieobecność w jej osobie zdziwiła mnie już pierwszego dnia i który przeniosłem w jej myśl. Bez wątpienia, słyszałem już panią de Villeparisis, Roberta de Saint-Loup — ludzi, których inteligencja nie miała nic niezwykłego — jak wymawiali niedbale owo *Guermantes*, po prostu jako nazwisko osoby, która ma przyjść z wizytą lub u której ma się być na obiedzie, najwidoczniej nie czując w tym nazwisku widoku żółknących lasów i całego tajemniczego zakątka prowincji. Ale to musiała być afektacja z ich strony, podobnie jak gdy poeci klasycyści nie uprzedzają nas o głębokich intencjach, które jednakże mieli; afektacja, którą i ja sililem się naśladować, mówiąc najnaturalniej *księżna de Guermantes* — ot, jak nazwisko podobne do tylu innych. Zresztą wszyscy upewniali, że to jest osoba bardzo inteligentna, dowcipna, żyjąca w kółku niezmiernie interesującym; wszystko to podsycalo moje marzenia. Bo kiedy mówili *inteligentne kółko, dowcip*, nie wyobrażałem sobie zgoła inteligencji takiej, jaką znałem, choćby nawet inteligencji najwyższych duchów; nie wyobrażałem sobie owego kółka jako grona ludzi w rodzaju Bergotte’a. Nie, przez inteligencję rozumiałem jakąś właściwość niewysłowioną, złocistą, nasyoną leśnym chłodem. Nawet mówiąc najinteligentniejsze rzeczy (w sensie, w jakim brałem słowo *inteligentny*, kiedy chodziło o filozofa lub krytyka), pani de Guermantes byłaby może bardziej jeszcze zawiodła moje oczekiwanie tak odrębnej właściwości, niż gdyby w błahej gawędce mówiła po prostu o przepisach kucharskich lub o urządzeniu zamku, lub wymieniała nazwiska sąsiadek, krewnych, które by mi uzmysłowiły jej życie.

— Myślałam, że zastanę Błażeja tutaj, miał zamiar ciocię odwiedzić — rzekła pani de Guermantes do ciotki.

— Nie widziałam twojego męża od kilku dni — odparła podejrzliwie i kwaśno pani de Villeparisis. — Nie widziałam go, albo widziałam może raz, od czasu tego przemilego żarciku, kiedy to kazał się oznajmić jako królowa szwedzka.

Aby się uśmiechnąć, pani de Guermantes przygryzła wargi, tak jakby uszczypnęła ustami woalkę.

— Jedliśmy z nią wczoraj obiad u Blanki Leroi; nie poznałaby jej ciocia, zrobiła się olbrzymia, jestem pewna, że musi być chora.

— Mówiłam właśnie panom, że zrobiła na tobie wrażenie żaby.

Pani de Guermantes wydała chrapliwy dźwięk, świadczący, że się zaśmiała z poczucia obowiązku.

— Nie wiedziałam, żem zrobiła to piękne porównanie, ale w takim razie to jest żaba, której się udało osiągnąć rozmiary wołu. A raczej niezupełnie to, bo cały jej rozmiar skupił się na brzuchu: to raczej żaba w błogosławionym stanie.

— Paradny obraz! — rzekła pani de Villeparisis, w gruncie rzeczy dość dumna wobec swoich gości z dowcipu siostrzenicy.

— Zwłaszcza *arbitralny* — odparła pani de Guermantes, biorąc ironicznie w cudzysłów ten wyszukany epitet, tak jakby to uczynił Swann — bo przyznaję, że nigdy nie

widziałam żaby w połogu. W żadnym razie, ta żaba, która zresztą nie żąda króla, bo nigdy nie widziałam jej tak rozbrykanej, jak od śmierci jej małżonka, ma być u nas na obiedzie któregoś dnia w przyszłym tygodniu. Powiedziałam jej, że uprzedzę ciocię na wszelki wypadek.

Pani de Villeparisis wydała niewyraźny pomruk.

— Wiem, że przedwczoraj była na obiedzie u pani de Mecklemburg — dodała. — Był tam Hannibal de Bréauté. Przyszedł mi to opowiedzieć i muszę przyznać, wcale dowcipnie.

— Był na tym obiedzie ktoś znacznie dowcipniejszy od naszego Babala — rzekła pani de Guermantes, która, choć była bardzo blisko z panem de Bréauté-Consalvi, chciała to okazać, nazywając go tym zdrobnieniem. — Mianowicie pan Bergotte.

Nie myślałam, że Bergotte'a można było uważać za dowcipnego; co więcej, należał dla mnie do ludzkości inteligentnej, to znaczy nieskończenie odległej od tajemniczego królestwa, którem ujrzał pod purpurowymi firankami łoża, gdzie pan de Bréauté, pobudzając do śmiechu księżnę, wiódł z nią, w języku bogów, tę rzecz niepojętą: rozmowę mieszkańców *Faubourg Saint-Germain*. Zmartwiłem się, że równowaga się mąci i że Bergotte wysuwa się przed pana de Bréauté. Ale zwłaszcza byłem w rozpacz, że unikam Bergotte'a w ów wieczór Fedry, że nie podeszedł do niego; byłem w rozpacz teraz, kiedy usłyszał, jak pani de Guermantes mówi do pani de Villeparisis:

— To jedyny człowiek, którego mam ochotę poznać — dodała księżna, w której zawsze można było, niby w momencie duchowego przyływu, obserwować, jak fala ciekawości w stosunku do sław intelektualnych spotyka się z odpływem arystokratycznego snobizmu. — To by była dla mnie wielka przyjemność!

Pokazanie się w towarzystwie Bergotte'a, rzecz tak łatwa do osiągnięcia, ale zdolna w moim pojęciu obniżyć mnie w oczach pani de Guermantes, byłaby mi zapewne zyskała to, że księżna wezwałaby mnie skinieniem do łoża i prosiłaby mnie, abym któregoś dnia przyszedł do niej z wielkim pisarzem na śniadanie.

— Zdaje się, że nie był bardzo miły; przedstawiono go księciu Koburskiemu i nie odezwał się do niego ani słowa — rzekła pani de Guermantes, podkreślając ten ciekawy rys, tak jakby opowiadała, że Chińczyk obtarł nos papierem. — Nie powiedział mu ani razu „Wasza Wysokość” — dodała z miną ubawioną tym szczegółem, równie ważnym dla niej, jak zachowanie się protestanta, wzdragającego się na audiencji u papieża klękając przed jego świątobliwością.

Zainteresowana wybrykami Bergotte'a, księżna nie widziała w nich zresztą nic gannego; zdawałoby się raczej, że mu je poczytuje za zasługę, mimo iż sama nie wiedziała ściśle, jakiego rodzaju jest ta zasługa. Mimo tego jej szczególnego sposobu pojmowania oryginalności Bergotte'a, fakt, że pani de Guermantes, ku zdziwieniu wielu osób, uznała Bergotte'a za dowcipniejszego od pana de Bréauté, wydał mi się później dosyć godny uwagi. Owe rewelacyjne sądy, odosobnione, a mimo wszystko słuszne, są w „świecie” udziałem nielicznych osób przerastających inne. Te właśnie osoby kreślą pierwszy zarys hierarchii walorów, takiej, jaką przyjmie następne pokolenie, zamiast się trzymać wiekuiście dawnej.

Hrabia d'Argencourt, poseł belgijski i powinowaty pani de Villeparisis, wszedł kulejąc, a tuż za nim dwaj młodzi ludzie, baron de Guermantes i jego wysokość książę de Châtellerault, do którego pani de Guermantes rzekła: „Jak się masz, mały”; powiedziała to niedbale i nie ruszając się z pufa, była bowiem w wielkiej przyjaźni z matką młodego księcia, który z tej przyczyny miał dla niej od dziecka wiele szacunku. Wysocy, szczupli, ze złotą cerą i złotymi włosami, typowi Guermantes, ci dwaj młodzi ludzie robili wrażenie jakby zagęszczenia wiosennego i wieczornego światła, zalewającego salon. Modnym wówczas zwyczajem postawili cylindry przy sobie na ziemi. Historyk Frondy myślał, że oni są zakłopotani, niby chłop, gdy wchodzi do urzędu i nie wie co począć z kapeluszem. Pragnąc przyjść miłośniwie z pomocą ich domniemanemu nieobyciu, rzekł:

— Nie, nie, niech panowie nie stawiają kapeluszy na ziemi, zniszczą się.

Spojrzenie barona de Guermantes, nachylając skośnie płaszczyznę jego żrenic, zabarwiło je nagle zimnym i ostrym błękitem, który zmroził życzliwego historyka.

— Jak się nazywa — spytał mnie — ten jegomość, którego mi przedstawiła pani de Villeparisis?

— Pan Adam — odparłem półgłosem.

— Adam jak?
— Adam to jego nazwisko, to bardzo ceniony historyk.
— A!... upadam do nóg.
— Nie, to jest nowy obyczaj tych panów, aby kłaść kapelusze na ziemi — objaśniła pani de Villeparisis. — Jestem taka jak pan, nie mogę się do tego przyzwyczaić. Ale wolę to, niż kiedy mój siostrzeniec Robert zostawia kapelusz w przedpokoju. Kiedy wchodzi w ten sposób, powiadam mu zawsze, że wygląda na zegarmistrza i pytam się go, czy przyszedł nastawiać zegary.

— Mówiła pani przed chwilą, pani margrabino, o kapeluszu pana Molé; dojdziemy niebawem do tego, co Arystoteles w rozdziale o kapeluszach... — zaczął mówić historyk Frondy, nieco skrzepiony interwencją pani de Villeparisis, ale głosem jeszcze tak wątlwym, że z wyjątkiem mnie nikt go nie dosłyszał.

— Bajeczna jest doprawdy nasza kochana księżna — rzekł pan d'Argencourt, pokazując panią de Guermantes, która rozmawiała ze sławnym pisarzem. — Z chwilą gdy się znajdzie w salonie sławny człowiek, zawsze musi być przy niej. Oczywiście musi to być jakiś wielki mogoł. Nie można mieć co dzień pana de Borelli, Schlumbergera lub pana d'Avenel; ale wówczas będzie pan Loti albo pan Rostand. Wczoraj wieczór u Doudeauvillów, gdzie, nawiasem mówiąc, wspaniała była nasza księżna w swoim szmaragdowym diademie, w różowej sukni balowej z trenem, miała z jednej strony pana Deschanel, z drugiej niemieckiego ambasadora: wyklócała się z nimi o Chiny; publiczność, w pełnej szacunku odległości, nie słysząc, co mówią, pytała się, czy nie będziemy mieli wojny. Doprawdy, można by rzec, królowa odbywająca *cercle*.

Wszyscy zbliżyli się do pani de Villeparisis, przyglądając się, jak maluje.

— Te kwiaty mają różowość doprawdy niebieską — rzekł Legrandin — to znaczy koloru różowego nieba. Bo bywa niebo różowe, jak bywa niebo niebieskie. Ale — szepnął ciszej jedynie dla margrabiny — mam wrażenie, że ja wolę jeszcze atlas i szkarłat tej ich kopii, nad którą pani pracuje. Ach, jakże błędą przy pani Pisanello i Van Huysun ze swoim drobiazgowym i martwym zielnikiem.

Artysta, choćby najskromniejszy, godzi się zawsze, aby go przekładano nad jego rywali i stara się jedynie oddać im sprawiedliwość.

— Pańskie wrażenie tłumaczy się tym, że oni malowali kwiaty z owego czasu, których my już nie znamy; ale to byli wielcy mistrze.

— A, kwiaty z owego czasu, śliczna myśl! — wykrzyknął Legrandin.

— W istocie, bardzo są piękne te kwiaty wiśni... czy dzikiej malwy... — rzekł historyk Frondy nie bez wahania co do kwiatu, ale pewniejszym głosem, bo zapomniał już o zdarzeniu z kapeluszami.

— Nie, to przecież kwiaty jabłoni — rzekła księżna de Guermantes, zwracając się do ciotki.

— A, widzę że z ciebie dobra wieśniaczka: jak ja, umiesz rozróżniać kwiaty.

— A, tak, prawda! ale ja myślałam, że pora jabłoni już minęła — rzekł, ratując się na los szczęścia, historyk Frondy.

— Ależ nie, przeciwnie, jeszcze nie kwitną, nie będą kwitły wcześniej niż za dwa, może trzy tygodnie — rzekł archiwista, który, zawiadując po trosze dobrami pani de Villeparisis, bardziej był świadomy spraw wsi.

— Tak, i to jeszcze w okolicach Paryża, gdzie są bardzo wczesne. W Normandii na przykład, u jego ojca — rzekła, wskazując księcia de Châtellerault — który ma wspaniałe jabłonie nad samym morzem, niby na parawanie japońskim, robią się naprawdę różowe aż po 20 maja.

— Nie widuję ich nigdy — rzekł młody książę — mnie to przyprawia o gorączkę sienną, to piramidalne.

— Gorączka sienna, nigdy nie słyszałem o tym — rzekł historyk.

— To modna choroba — rzekł archiwista.

— To zależy; to by może panu nie zaszkodziło, jeżeli to jest dobry rok na jabłka. Znać państwo normandzkie porzekadło... — rzekł pan d'Argencourt, który, nie będąc całkowicie Francuzem, siłił się być paryżaninem.

— Masz słuszność — rzekła pani de Villeparisis do siostrzenicy — to jest jabłoń z Południa. Kwiaciarka przysłała mi te gałązki, prosząc, abym je przyjęła. Pana to dziwi,

panie Vallenères — rzekła, zwracając się do archiwisty — że kwiaciarka przysłała mi gałązkę jabłoni. Ale, mimo iż jest ze mnie bardzo stara dama, znam trochę ludzi, mam paru przyjaciół — dodała, uśmiechając się przez prostotę, jak przypuszczano powszechnie, ale raczej, jak mnie się wydawało, przez kokieteryę: ładnie jest pochwalić się przyjaźnią kwiaciarki, kiedy się ma tak wysokie stosunki!

Z kolei Bloch wstał, aby podziwiać kwiaty, które malowała pani de Villeparisis.

— To fakt, pani margrabino — rzekł historyk wracając na swoje miejsce — że gdyby się nawet zdarzyła jedna z owych rewolucji, które tak często krwawiły Francję... mój Boże, w dzisiejszych czasach nic nie można wiedzieć — dodał, rzucając dokoła ostrożne spojrzenie, jakby dla sprawdzenia, czy nie ma w salonie kogo „źle myślącego”, mimo iż był tego pewny — przy takim talencie i przy pani pięciu językach, miałyby pani zawsze pewność, że pani sobie da radę.

Historyk Frondy zażywał niejakiego wytchnienia, bo zapomniał o swojej bezsenności. Ale przypomniał sobie nagle, że nie spał od sześciu dni; i w tej samej chwili zmęczenie, zrodzone w jego wyobraźni, obciążyło mu nogi, przygięło ramiona, i osmucona jego twarz obwisła, podobna do twarzy starca.

Bloch chciał uczynić jakiś gest, aby wyrazić podziw, ale ruchem łokcia przewrócił wazon, w którym tkwiła gałązka, i cała woda rozlała się na dywan.

— Istne ręce wróżki — rzekł do margrabiny historyk, który obrócony w tej chwili plecami, nie spostrzegł niezręczności Blocha.

Ale ów myślał, że te słowa odnoszą się do niego, i aby pokryć bezczelnością zażenowanie, rzekł:

— Nic się wielkiego nie stało, nie oblałem się.

Pani de Villeparisis zadzwoniła, przyszedł lokaj, aby wytrzeć dywan i zebrać kawałki szkła. Margrabina zaprosiła dwóch młodych ludzi na swój „poranek”, toż samo panią de Guermantes, do której rzekła:

— Pamiętaj powiedzieć Gizeli i Bercie — (księżnej d’Auberion i księżnej de Portefin) — żeby przyszły trochę wcześniej pomóc mi — (tak jak poleciłaby „dochodzącym”, żeby przyszli wcześniej przyrzucić kompotierki).

Margrabina nie znajdowała dla swoich wysoko urodzonych krewnych, tak samo jak dla pana de Norpois, żadnej z owych uprzejmości, jakimi darzyła historyka, profesora Cottarda, Blocha, mnie; możnaby myśleć, iż jedyną wartością tamtych jest to, że może ich rzucić na łup naszej ciekawości. Bo wiedziała, że nie ma się co wysilać dla ludzi, dla których była nie mniej lub bardziej świętą kobietą, ale jedynie drażliwą siostrą, oszczędną przez ich ojca lub wuję. Na nic by się jej nie zdało olśniewać tych ludzi, którzy znali na wylot silne i słabe strony jej sytuacji, umieli na pamięć jej historię i szanowali dostojną krew, z której się wiodła. Byli dla niej jedynie martwym szczątkiem, niezdolnym już wydać owoców; nie przedstawia jej swoich nowych przyjaciół, nie podziela z nią swoich przyjemności. Mogła uzyskać jedynie ich obecność lub możliwość mówienia o nich na swojej herbatce, jak potem w swoich pamiętnikach, dla których ta herbatka była tylko rodzajem generalnej próby, pierwszą głośną lekturą w małym kółku. Prawdziwym jej towarzystwem, które owi wszyscy szlachetni krewni pomagali jej zainteresować, olśnić, przykuć, było towarzystwo Cottardów, Blochów, znanych autorów dramatycznych, historyków Frondy wszelakiego rodzaju. W tym towarzystwie znajdowała margrabina — w braku eleganckiego świata, który u niej nie bywał — ruch, nowość, rozrywkę i życie; to byli ludzie, z których czerpała socjalne korzyści (warte, aby im dać czasem spotkać księżnę de Guermantes, której zresztą nie mieli być przedstawieni nigdy), obiady z wybitnymi ludźmi, których prace ją interesowały; operę komiczną lub pantominę wystawioną u niej przez autora, łoże na ciekawe sztuki.

Bloch wstał i zamierzał wyjść. Powiedział głośno, że wypadek z wazonem nie ma żadnego znaczenia, ale co innego mówił po cichu, a jeszcze co innego myślał: „Kiedy się nie ma służby na tyle wytresowanej, aby umiała postawić wazon tak, żeby nie groził przewróceniem się, a nawet pokaleczeniem gości, nie trzeba się bawić w wielki świat” — mruczał na stronie. Bloch należał do owych drażliwych „nerwowców” niezdolnych ścierpieć, że popełnili niezręczność, do której nie przyznają się przed sobą, ale przez którą mają zepsuty cały dzień. Wściekły, miał pretensje do całego świata, postanawiał sobie przestać już w ogóle bywać. Była to chwila, w której człowiek potrzebuje trochę dys-

trakcji. Szczęściem, za sekundę pani de Villeparisis miała zatrzymać Blocha. Czy że знаła poglądy swoich przyjaciół oraz wzbierającą już falę antysemityzmu, czy po prostu przez roztargnienie, nie przedstawiła go obecnym; jednak Bloch, mało obyty w świecie, sądził, że odchodząc powinien się pożegnać ze wszystkimi, dla dopełnienia formy, ale bez cienia uprzejmości; skłonił kilka razy głowę, wsunął brodę w kołnierzyk, patrząc kolejno na wszystkich przez szkła z zimną i kwaśną miną. Ale pani de Villeparisis zatrzymała go; chciała z nim jeszcze pomówić o komedynie, którą miano grać u niej; z drugiej strony nie chciała, aby Bloch odszedł, nie dostępując satysfakcji poznania pana de Norpois (dziwiła się, że go jeszcze nie ma), mimo że ta prezentacja była zbyt cenna, bo Bloch już był zdecydowany namówić paru artystów, aby przyszli śpiewać gratis, dla reklamy, na jednym z owych przyjęć margrabiny, gdzie spotykała się elita Europy. Zaproponował nawet ponadto tragiczkę „o czystych oczach, piękną jak Hera”, która recytuje poezję prozą z poczuciem plastycznego piękna. Ale słysząc jej nazwisko, pani de Villeparisis odmówiła, bo to była przyjaciółka Roberta de Saint-Loup.

— Mam lepsze nowiny — szepnęła mi do ucha — zdaje się, że to się już wypala i że niebawem się rozstaną, mimo pewnego oficera, który odegrał w tym haniebną rolę — dodała. (Bo rodzina Roberta miała śmiertelną pretensję do pana de Borodino, który dał Robertowi urlop na prośbę fryzjera; obwiniano go, że faworyzuje ten bezecny stosunek). — To ktoś bardzo paskudny — rzekła pani de Villeparisis z cnotliwym akcentem Guermantów, nawet najbardziej zdeprawowanych. — Bardzo, bardzo paskudny — dodała, wzmacniając potrójnym *b* słowo *bardzo*. Czuć było, iż nie wątpi, że ten oficer bierze udział „na trzeciego” we wszystkich orgiach. Twarz jej marszczyła się surowością pod adresem ohydneho kapitana, którego nazwisko wymieniła z ironiczną emfazą: *książę de Borodino*, jak osoba, dla której Cesarstwo się nie liczy. Że jednak uprzejmość była dominującą cechą margrabiny, wybuch ten skończył się czułym uśmiechem pod moim adresem, z mechanicznym zmrużeniem oczu, znamionującym coś w rodzaju współnictwa.

— Lubię bardzo Roberta de Saint-Loup-en-Bray — rzekł Bloch — mimo że jest skończone bydlę, bo jest nadzwyczaj dobrze wychowany. Bardzo lubię, nie jego, ale osoby nadzwyczaj dobrze wychowane, to takie rzadkie — ciągnął, nie zdając sobie sprawy (ponieważ sam był bardzo źle wychowany), jak jego słowa rażą. — Zacytuję państwu jeden przykład, dla mnie uderzający, jego doskonałego wychowania. Spotkałem go raz z pewnym młodym człowiekiem, kiedy miał wsiadać na rydwan o pięknych osiach, założywszy sam błyszczące lejce parze koni karmionych owsem i jęczmieniem, których nie potrzeba zachęcać lśniącem biczem. Zapoznał nas, ale nie dosłyszałem nazwiska młodego człowieka, bo nigdy się nie słyszy nazwiska osób, którym nas przedstawiają — dodał Bloch, śmiejąc się, bo to był żarcik jego ojca. — De Saint-Loup-en-Bray zachował prostotę, nie nadskakiwał zbyt młodemu człowiekowi, nie wydawał się ani trochę skrupowany. Otóż, przypadkiem dowiedziałem się w kilka dni później, że ten młody człowiek, to był syn sir Rufusa Israels!

Koniec tej historii wydał się mniej rażący niż jej początek, bo go obecni nie zrozumieli. W istocie, sir Rufus Israels — dla Blocha i jego ojca osobistość niemal królewska, przed którą Saint-Loup powinien był drżeć — był, przeciwnie, w środowisku Guermantów cudzoziemcem i parweniuszem, ot, tolerowanym w towarzystwie, człowiekiem, którego przyjaźnią nie przysłoby nikomu do głowy się pysznić, wprost przeciwnie!

— Dowiedziałem się o tym — rzekł Bloch — przez pełnomocnika sir Rufusa Israels: to przyjaciel mego ojca, człowiek bardzo niezwykły. Och, indywiduum absolutnie ciekawe — dodał z ową apodyktyczną energią, z owym akcentem entuzjazmu, jaki wkładamy jedynie w przekonania, których nie wytworzyliśmy sobie sami.

Bloch był zachwycony nadzieją poznania pana de Norpois.

— Chętnie bym — powiedział — pociągnął go za język na temat Dreyfusa. To jest mentalność, którą znam dość mało; byłoby dla mnie wcale pikantne uzyskać *interview* od tego znamienitego dyplomaty — rzekł sarkastycznym tonem, aby się nie wydawało, że się ma za coś gorszego od ambasadora.

— Powiedz mi — podjął Bloch, zwracając się do mnie po cichu — jaki majątek może mieć Saint-Loup? Rozumiesz, że jeżeli się pytam, dbam o to tyle co o zeszłoroczny śnieg; obchodzi mnie to jedynie z punktu widzenia balzakowskiego, rozumiesz. I nie wiesz nawet, w czym to jest ulokowane: czy ma papiery francuskie, zagraniczne, ziemię?

Nie umiałem go w niczym objaśnić. Przestając szeptać, Bloch poprosił bardzo głośno o pozwolenie otworzenia okien, i nie czekając odpowiedzi, skierował się w tę stronę. Pani de Villeparisis powstrzymała go, mówiąc, że jest zakatarzona.

— A, jeżeli to ma pani zaszkodzić... — rzekł Bloch niezadowolony. — Ale trzeba przyznać, że tu jest upał!

Zaśmiał się i powiódł wzrokiem dokoła, jak gdyby szukając u obecnych poparcia przeciw pani de Villeparisis; nie znalazł go wśród tych dobrze wychowanych ludzi. Błyszczące jego oczy, które nie zdołały uwieść nikogo, odzyskały wraz z rezygnacją wyraz serio. Jak gdyby stwierdzając swoją porażkę, rzekł:

— Musi być co najmniej 22 lub 25 stopni? To mnie nie dziwi. Pocę się jak ruda mysz. I nie mam, jak roztropny Antenor, syn strumienia Alphejosa, możliwości zanurzenia się w ojcowskiej fali, aby splukać swój pot, zanim wnijdę do gładkiej wanny i namaszcę się wonną oliwą. — I z wrodzoną ludziom potrzebą kreślenia na użytek drugich teorii lekarskich, których praktyka byłaby pożyteczna dla nas samych, dodał — Ha! skoro pani myśli, że to pani dobrze robi!... Ja sądzę przeciwnie. Właśnie z tego pani ma katar.

Pani de Villeparisis była niekontenta, że Bloch mówi to wszystko tak głośno, ale przestała się przejmować, kiedy ujrzała, że archiwista, którego nacjonalistyczne przekonania trzymały ją niejako na łańcuchu, siedzi zbyt daleko, aby móc usłyszeć. Bardziej zgorszyło ją, kiedy Bloch, party przez demona złego wychowania, który go uprzednio oślepił, spytał się jej, śmiejąc się z ojcowskiego konceptu:

— Prawda, to ten Norpois napisał wytrawne studium, gdzie dowodzi, dla jakich nieodpartych przyczyn wojna rosyjsko-japońska musi się skończyć zwycięstwem Rosjan, a klęską Japończyków? Czy on nie jest trochę ramol? Zdaje mi się, że to jego widziałem, jak bierze na cel krzesło, zanim się ku niemu wypuści, ślizgając się jak na kółkach.

— Nigdy w życiu! Niech pan zaczeka chwilę — dodała margrabina — nie wiem, co on może robić tak długo.

Zadzwoniła; kiedy służący wszedł, pani de Villeparisis, która bynajmniej nie kryła, a nawet lubiła okazywać, że jej stary przyjaciel większą część czasu spędza u niej, rzekła:

— Proszę uprzedzić pana de Norpois, żeby przyszedł. Porządkuje papiery w moim biurku; powiedział, że przyjdzie za dwadzieścia minut, a już blisko dwie godziny czekam na niego. Powie panu o sprawie Dreyfusa, o wszystkim co pan zechce — rzekła margrabina do Blocha z dąsem — nie bardzo zgadza się z tym, co się dzieje.

W istocie, pan de Norpois był źle z obecnym ministerstwem, a pani de Villeparisis, mimo że ex-ambasador nie pozwoliłby sobie przyprowadzić jej „figur z rządu”, wiedziała jednak przez niego o tym, co się działo. Margrabina zachowała mimo wszystko fason wielkiej damy, odgradzając się od urzędowych stosunków dyplomaty. Toż samo „figury z rządu” nie ośmieliłyby się prosić pana de Norpois o przedstawienie ich pani de Villeparisis. Ale czasem zdarzało się im dopaść go u margrabiny na wsi, kiedy był nagle potrzebny w ważnych okolicznościach. Znali adres: udawali się do pałacu, nie mając szczęścia oglądać pani domu. Ale przy obiedzie margrabina powiadała: „Wiem, że kochanego pana tu niepokojono. Czy sytuacja się poprawia?”.

— Nie spieszy się panu zbytnio? — spytała pani de Villeparisis Blocha.

— Nie, nie, chciałem wyjść, bo nie czuję się zbyt dobrze; zalecają mi nawet kurację w Vichy na mój pęcherzyk żółciowy — rzekł Bloch skandując wyrazy z szatańską ironią.

— A, właśnie mój siostrzeniec Châtellerault ma tam jechać; powinni byście się panowie wybrać razem. Czy on jest jeszcze tutaj? Wie pan, to bardzo miły chłopiec — rzekła pani de Villeparisis może z dobrą wiarą, sądząc, iż dwaj młodzi ludzie, obaj jej znajomi, nie mają żadnej racji nie zaprzyjaźnić się z sobą.

— Och, nie wiem, czy by on miał ochotę, nie znam go... to jest znam... tak... trochę; o, stoi tam — rzekł zawstydzony i uszczęśliwiony Bloch.

Kamerdyner nie musiał bardzo dokładnie powtórzyć panu de Norpois zlecenia, z którym go wysłano. Bo ambasador, chcąc udać, że przychodzi z ulicy i że jeszcze nie widział pani domu, wziął w przedpokoju na chybił trafił jakiś kapelusz i wchodząc ucałował ceremonialnie rękę pani de Villeparisis, pytając jej o zdrowie z zainteresowaniem świadczącym o dłuższej nieobecności. Nie wiedział, że pani de Villeparisis z góry odjęła wszelkie prawdopodobieństwo tej komedii, którą przecięła zresztą natychmiast, biorąc pana de Norpois i Blocha do sąsiedniego salonu. Widząc cały aparat uprzejmości rozwinięty dla

osoby której nie utożsamiał jeszcze z panem de Norpois, oraz nawzajem ceremonialne, wdzięczne i głębokie ukłony ex-ambasadora, Bloch, czując się czymś poniżej całego tego ceremoniału i podrażniony myślą, że nigdy się nie stanie jego przedmiotem, szepnął do mnie dla kontenansu: „Co to za szczególny okaz idioty?”. Może zresztą wszystkie te „salamaleki” pana de Norpois uraziły w Blochu to, co w nim było najlepszego, pewną prostotę i bezpośredniość bardziej nowoczesnego środowiska, i może poniekąd szczerze uważał je za śmieszne. W każdym razie przestały go śmieszyć, a nawet oczarowały go z chwilą, gdy on sam stał się ich przedmiotem.

— Panie ambasadorze — rzekła pani de Villeparisis — chciałam pana zapoznać z panem Bloch. Panie Bloch, margrabia de Norpois. — (Mimo sposobu, w jaki mustrowała pana de Norpois, margrabina przestrzegała tego, aby mu mówić: „panie ambasadorze”, przez znajomość form, przez wysoki a wpojony jej przez pana de Norpois szacunek dla rangi ambasadora, wreszcie aby, w stosunku do danego mężczyzny, zastosować owe maniere mniej poufale, ceremonialne, które, w salonie dystygowanej damy, odbijając od jej swobody w stosunku do innych gości, wskazują natychmiast człowieka będącego jej kochankiem).

Pan de Norpois utopił błękitne spojrzenie w swojej białej brodzie, głęboko schylił wyniosłą postać, tak jakby się skłaniał przed całym blaskiem i dostojeństwem nazwiska Bloch, i mruknął: „Bardzo mi miło”, podczas gdy Bloch, wzruszony, ale znajdując, iż sławny dyplomata posuwa się za daleko, sprostował skwapliwie, mówiąc: „Ależ nie, bynajmniej, to mnie jest bardzo miło”. Przez wzgląd na panią de Villeparisis, pan de Norpois powtarzał tę ceremonię z każdym obcym, którego mu przedstawiła jego stara przyjaciółka, jednakże w stosunku do Blocha nie wydało się to margrabinie wystarczające, zaczęła rzekła:

— Panie Bloch, niech pan od razu zapyta ambasadora o wszystko, co pan chce wiedzieć; niech go pan weźmie do drugiego pokoju, jeżeli to wam wygodniej; będzie niezmiernie rad porozmawiać z panem; zdaje się, że pan chciał z nim pomówić o sprawie Dreyfusa.

Pani de Villeparisis mówiła to wszystko, tak samo nie troszcząc się o to, czy sprawi przyjemność panu de Norpois, jak jej nie przyszło na myśl pytać o zgodę portretu księżnej de Montmorency, zanim go kazała oświetlić dla historyka, lub pytać o zgodę herbaty przed poczęstowaniem nią gości.

— Niech pan mówi głośno — rzekła do Blocha — jest trochę głuchy, ale powie panu wszystko, co pan ze chce; znał doskonale Bismarcka, Cavoura. Prawda, panie ambasadorze — rzekła z siłą — że pan dobrze znał Bismarcka?

— Czy pan ma coś na warsztacie? — spytał pan de Norpois porozumiewawczo, ścisnąc mi serdecznie rękę. Skorzystałem z tego, aby go uprzejmie uwolnić od kapelusza, który ex-ambasador uważał za potrzebne przynieść z sobą na znak ceremonii, bo spostrzegłem w tej chwili, że wziął przypadkowo mój. — Pokazał mi pan kiedyś fragmentek nieco przesubtylizowany, w którym pan rozcinał każdy włos na czworo. Wyraziłem panu szczerze moje zdanie, że tego rodzaju wrażenia nie były warte trudu utrwalenia ich na papierze. Czy przygotowuje nam pan coś obecnie? Był pan bardzo opętany Bergsonem, przypominam sobie.

— Och! niech pan nie mówi źle o Bergsonie — wykrzyknęła księżna.

— Ja nie odmawiam mu talentu malarza, nikt by się nie ośmielił, księżno. Umie władać rylcem lub akwafortą, o ile nie umie nakreślić, jak pan Cherbuliez, wielkiej kompozycji. Ale zdaje mi się, że nasza epoka dopuszcza się pomieszania rodzajów i że zadaniem powieściopisarza jest raczej być narratorem i krzepić serca niż dłubać winietki i ornamenty. Mam spotkać pańskiego ojca w niedzielę u tego zacnego A.J. — dodał ex-ambasador, obracając się do mnie.

Widząc, iż pan de Norpois rozmawia z panią de Guermantes, miałem przez chwilę nadzieję, że mi użyczą dla wejścia w dom księżnej pomocy, której mi odmówił niegdyś w stosunku do pani Swann.

— Drugi przedmiot mego entuzjazmu — rzekłem — to Elstir. Zdaje się, że księżna de Guermantes ma cudowne Elstiry, zwłaszcza ów zdumiewający pęk rzodkiewek, który widziałem na wystawie i który bym tak pragnął ujrzyć jeszcze: co za arcydzieło!

I w istocie, gdyby moje zdanie coś znaczyło i gdyby mnie spytano, jakie dzieło malarzkie najwyżej cenię, wskazałbym ten pęk rzodkiewek.

— Arcydzieło? — wykrzyknął pan de Norpois z wyrazem zdumienia i nagany. — To nawet nie ma pretensji do obrazu, to prosty szkic — (w czym miał rację). — Jeżeli pan ten szkic nazwie arcydziełem, co pan powie o *Dziewicy* Heberta lub Dagnan-Bouvereta?

— Słyszałem, że ciocia odpałała przyjaciółkę Roberta — rzekła pani de Guermantes do ciotki, gdy Bloch odciągnął na stronę ambasadora. — Sądzę, ciociu, że nie masz czego żałować; to istna ohyda, nie ma za grosz talentu, a przy tym jest po prostu śmieszna.

— Ale jakim cudem księżna ją zna? — spytał pan d'Argencourt.

— Jak to! nie wie pan, że u mnie był jej pierwszy występ, z czego zresztą nie mam powodu się pysznić — rzekła śmiejąc się pani de Guermantes, szczęśliwa mimo to, skoro mówiono o tej aktorce, że to ona miała pierwociny jej śmieszności. — No, trzeba mi się zabierać — dodała, nie ruszając się z miejsca.

Ujrzała właśnie wchodzącego męża, a słowa te stanowiły aluzję do komicznego pozoru, że składają we dwoje wizytę poślubną, nie zaś do trudnych nieraz stosunków istniejących między nią a tym olbrzymim, starzejącym się chwatem, wciąż pędzącym kawalerskie życie. Wodząc po osobach siedzących dookoła herbacianego stołu uprzejme, sprytne i nieco olśnione blaskiem zachodzącego słońca spojrzenia swoich małych, okrągłych żreń, umieszczonych dokładnie w oku niby tarcze, które ten świetny strzelec umiał brać na cel i trafiać tak nieomylnie, książę posuwał się z zachwyconą i ostrożną powolnością, jak gdyby, onieśmielony tak świetnym zebraniem, bał się nadepnąć na suknie i zmącić rozmowę. Stały uśmiech leciutko wstawionego dobrego króla Yvetot, wpół otwarta dłoń, bujająca niby pletwa rekina koło piersi, dłoń którą pozwalał ścisnąć bez różnicy starym przyjaciółom i nieznanym, gdy mu ich przedstawiano, pozwalały księciu, bez jednego gestu, nie przerywając dobrodusznego, próżniaczego i królewskiego pochodu, uczynić zadość skwapliwości wszystkich, przy czym mruczał tylko: „Dzień dobry, mój pocziwy; dzień dobry, drogi przyjacielu; bardzo mi miło, panie Bloch; jak się masz, d'Argencourt”. Mnie, skoro usłyszał moje nazwisko, książę wyróżnił najbardziej, mówiąc: „Witaj, młody sąsiedzie. Jak się ma pański ojciec. Cóż za zacny człowiek!”¹. Pełny ceremoniał rozwinął książę Błażej jedynie dla pani de Villeparisis, która przywitała go skinieniem głowy, wyjmując rękę z fartuszka.

Kolosalnie bogaty w świecie, gdzie bogactwo jest coraz rzadsze, książę nasiąkł w całej swojej istocie świadomością tej olbrzymiej fortuny; próżność wielkiego pana zdwoiła się próżnością kreusa, przy czym staranne wychowanie pierwszego z nich ledwie umiało powściągnąć arogancję drugiego. Rozumiało się zresztą, że jego sukcesy u kobiet, stanowiące zgrzyzotę jego żony, nie były wynikiem jedynie nazwiska i majątku, bo książę, ze swoim czystym i wyrazistym profilem jakiegoś greckiego boga, był jeszcze bardzo piękny.

— Naprawdę, grała u pani? — spytał księżnej pan d'Argencourt.

— Ależ tak, przysłała u mnie recytować z bukietem lilij w ręce i w innych lelijach na sukni — (pani de Guermantes, jak pani de Villeparisis, wymawiała z pewną kokieterią niektóre słowa z chłopska, mimo że nie „rulowała” r, jak jej ciotka).

Zanim pan de Norpois, spętany i osiodłany, powiódł Blocha do małej nyży, gdzie by mogli rozmawiać swobodniej, podszedłem na chwilę do starego dyplomaty i wsunąłem mu słówko o kandydaturze ojca. Zrazu chciał odłożyć rozmowę na później, na co napomknąłem, że wyjeżdżam do Balbec. „Jak to, znów pan jedzie do Balbec? Ależ z pana prawdziwy globe-trotter!”. Potem wysłuchał mnie. Słyszac nazwisko Leroy-Beaulieu, pan de Norpois spojrzał na mnie podejrzliwie. Powziąłem stąd myśl, że ex-ambasador mówił może panu Leroy-Beaulieu o moim ojcu ujemne rzeczy i że lęka się, czy znakomity ekonomista ich nie powtórzył. Z punktu okazał się pełen najlepszych uczuć dla mego ojca. I po owym *ritardano*, z którego wybucha nagle jakieś słowo, jak gdyby wbrew woli mówiącego, skoro nieodparte przekonanie zwycięży zająkliwe próby przemilczenia, ambasador rzekł z przejęciem:

— Nie, nie; *nie trzeba*, aby pański ojciec zgłaszał swoją kandydaturę. Nie trzeba w jego własnym interesie, dla niego samego, przez szacunek dla jego niepospolitej wartości,

¹ Witaj, młody sąsiedzie. Jak się ma pański ojciec. Cóż za zacny człowiek! — w innym wydaniu uzupełnione o frazę: „Witaj pan, że kolegujemy ze sobą — dorzucił, żeby mi schlebieć”. [przypis edytorski]

którą naraziłby w takim hazardzie. On jest wart więcej. Choćby go nawet wybrano, miałby wszystko do stracenia, a nic do zyskania. Bogu dzięki, nie jest mówcą. A to jest jedyna rzecz, która liczy się u moich kochanych kolegów, choćby nawet to, co się mówi, to były same androny. Pański ojciec ma doniosły cel w życiu; powinien iść prosto, nie dając się ściągnąć z drogi, nawet w bardziej cierniste niż pełne kwiatów gaje Akademosa. Zresztą nie uzyskalby więcej niż kilka głosów. Akademia lubi wytrzymać postulanta, zanim go przyjmie na swoje łono. W obecnym momencie nic się nie da zrobić. Później, nie mówię. Ale trzeba, aby to ciało samo przyszło go szukać. Praktykuje ono z większym fetyszyzmem niż szczęściem hasło *farà da se* naszych sąsiadów z tamtej strony Alp. Pan Leroy-Beaulieu mówił mi o tym w sposób, który mi się nie podobał. Trąciło mi to wyraźnie tym, że działa w porozumieniu z pańskim ojcem. Dałem mu może uczuć trochę żywo, że, nawykły zajmować się kolonistami i metalami, nie docenia roli imponderabilii, jak to nazywał Bismarck. Przede wszystkim, trzeba nie dopuścić do tego, aby ojciec pański zgłosił swoją kandydaturę: *principiis obsta*. Przyjaciele jego znaleźliby się w drażliwym położeniu, gdyby ich postawił wobec faktu dokonanego. Słuchaj pan — rzekł nagle pan de Norpois z akcentem szczerości, wlepiając we mnie swoje błękitne oczy — powiem panu coś, co pana zdziwi ze strony człowieka, który tak kocha pańskiego ojca. Otóż właśnie dlatego, że go kocham (jesteśmy dwaj nierozłączni *Arcades ambo*), właśnie dlatego, że znam usługi, jakie może oddać krajowi, rafa, jakich może mu oszczędzić, o ile zostanie przy sterze, przez przyjaźń, przez wysoki szacunek, przez patriotyzm, nie głosowałbym za nim. Zresztą, sądzę, iż dałem to do zrozumienia. — (Tu zdawało mi się, że widzę w oczach ambasadora asyryjski i surowy profil pana Leroy-Beaulieu). — Zatem, oddać mu swój głos, byłoby z mojej strony rodzajem zaprzaństwa.

Kilkakrotnie w czasie tej rozmowy pan de Norpois skwalifikował swoich kolegów jako mamutów. Pomijając inne racje, wszelki członek jakiegoś klubu lub Akademii lubi stroić swoich kolegów w charakter najbardziej sprzeczny ze swoim, nie tyle dla wygody powiedzenia: „Och! gdyby to zależało tylko ode mnie!”, ile dla satysfakcji przedstawienia tytułu, który sam posiada, jako czegoś trudniejszego i pochlebniejszego.

— Powiem panu — zakończył — że w interesie was wszystkich, wolę dla pańskiego ojca tryumfalny wybór za dziesięć lub piętnaście lat.

Słowa te wydały mi się w danej chwili wyrazem zazdrości lub bodaj absolutnej nieużytości; później, w świetle wypadków, zyskały inny sens.

— Czy nie zamierza pan omówić w Instytucie cen chleba w czasie Frondy? — spytał nieśmiało pana de Norpois historyk Frondy. — Mógłby pan tym zyskać znaczny sukces — (co miało znaczyć: kolosalną reklamę), dodał uśmiechając się do ambasadora tchórzliwie, ale zarazem z czułością, która kazała mu podnieść powieki i odsłonić oczy wielkie jak niebo. Zdawało mi się, że już gdzieś widziałem ten wzrok, a przecież poznałem historyka dopiero dziś. Naraz przypomniałem sobie: to samo spojrzenie widziałem w oczach brazylijskiego lekarza, zaręczającego, iż leczy duszności takie jak moje za pomocą idiotycznych inhalacji z jakichś ekstraktów roślinnych. Kiedy, chcąc, aby się mną gorliwiej zajął, powiedziałem mu, iż znam profesora Cottard, lekarz rzekł, jakby w interesie profesora: „Gdyby mu pan wspomniał o moim systemie, profesor znalazłby w nim materiał do sensacyjnego referatu w Akademii Medycznej”. Nie śmiał nalegać, ale patrzył na mnie z tym samym nieśmiałym, interesownym i błagalnym pytajnikiem w oczach, jaki właśnie podziwiałem u historyka Frondy. Z pewnością ci dwaj ludzie nie znali się wzajem i zupełnie nie byli do siebie podobni, ale prawa psychologiczne mają, jak prawa fizyczne, pewne ogólne zasady. I jeżeli okoliczności są jednakie, jednakie spojrzenie rozświeca różne zwierzęta ludzkie, jak to samo ranne słońce oświeca okolice leżące daleko od siebie i które się nigdy nie widziały.

Nie usłyszałem odpowiedzi ambasadora, bo wszyscy zbliżyli się z hałasem do pani de Villeparisis, aby popatrzeć jak maluje.

— Czy wiesz, o kim mówiliśmy, Błażeju? — spytała księżna męża.

— Zgaduję, oczywiście — rzekł książę.

— Och, to nie jest to, co nazywamy aktorka wielkiej klasy.

— Nigdy — podjęła pani de Guermantes, zwracając się do pana d'Argencourt — nie wyobraziłby pan sobie czegoś równie pociesznego.

— To było nawet kakofoniczne — przerwał pan de Guermantes, którego dziwaczny słownik pozwalał równocześnie światowcom stwierdzać że on jest „nie głupi”, a literatom uważać go za najgroźniejszego cymbała.

— Nie mogę pojąć — podjęła księżna — jakim cudem Robert mógł się w niej kiedy kochać. Och, ja wiem, że takich rzeczy się nie dyskutuje — dodała z ładną minką filozofki i zawiedzionej w swoich uczuciach kobiety. — Wiem, że byle kto może pokochać byle co. I — dodała księżna, bo o ile pokpiwała sobie jeszcze z nowej literatury, literatura ta, może spopularyzowana przez gazety, może przez pewne rozmowy, wsiąkała w nią po trosze — to jest nawet piękne w miłości, to właśnie czyni ją czymś „tajemniczym”.

— Tajemniczym! Och, przyznaję, że to jest trochę za trudne dla mnie, kuzynko — rzekł hrabia d'Argencourt.

— Ależ tak, to bardzo tajemnicza rzecz, miłość — odparła księżna z łagodnym uśmiechem kobiety światowej, ale i z nieubłaganym przeświadczeniem wagnerzystki, dowodzącej klubowcowi, że *Walkirie* to nie jest tylko sam hałas. — Zresztą, w gruncie, nie wiemy nigdy, czemu ktoś kogoś kocha, może wcale nie dla tego, co my myślimy — dodała z uśmiechem, przekreślając nagle przez swoją interpretację myśl, którą dopiero co wyraziła. — Zresztą, w gruncie nigdy się nic nie wie — zakończyła ze sceptyczną i znużoną minką. — Toteż, widzi pan, „inteligentniej” jest nie dyskutować nigdy wyboru w miłości.

Ale, postawiwszy tę zasadę, złamała ją natychmiast, krytykując wybór Roberta.

— Z tym wszystkim, wydaje mi się zdumiewające, aby kogoś mogła oczarować osoba śmieszna.

Bloch, słysząc, że mówimy o Robercie i zgadując, że Saint-Loup jest w Paryżu, zaczął wygadywać na niego tak okropnie, że wszystkich wzburzył. Zaczynały go nurtować nienawiści; czuło się, że aby je nasycić, nie cofnąłby się przed niczym. Przyjąwszy za zasadę, że on, Bloch, posiada wysokie wartości duchowe i że gatunek ludzi uczęszczających do „Boulie” (klub sportowy, który Bloch uważał za elegancki) zasługuje na galery, uważał, iż wszystkie ciosy, jakie im zdoła zadać, są uprawnione. Mówił wręcz o procesie, jaki myślał wytoczyć jednemu ze swoich przyjaciół z „Boulie”. W ciągu procesu zamierzał złożyć zeznania kłamliwe, ale takie, że oskarżony nie mógłby dowieść ich fałszu. W ten sposób Bloch (który zresztą nie wykonał swego zamiaru) pragnął go pognębić i przywieść do szaleństwa. I cóż w tym złego, skoro człowiek, którego chciał ugodzić w ten sposób, był człowiekiem myślącym jedynie o „szyku”, człowiekiem z „Boulie”; przeciwko takim ludziom wszelka broń jest dozwolona, zwłaszcza człowiekowi świętemu jak Bloch.

— A jednak, niech pani weźmie Swanna — zauważył pan d'Argencourt, który, zrozumiałwszy wreszcie sens słów księżnej, uderzony ich słuszością, szukał w pamięci przykładu ludzi szalejących dla osób, które jemu by się nie podobały.

— Och, Swann, to zupełnie nie to samo — zaprotestowała księżna. — To było zresztą bardzo zdumiewające, bo to była pocziwa idiotka, ale nie była śmieszna i była kiedyś ładna.

— Hum, hum — chrząknęła pani de Villeparisis.

— A! cioci się nie podobała? Ale owszem, miała szczegóły śliczne, bardzo ładne oczy, ładne włosy, ubierała się i dotąd ubiera się jeszcze cudownie. Teraz przyznaję, że ona jest potworna, ale to była czarująca osoba. Tym nie mniej zmartwiło mnie, że Lolo się z nią ożenił, bo to było takie niepotrzebne.

Księżna nie sądziła, aby powiedziała coś niezwyklego, że jednak pan d'Argencourt zaczął się śmiać, powtórzyła to zdanie, czy że się jej wydało dowcipne, czy że się jej wydał miły partner rozmowy, na którego zaczęła patrzeć pieszczotliwie, aby do czarów inteligencji dodać czar słodyczy. Ciągnęła:

— Tak, nieprawdaż, nie było warto, ale ostatecznie ona nie była bez uroku i rozumem doskonale, że można ją było kochać; podczas gdy widząc tę pannę od Roberta, upewniam was, można skończyć ze śmiechu. Wiem, że mi kto odpowie starą śpiewką Augiera: „Cóż znaczy fłaska, byle upojenie”. Otóż Robert ma może upojenie, ale doprawdy nie złożył dowodu smaku w wyborze fłaski! Po pierwsze, pomyślcie, ona sobie ubrdała, żeby jej ustawić schody w samym środku mojego salonu. To drobiazg, nieprawdaż; do tego oznajmiła mi, że będzie leżała na brzuchu na tych schodach. Zresztą, gdyby pan sły-

szał, co ona deklamowała: znam tylko jedną scenę, ale nie przypuszczam, aby ktoś sobie zdołał wyobrazić coś podobnego: to się nazywa *Siedem księżniczek*.

— *Siedem księżniczek*, au, au, co za snobizm! — wykrzyknął pan d'Argencourt. — Ale, a! czekajcie państwo, ja znam całą sztukę. To jednego z moich krajanów. Przesłał ją królowi, który nic nie zrozumiał i prosił mnie, żebym mu to wytłumaczył.

— Czy to przypadkiem nie Sar Peladan? — spytał historyk Frondy, z intencją dowcipu i aktualności, ale tak cicho, że jego słowa przeszły niepostrzeżenie.

— A, pan zna *Siedem księżniczek*? — odparła księżna panu d'Argencourt. — Moje gratulacje! Ja znam tylko jedną, ale to mi odjęło ochotę do znajomości z sześcioma innymi. Jeżeli wszystkie są podobne do tej, którą widziałam!

„Co za kłępa — myślałem podrażniony lodowatym sposobem, w jaki mnie księżna przyjęła. Znajdowałem rodzaj cierpkiej przyjemności w stwierdzeniu jej zupełnego niezrozumienia Maeterlincka. — I dla takiej kobiety odwaląłem co rano nie wiem już ile kilometrów; doprawdy, trzeba mieć zdrowie! Teraz, to ja bym jej nie chciał”. Takie słowa mówiłem w duchu; ale były one przeciwieństwem mojej myśli; były to słowa czysto konwersacyjne, jakie powtarzamy w chwilach gdy, nazbyt wzburzeni, aby zostać sami z sobą, odczuwamy potrzebę, w braku innego partnera, rozmawiać z sobą, nieszczerze, jak z obcym.

— Nie mogę panu dać o tym wyobrażenia — ciągnęła księżna — to można było skończyć ze śmiechu. Nie żałowano też sobie, zanadto może, bo pindulka się obraziła, a Robert w gruncie rzeczy zawsze chował o to żal do mnie. Czego zresztą nie żałuję, bo gdyby dobrze poszło, dałoby to tej pannie powód do dalszych występów, a nie wiem, czyby to zrobiło przyjemność Marii Aynardowej.

Tak nazywano w rodzinie matkę Roberta, panią de Marsantes, wdowę po Aynardzie de Saint-Loup, aby ją odróżnić od jej kuzynki, księżnej de Guermentes z panującego domu bawarskiego, również Marii, do którego to imienia, dla uniknięcia pomyłek, siostrzeńcy, kuzyni i szwagrowie dodawali imię męża lub drugie jej imię, zwąc ją Maria Gilbertowa lub Maria Jadwiga.

— Zresztą w wilię był rodzaj próby generalnej, to było ładne! — ciągnęła ironicznie pani de Guermentes. — Wyobraźcie sobie, kiedy powiedziała zdanie, a nawet nie, ćwierć zdania, zatrzymywała się; robiła pauzę, doprawdy nie przesadzam, przez pięć minut.

— Au, au, au! — krzyknął pan d'Argencourt.

— Najuprzejmiej w świecie pozwoliłam sobie zwrócić jej uwagę, że to się może wyda trochę dziwne. Odpowiedziała dosłownie: „Trzeba zawsze mówić każdą rzecz tak, jakby się ją właśnie samemu tworzyło”. Skoro się trochę zastanowić, ta odpowiedź jest monumentalna!

— Ja myślałem, że ona nieźle mówi wiersze — rzekł jeden z dwóch młodych ludzi.

— Nie ma o tym zielonego pojęcia — odparła pani de Guermentes. — Zresztą ja nie potrzebowałam jej słyszeć. Wystarczyło mi widzieć ją, jak sunie ze swoją leliją. Od razu zrozumiałam, że ona nie ma talentu, kiedy zobaczyła leliję.

Wszyscy się zaśmiali.

— Ciociu, nie pogniewała się chyba ciocia na mnie kiedyś za mój żart z królową szwedzką, przychodząc błagać o pardon.

— Nie, nie gniewam się, pozwalam ci nawet zjeść podwieczorek, jeżeli jesteś głodny. No, panie Vallenères, niech pan robi pannę domu — rzekła pani de Villeparisis do archiwisty: był to uświecony żarcik.

Pan de Guermentes wyprostował się w fotelu, gdzie się rozwalił, postawiwszy cylinder na dywanie, i badał z zadowoloną miną talerzyki z ciasteczkami, które mu podawano.

— Ależ chętnie, teraz kiedy się zaczynam oswajać z tym szlachetnym zgromadzeniem, schrupię jakąś babkę, wyglądają wybornie.

— Doskonale się pan wywiązuje z roli panny domu — rzekł pan d'Argencourt, który, przez ducha naśladownictwa, podjął koncept pani de Villeparisis.

Archiwista podał ciasteczka historykowi Frondy.

— Cudownie się pan wywiązuje ze swoich funkcji — rzekł ów przez nieśmiałość i starając się pozyskać ogólną sympatię.

Jakoż objął ukradkiem porozumiewawczym spojrzeniem tych, co zrobili już jak on.

— Powiedz mi, dobra ciociu — spytał pan de Guermantes pani de Villeparisis — kto jest ten pan, prezentujący się wcale dobrze, który wychodził, kiedy ja wchodziłem? Muszę go znać, bo mi się głęboko uklonił, ale nie przypominam go sobie. Ciocia wie, że ja jestem zawsze w niezgodzie z nazwiskami, co jest bardzo niemiłe — rzekł tonem satysfakcji.

— Pan Legrandin.

— A! przecież Oriana ma kuzynkę, której matka, jeżeli się nie mylę, jest z domu Grandin. Tak, tak, wiem doskonale, to są Grandin de l'Epervier.

— Nie — odparła pani de Villeparisis — to nie ma żadnego związku. Ci są po prostu Grandin, Grandin de nic a nic. Ale bardzo by chcieli być *de coś*, co ci się tylko podoba. Siostra tego pana nazywa się pani de Cambremer.

— Ależ słuchaj, Błażeju, wiesz, o kim ciocia mówi — wykrzyknęła księżna z oburzeniem — to przecie brat tej trawożernej olbrzymki, którą przyszło ci kiedyś do głowy wpakować mi na kark. Siedziała godzinę; myślałam, że zwariuję. Ale z początku sądziłam, że to ona zwariowała, widząc wchodzącą do mnie osobę, której nie znałam, osobę z miną krowy.

— Słuchaj, Oriano, spytała się mnie, kiedy ty przyjmujesz; nie mogłem być grubianinem — rzekł książę. — Zresztą powiedz sama, ty przesadzasz: ona nie ma miny krowy — dodał żalonym tonem, rzucając ukradkiem na obecnych uśmiechnięte spojrzenie.

Książę wiedział, że werwa żony wymaga, aby ją podsycać sprzeciwem; sprzeciwem zdrowego rozsądku, który protestuje na przykład, że nie można wziąć kobiety za krowę (w ten sposób pani de Guermantes, licytując samą siebie, znajdowała często swoje najładniejsze powiedzonka). I książę nastroił się naiwnie, aby pomóc, niby to niechcący, do sukcesu sztuczki, jak w wagonie kolejowym cichy współnik szulera.

— Uznaję, że nie wygląda na krowę, bo wygląda na całe stado krów — wykrzyknęła księżna. — Przysięgam wam, byłam w wielkim kłopotcie, widząc to stado krów, tarabaniące się w kapeluszu do salonu i pytające mnie o zdrowie. Z jednej strony miałam ochotę jej odpowiedzieć: „Ależ, stado krów, tobie się coś myli; nie możesz być w stosunkach ze mną, skoro jesteś stadem krów”; z drugiej strony, szukając w pamięci, ubrdałam sobie w końcu, że twoja Cambremer to jest infantka Dorota, która zapowiedziała się, że przyjdzie kiedyś, a która też jest dosyć *krowiasta*; tak że omal nie powiedziałam „wasza królewska wysokość” i nie mówiłam w trzeciej osobie do stada krów. Ona też ma żółtek w stylu królowej szwedzkiej. Zresztą ten atak na bagnety przygotowany był zawczasu ostrzeliwaniem mnie wedle wszelkich reguł strategii. Nie pamiętam już, odkąd bombardowała mnie biletami wizytowymi: znajdowałam je wszędzie, na wszystkich meblach jak prospekty. Nie znałam celu tej reklamy. Wszędzie czytało się u mnie same: „Margrabia i margrabina de Cambremer” z adresem, którego nie pamiętam i z którego zresztą postanowiłam sobie święcie nie skorzystać.

— Ależ to bardzo pochlebne być podobną do królowej — rzekł historyk Frondey.

— Och, mój Boże, drogi panie, królowie w naszej epoce, to bardzo niewiele! — rzekł pan de Guermantes, bo miał pretensję być umysłem wyzwolonym i nowoczesnym, a także aby się nie wydawało, że sobie dużo robi ze stosunków monarszych, na których zależało mu bardzo.

Bloch i pan de Norpois, którzy wstali z krzeseł, znaleźli się opodal nas.

— Panie ambasadorze — rzekła pani de Villeparisis — czy mówił pan z panem Bloch o sprawie Dreyfusa?

Pan de Norpois podniósł oczy do nieba z uśmiechem, ale jak gdyby stwierdzając potworność kaprysów, jakie mu narzuca jego Dulcynea. Mimo to, zaczął mówić Blochowi bardzo uprzejmie o okropnych, może śmiertelnych latach, jakie przeżywa Francja. Ponieważ to znaczyło prawdopodobnie, że pan de Norpois (któremu wszelako Bloch oświadczył, że wierzy w niewinność Dreyfusa) jest gorącym antydreyfusistą, uprzejmość ambasadora, mina, z jaką zdawał się przyznawać słuszność swemu partnerowi, nie wątpić, że są jednego zdania, sprzymierzać się z nim w potępieniu rządu, pochlebiały próżności Blocha i budziły jego ciekawość. Co to były za ważne punkty, których pan de Norpois nie określał, ale co do których zdawał się dopuszczać swoją zgodność z Blochem; jakież tedy miał pogląd na sprawę, który by mógł ich zjednoczyć? Bloch był tym bardziej zdziwiony tajemniczą harmonią, jaka zdawała się istnieć między nim a panem de Norpois, ile że

ta harmonia tyczyła się nie tylko polityki, pani de Villeparisis wspomniała bowiem dość obszernie panu de Norpois o pracach literackich Blocha.

— Pan nie jesteś człowiekiem swojej epoki, wiesz panu — rzekł do Blocha ex-ambasador — nie jesteś pan z tej epoki, w której bezinteresowne studia już nie istnieją, w której sprzedaje się publiczności jedynie pornografię lub bzdurstwa. Usiłowania takie jak pańskie powinny by się spotkać z zachętą, gdybyśmy mieli rząd.

Blochowi bardzo pochlebiło, że sam jeden nie zatonął w powszechnym potopie. Ale i w tym byłby pragnął większej ścisłości; rad byłby wiedzieć, o jakich bzdurstwach mówi pan de Norpois. Bloch miał poczucie, że pracuje w tym samym duchu, co wielu innych; nie sądził, aby był tak wyjątkowy. Wrócił do sprawy Dreyfusa, ale nie zdołał rozgryźć poglądów pana de Norpois. Starał się go sprowadzić na oficerów, których nazwiska, powtarzające się często w owej chwili w dziennikach, więcej budziły ciekawości od polityków wmieszanych w tę samą sprawę, ponieważ ci wojskowi byli mniej znani i ponieważ, w specjalnym kostiumie, z głębi odrębnego życia oraz święcie dochowywanego milczenia, wyłonili się dopiero, aby przemówić, niby Lohengrin wysiadający z czółna ciągnionego przez łabędzie. Dzięki znajomemu adwokatowi-nacjonalistcie Bloch zdołał się dostać na kilka posiedzeń procesu Zoli. Przychodził rano, z zapasem bułek z szynką i flaszką kawy, aby wychodzić aż wieczór, jak przy piśmiennej maturze; ta zmiana trybu życia wprowadzała go w stan nerwowej pobudliwości, którą potęgowała jeszcze kawa oraz emocje procesu. Wychodził tak upojony wszystkim, co przeżył, że wieczorem, wróciwszy do domu, pragnął się znów zanurzyć w pięknym śnie i spieszył spotkać kolegów w kawiarni, odwiedzanej przez oba stronnictwa. Omawiał tam bez końca z nimi wypadki dnia, rozkazującym tonem dającym mu złudzenie władzy zamawiał kolację, która kompensowała post i zmęczenie dnia zaczętego tak wcześnie i bez śniadania. Człowiek poruszający się wciąż między dwiema płaszczyznami — doświadczenia i wyobraźni chciałby zgłębić idealne życie ludzi, których zna, oraz poznać istoty, których życie musi sobie roić. Na pytanie Blocha pan de Norpois odpowiedział:

— Jest dwóch oficerów wmieszanych w wiadomą sprawę, ludzi, o których słyszałem niegdyś z ust człowieka zasługującego na wszelkie zaufanie a ceniącego ich nader wysoko (pan de Miribel); ci oficerowie to podpułkownik Henry i podpułkownik Picquart.

— Ależ — wykrzyknął Bloch — boska Atene, córa Zeusa, pomieściła w umyśle każdego z nich pojęcia wręcz przeciwne tym, które mieszkają w głowie drugiego. I walczą przeciwko sobie, niczym dwa lwy. Pułkownik Picquart miał znakomitą sytuację w wojsku, ale jego mojra zawiodła go na stronę nieodpowiadającą jego stanowisku. Miecz nacjonalistów przetrznie jego delikatne ciało, iżby posłużył za strawę drapieżnym zwierzętom i ptakom żywiącym się tłuszczem umarłych.

Pan de Norpois nie odpowiedział nic.

— O czym oni tam rajcują w kącie? — spytał pan de Guermantes pani de Villeparisis, pokazując pana de Norpois i Blocha.

— O sprawie Dreyfusa.

— Bagatela! *À propos*, czy wiecie, kto jest zajadłym stronnikiem Dreyfusa? Zgadnijcie, jeśli możecie. Mój siostrzeniec Robert! Powiem wam nawet, że w *jockey*'u, kiedy się dowiedziano o jego wyczynach, zrobił się prawdziwy huczek, istny tumult. Ponieważ podają go za tydzień na członka...

— Oczywiście — przerwała księżna — jeżeli oni są wszyscy tacy jak Gilbert, który zawsze utrzymywał, iż trzeba wysłać wszystkich Żydów do Jerozolimy...

— A! w takim razie książę Gilbert podziela najzupełniej moje przekonania — przerwał pan d'Argencourt.

Książę stroił się w swoją żonę, ale jej nie kochał. Sam wielki arogant, nie znoślił, aby mu przerywano; przyzwyczaił się przy tym w domu być z nią brutalny. Trzęsąc się z podwójnego gniewu, złego męża, do którego żona mówi, i krasomówcy, którego ktoś nie słucha, urwał i przeszył księżnę spojrzeniem, które zakłopotало wszystkich.

— Co ciebie napadło opowiadać nam o Gilbertcie i o Jerozolimie? — rzekł wreszcie. — Nie o to chodzi. Ale — dodał łagodniej — przyznajcie mi, że gdyby zbalotowano w *jockey*'u jednego z naszych, a zwłaszcza Roberta, którego ojciec był przez dziesięć lat prezesem klubu, to by był szczyt! Cóż chcesz, moja droga, zatknęło po prostu tych ludzi,

— Ja, który nie mam zaszczytu należeć do ministerstwa oświaty — odparł książę z udaną pokorą, ale z pychą tak głęboką, że usta jego nie mogły się wstrzymać od uśmiechu, a oczy od okrężnego błysku radości, pod którego ironią zarumienił się biedny historyk — ja, który nie mam zaszczytu należeć do ministerstwa oświaty — podjął, pieszcząc się własnymi słowami — ani do klubu „Volney” (należę tylko do „Union” i do „Jockey”), pan nie należy do „Jockey”, proszę pana? — spytał historyk, który, rumieniąc się jeszcze bardziej, przeczując impertynencję i nie rozumiejąc jej, zaczął drżeć na całym ciele. — Ja, który nie bywam nawet na obiadach pana Emila Ollivier, wyznaję, że nie znałem słowa *mentalność*. Jestem pewien, że i ty, Argencourt, jesteś w moim położeniu... Wiecie, czemu nie można zaprodukować dowodów winy Dreyfusa? Zdaje się dlatego, że on jest kochankiem żony ministra wojny. Mówi się o tym po cichu.

— A, myślałem, że żony prezydenta ministrów — rzekł pan d'Argencourt.

— Jesteście równie nudni jedni jak drudzy z tą całą sprawą — rzekła księżna de Guermantes, która na gruncie towarzyskim zawsze stara się okazać, że nie podlega niczym wpływom. — Ta rzecz nie może mieć dla mnie znaczenia z punktu widzenia Żydów, z tej dobrej racji, że nigdy nie było ich między moimi znajomymi i mam nadzieję pozostać zawsze w tej błogiej nieznajomości. Ale z drugiej strony, wydaje mi się niezdolność, aby Maria Aynardowa lub Wiktoryna narzucały nam całą kupę pań Durand lub Dubois, których nie bylibyśmy nigdy znali, pod tym pretekstem, że są dobrze myślące, że nic nie kupują u Żydów lub że mają wypisane „śmierć Żydom” na parasolce. Byłam u Marii przedwcześnie. Dawniej było tam uroczko. Teraz zastaje się wszystkie osoby, których się unikało całe życie, pod pozorem że są przeciw Dreyfusowi; i inne, o których się w ogóle nie wie, kto to taki.

— Nie, żony ministra wojny. Tak przynajmniej opowiadają w alkowach — odparł książę, używający czasem w rozmowie pewnych wyrażeń, które wydawały mu się *ancien régime*. — W każdym razie, osobiście, wiadomo jest, że ja mam poglądy wręcz przeciwne niż mój kuzyn Gilbert. Ja nie jestem feudał, jak on; spacerowałbym pod rękę z Murzynem, gdyby Murzyn był moim przyjacielem, i tyle bym się troszczył o opinię plebsu, co o zeszłoroczny śnieg; ale ostatecznie, mimo wszystko, przyznacie mi, że kiedy się ktoś nazywa Saint-Loup, nie wolno mu się bawić w prowokowanie całego świata, który, jak mówi przysłowie, ma więcej rozumu od Woltera, a nawet od mego siostrzeńca. A zwłaszcza nie puszca się człowiek na to, co bym nazwał akrobatyką sentymentalną, na tydzień przed balotem w klubie. To już jest przesada! I to z pewnością jego lafirynda napompowała go w ten sposób. Wmówiła w Roberta, że to go postawi jako „intelektualistę”. Intelektualizm to jest molierowskie „ciastko ze śmietaną” tych panów. Zresztą dało to już powód do kalamburów, dość zabawnych, ale bardzo złośliwych.

I książę zacytował po cichu księżnej i panu d'Argencourt *Mater Semita*, które w istocie już krążyło w Jockey Clubie, bo ze wszystkich wędrownych nasion, żarcik posiada najmocniejsze skrzydła, pozwalające mu się zasiać na największą odległość od miejsca pochodzenia.

— Moglibyśmy spytać o wyjaśnienia pana, który robi wrażenie *wielkiej erudyty* — rzekł książę, wskazując historyka. — Ale lepiej nie mówić o tym, zwłaszcza iż fakt jest absolutnie fałszywy. Nie jestem tak ambitny jak moja kuzynka Mirepois, która twierdzi, że może śledzić filiacje swego domu przed Chrystusem aż do pokolenia Lewi i podejmuje się dowieść, że nigdy nie było ani kropli krwi żydowskiej w naszej rodzinie. Ale ostatecznie, nie trzeba nas zanedbato wodzić na pokuszenie, i to jest pewne, że uroczyste poglądy mego siostrzeńca muszą robić sporo hałasu w naszej Pipidówce. Zwłaszcza że Fezensac jest chory, zatem Duras będzie prowadził wszystko, a wiecie, jaki on jest mąciwoda.

Bloch starał się przyprzeć do muru pana de Norpois w przedmiocie pułkownika Picquart.

— Nie ulega wątpliwości — odparł pan de Norpois — że jego zeznanie było potrzebne. Wiem, że taki pogląd każe rozedrzeć szaty niejednemu z moich kolegów, ale, na mój rozum, rząd miał obowiązek pozwolić mówić pułkownikowi. Nie wychodzi się z takiego impasu zwykłym piruetem lub ryzykuje się wówczas, że się wpadnie w błoto. Co do samego pułkownika, zeznania jego wywarły na pierwszej rozprawie jak najlepsze wrażenie. Kiedy się pokazał, zgrabny, w swoim uniformie szaserów; kiedy doskonale prostym i szczerym tonem opowiadał, co widział, w co wierzył; kiedy powiedział: „Na mój

Żyd, Antysemityzm,
Pozycja społeczna, Obyczaje

Śmiech, Słowo

żołnierski honor — (tu głos pana de Norpois zadrgał lekkim patriotycznym tremolo) — takie jest moje przekonanie”, wówczas, nie da się zaprzeczyć, wrażenie było głębokie.

„Jest za Dreyfusem, nie ma cienia wątpliwości” — pomyślał Bloch.

— Ale co odjęło Picquartowi całkowicie sympatie, jakie umiał sobie pozyskać zrazu, to jego konfrontacja z archiwistą Gribelin. Kiedy usłyszano tego starego sługę, tego człowieka mającego tylko jedno słowo — (tu, pan de Norpois z energią szczerego przekonania podkreślił słowa, które nastąpiły) — kiedy go usłyszano, kiedy ujrzano, jak patrzy swemu zwierzchnikowi w oczy, jak się nie lęka wytrzymać jego wzroku i oświadczyć mu tonem niedopuszczającym repliki: „Ech, panie pułkowniku, pan wie, że ja nigdy nie skłamałem; wie pan dobrze, że w tej chwili, jak zawsze, mówię prawdę”, wówczas wiatr się odwrócił; darmo, w trakcie późniejszych rozpraw, pan Picquart poruszał niebo i ziemię — zrobił kompletne fiasko.

„Nie, stanowczo, jest przeciw Dreyfusowi, to murowane — powiedział sobie Bloch. — Ale jeżeli uważa Picquarta za zdrajcę, który kłamie, jak może liczyć się z jego rewelacjami i wspominać je tak, jakby był pod ich urokiem i wierzył w ich szczerość? A przeciwnie, jeżeli widzi w nim męża sprawiedliwego, który czyni zadość swemu sumieniu, jak może sądzić, że on skłamał w momencie konfrontacji z Gribelinem?”

— W każdym razie, jeżeli ten Dreyfus jest niewinny — przerwała księżna — nie bardzo umie tego dowieść. Cóż za idiotyczne, emfatyczne listy on pisze ze swojej wyspy. Nie wiem, czy pan Esterhazy więcej jest wart od niego, ale ma grubo inny fason w swoim stylu, inny kolor. To nie musi być przyjemne dla stronników Dreyfusa. Co za nieszczęście dla nich, że nie mogą zmienić niewinnego.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

— Słyszała ciocia słówko Oriany? — spytał namiętnie książę pani de Villeparisis.

— Owszem, bardzo zabawne.

To nie wystarczyło księciu:

— A mnie się wcale nie wydaje zabawne — rzekł — lub raczej jest mi to obojętne, czy jest zabawne czy nie. Nie przywiązuję żadnej wagi do dowcipu.

Pan d'Argencourt protestował.

— On nie myśli ani słowa z tego co mówi — szepnęła księżna.

— To z pewnością dla tego, że byłem posłem do Izby; nasłuchiwałem się tam świetnych przemówień, które nie znaczyły nic. Nauczyłem się tam cenić zwłaszcza logikę. Zapewne temu zawdzięczam, że mnie nie wybrano ponownie. Rzeczy dowcipne są mi obojętne.

— Błazeju, nie rób pana Prudhomme, moje kochanie, wiesz dobrze, że nikt tak nie ceni dowcipu jak ty.

— Pozwól mi skończyć. Właśnie dlatego, że jestem niewrażliwy na pewien gatunek konceptów, cenię często dowcip mojej żony. Bo wychodzi najczęściej z trafnej obserwacji. Ona rozumuje jak mężczyzna, a formułuje myśli jak pisarz.

Powodem że pan de Norpois mówił do Blocha tak, jakby byli obaj jednego zdania, było może to, że ambasador był tak dalece antydreyfusistą, iż, uważając, że rząd jest nim nie dosyć, był przeciwnikiem rządu tyleż co dreyfusiści. Może to, że cel, jaki widział w polityce był czymś głębszym, leżącym na innej płaszczyźnie, skąd dreyfusizm przedstawiał się jako szczegół bez wielkiego znaczenia, niewart zaprzatać patrioty, pochłoniętego wielką polityką zagraniczną. Może raczej to, że maksymy jego mądrości politycznej, sprowadzając się do kwestii formy, procedury, sposobności, były równie niezdolne do rozwiązania zasadniczych kwestii, jak w filozofii czysta logika niezdolna jest rozwiązać kwestii istnienia, lub że ta właśnie mądrość sprawiała, iż uważał za niebezpieczne dyskutować te zagadnienia i przez ostrożność wołał mówić jedynie o ubocznych szczegółach. Ale omyłką Blocha było przeświadczenie, że pan de Norpois, nawet gdyby był mniej ostrożny i mniejszy formalista, byłby mógł, gdyby chciał, powiedzieć mu prawdę co do roli pułkownika Henry, Picquarta, Paty de Clama i co do wszystkich punktów sprawy. Bloch nie wątpił, że pan de Norpois wie prawdę o tych wszystkich rzeczach. Jakżeby mógł jej nie znać, skoro zna ministrów? Zapewne Bloch sądził, iż prawdę polityczną mogą w przybliżeniu odgadnąć najbystrzejsze mózgi; ale wyobrażał sobie, jak większość obywateli, że ona zawsze mieszką, niewątpliwa i materialna, w tajnym dossier prezydenta Republiki i premiera, którzy udzielają jej ministrom. Otóż, nawet kiedy prawda polityczna zawiera dokumenty, rzadko się zdarza, aby one miały większą wartość niż rentgenowska

Polityka, Prawda

klisza pacjenta. Ogół sądzi, że choroba wypisana jest na niej wszystkimi głoskami, gdy w istocie klisza ta dostarcza jednego z elementów, który, obok wielu innych, stanie się substratem wniosków lekarza i przesłanką jego diagnozy. Toteż prawda polityczna, kiedy się zbliżamy do ludzi poinformowanych i kiedy nam się zdaje, że już ją chwytamy, wymyka się. Nawet później — aby pozostać przy sprawie Dreyfusa — kiedy się zdarzył fakt tak jaskrawy, jak zeznania pułkownika Henry i w następstwie jego samobójstwo, fakt ten interpretowali natychmiast w przeciwny sposób ministrowie dreyfusiści a przeciwnie Cavaignac i Cuignet, którzy sami odkryli fałszerstwo i poprowadzili śledztwo; co więcej, nawet pośród ministrów dreyfusistów, i to tej samej barwy, sądzących nie tylko na zasadzie tych samych aktów, ale w tym samym duchu, rola pułkownika Henry spotkała się z wykładem całkowicie sprzecznym, przy czym jedni widzieli w nim współnika Esterhazego, drudzy przeciwnie wyznaczali tę rolę Paty de Clamowi, dzielając niejako teżę swego przeciwnika Cuignet, a będąc w zupełnej sprzeczności ze swoim stronnikiem Reinachem.

Bloch mógł wydobyć z pana de Norpois tylko tyle, że, jeżeli prawdą jest, iż szef sztabu generalnego, de Boisdeffre, udzielił tajnej informacji panu Rochefort, fakt ten byłby niewątpliwie czymś bardzo godnym ubolewania.

— Niech pan będzie przeświadczony, że minister wojny musiał, *in petto* przynajmniej, ślać swojego szefa sztabu generalnego do wszystkich bogów piekieł. Oficjalne *dementi* nie byłoby moim zdaniem pleonazmem. Ale minister wojny wyraża się bardzo jaskrawo o tym *inter pocula*. Bywają zresztą przedmioty, w związku z którymi bardzo jest nieostrożnie stwarzać ruch niepodobny później do opanowania.

— Ale wszystkie te dokumenty są najoczywistej fałszywe — rzekł Bloch.

Pan de Norpois nie odpowiedział, ale oświadczył, że nie pochwała manifestacji księcia Henryka Orleańskiego.

— Zresztą mogą one tylko zmącić pogodę trybunałów i rozpętać ruchy, które tak w jednym, jak w drugim kierunku, byłyby godne ubolewania. Niewątpliwie trzeba zawołać: wara! zakusom antymilitarystycznym, ale również nic nam po swarach podsycanych przez te elementy prawicowe, które, zamiast służyć idei patriotycznej, starają się ją wyzyskać dla siebie. Francja, Bogu dzięki, nie jest Meksykiem i nie tęskni do generała *z pronunciamiento*.

Bloch nie zdołał wydobyć z pana de Norpois opinii o winie Dreyfusa ani prognozy co do sądu, mającego wyrokować w sprawie cywilnej będącej właśnie w toku. W zamian za to, pan de Norpois z widoczną przyjemnością udzielił mu wyjaśnień co do następstw tego wyroku.

— Jeżeli będzie skazujący — rzekł ambasador — będzie prawdopodobnie skasowany, bo w procesie, gdzie zeznania świadków są tak liczne, rzadko się zdarza, aby nie zaszły uchybienia formalne, które adwokaci mogą zacząć. Co się tyczy wybryku księcia Henryka, bardzo wątpię, aby przypadł do smaku jego ojcu.

— Myśli pan, że Chartres jest za Dreyfusem? — spytała księżna z uśmiechem, ale tonem zgorznienia, z oczami szeroko otwartymi, z zaczerwienioną twarzą, z nosem w talerzu z ciasteczkami.

— Bynajmniej; chciałem tylko powiedzieć, że istnieje w całej tej rodzinie zmysł polityczny, którego *nec plus ultra* można było stwierdzić u godnej podziwu księżnej Klementyny, a który jej syn, książę Ferdynand, zachował jako szacowne dziedzictwo. To pewna, książę Bułgarii nie byłby uściskał majora Esterhazy!

— Wolałby prostego żołnierza — szepnęła pani de Guermantes, która często jadła obiad z owym Bułgarem u księcia de Joinville i która odpowiedziała mu raz, kiedy pytał, czy jest zazdrosna: „Owszem, o bransoletki Waszej Księżęcej Mości”.

— Czy nie idzie pani dziś na bal do Saganów? — spytał pan de Norpois pani de Villeparisis, aby przeciąć rozmowę z Blochem. Poza tym Bloch dosyć spodobał się ambasadorowi, który powiedział później, nie bez naiwności i zapewne z powodu niejakich śladów maniery (mimo iż porzuconej) neohomeryckiej, pozostałych w języku Blocha: „Dosyć zabawny jest, z tym swoim stylem trochę przestarzałym, trochę uroczystym. Mało brak, aby powiedział: »Cne siostry«, jak Lamartine albo Jean-Baptiste Rousseau. To jest dość rzadkie u dzisiejszej młodzieży, a nawet było rzadkie w poprzedniej generacji. My byliśmy

raczej trochę romantyczni”. Ale, mimo iż partner wydał mu się dość osobliwy, pan de Norpois uznał, że rozmowa trwała aż nazbyt długo.

— Nie, drogi panie, nie chodzę już na bale — odparła pani de Villeparisis z ładnym uśmiechem starej kobiety. — A wy idziecie? To w sam raz na wasze lata — dodała obejmując wspólnym spojrzeniem pana de Châtellerault, jego przyjaciela i Blocha. Mnie także zaproszono — rzekła, udając dla żartu, że się tym pyszni. — Zaproszono mnie nawet osobiście — (*zaproszono*, to znaczyło księżna de Sagan).

— Ja nie mam zaproszenia — rzekł Bloch, myśląc że pani de Villeparisis ofiaruje mu się wystarać o nie i że pani de Sagan będzie szczęśliwa powitać u siebie przyjaciela kobiety, którą była zaprosić osobiście.

Margrabina nie odpowiedziała nic, a Bloch nie poruszał już tego tematu, bo miał z nią poważniejszą sprawę do obrobienia, w którym to celu zaprosił się na pojutrze. Usłyszawszy mianowicie, jak dwaj młodzi paniczki mówią, że się podali do dymisji z klubu przy ulicy Royale, gdzie wpuszczają byle kogo, Bloch chciał prosić pani de Villeparisis, aby mu tam wyrobiła przyjęcie.

— Ci Sagan, nieprawdaż, to szczyt fałszywej elegancji, straszne snoby? — rzekł sarkastycznie.

— Ależ nie, to jest to, co mamy najlepszego na składzie w tym rodzaju — odparł pan d'Argencourt, który przyswoił sobie wszystkie paryskie koncepty.

— Zatem — rzekł Bloch na wpół ironicznie — to jest to, co się nazywa *uroczystość*, wielkie światowe wydarzenie sezonu.

Pani de Villeparisis rzekła wesoło do pani de Guermantes:

— Powiedz, czy to taka światowa uroczystość, bal u pani de Sagan?

— Nie mnie trzeba o to pytać — odparła ironicznie księżna — nie doszłam jeszcze do zgłębienia tego, co to jest światowa uroczystość. Zresztą rzeczy światowe to nie jest moja specjalność.

— A! ja myślałem przeciwnie — rzekł Bloch, który wyobrażał sobie, że pani de Guermantes mówi serio.

Ku wielkiej rozpaczy pana de Norpois, Bloch zadawał mu dalej mnóstwo pytań w kwestii oficerów, których nazwiska powtarzały się najczęściej w sprawie Dreyfusa. Ambasador oświadczył mu, że „na oko” pułkownik du Paty de Clam robi na nim wrażenie trochę mętnej głowy i że nie był może najszczęśliwiej wybrany do prowadzenia śledztwa w tej delikatnej sprawie, wymagającej tyle zimnej krwi i tyle taktu.

— Wiem, że partia socjalistyczna domaga się jego skalpu, zarówno jak natychmiastowego wypuszczenia na wolność jeńca z Diablej Wyspy. Ale ja sądzę, że nie jesteśmy jeszcze w tym położeniu, abyśmy mieli słuchać dyktatu panów Gérault-Richard *et consortes*. Dotychczas cała ta sprawa, to butla atramentu. Nie powiadam, aby tak z jednej, jak z drugiej strony nie było do ukrycia dosyć szpetnych paskudztw. Nie twierdzę nawet, aby niektórzy mniej lub więcej bezinteresowni protektorzy pańskiego klienta nie mogli mieć dobrych intencji; ale wiadomo panu, że piekło jest nimi wybrukowane — dodał ambasador ze sprytnym spojrzeniem. — Zasadniczą rzeczą jest, aby rząd sprawiał wrażenie, że nie jest w rękach lewicowych frakcji i że nie musi się poddać ze związanymi rękami i nogami pogrożkom jakiejś wątpliwej armii pretorianów, która, niech mi pan wierzy, nie jest armią. Rozumie się samo przez się, że gdyby wyszedł na jaw nowy fakt, przystąpiono by do rewizji. Oczywiście tego bije w oczy. Domagać się tego znaczy wywahać otwarte drzwi. W owym dniu rząd potrafi przemówić jasno i głośno lub też zaparlby się tego, co jest jego zasadniczym przywilejem. Kalambury nie wystarczą. Trzeba będzie dać sędziów Dreyfusowi. I to nie będzie rzeczą trudną, bo, mimo iż przyzwyczajono się w naszej pięknej Francji, tak chętnej do oczerniania samej siebie, wierzyć lub pozwalać wierzyć, iż, aby usłyszeć słowa prawdy i sprawiedliwości, nieodzowne jest przebyć kanał la Manche, co bardzo często jest okrężną drogą wiodącą nad Sprewę, sędziowie są nie tylko w Berlinie. Ale, skoro raz akcja rządu się wyłoni, czy potrafcie być rządowi posłuszni? Kiedy was wezwie, abyście dopełnili obywatelskiego obowiązku, czy potrafcie go usłuchać, czy skupicie się dokoła niego? Czy na jego patriotyczny apel potrafcie nie pozostać głusi i odpowiedzieć: „Jestem!”?

Pan de Norpois zadawał te pytania Blochowi z gwałtownością, która, onieśmielając jego kolebę, pochlebiała mu zarazem; ambasador bowiem robił wrażenie, że zwraca

się w jego osobie do całego stronnictwa, że zadaje Blochowi pytania tak, jakby ów był piastunem sekretów partii i mógł przyjąć odpowiedzialność za decyzje, które zapadną.

— Gdybyście nie złożyli oręża — ciągnął pan de Norpois, nie czekając kolektywnej odpowiedzi Blocha — gdybyście, nim jeszcze obeschnie dekret zarządzający rewizję procesu, posłuszni jakiemuś zdradzieckiemu hasłu, nie złożyli broni, ale zaciekli się w jawowej opozycji, która wydaje się niektórym *ultima ratio* polityki, gdybyście się cofnęli do swego namiotu i spalili okręty, byłoby to z waszą wielką szkodą. Czy jesteście więźniami siewców rozkładu? Czyście się im zaprzędali?

Bloch był w kłopotcie, co odpowiedzieć; ale pan de Norpois nie zostawił mu na to czasu:

— Jeżeli, przypuścmy to, prawda jest w przeciwnym obozie; jeżeli posiadacie trochę tego, czego, niestety, jak widzę, brakuje niektórym z waszych wodzów i przyjaciół, jakiegoś zmysłu politycznego, wówczas w tym samym dniu, w którym wyrok sądu zostanie zakwestionowany, o ile się nie dacie przywiesić na hak ludziom łowiącym ryby w mętnej wodzie, zdobyliście twierdzę. Nie ręczę, czy cały sztab generalny zdoła wyjść z tego cało, ale to jest już dość pięknie, jeżeli bodaj część zdoła ocalić głowę, nie podkładając ognia pod prochy i nie powodując katastrofy. Rozumie się zresztą samo przez się, że do rządu należy stanowić prawo i zamknąć zbyt długą listę nieukaranych zbrodni, oczywiście nie w drodze posłuchu podżeganiom socjalistów, czy jakiej bądź soldateski — dodał ambasador, patrząc Blochowi w oczy, może z owym właściwym wszystkim konserwatystom instynktem zabezpieczenia sobie względów w przeciwnym obozie. — Akcja rządowa musi iść swoim torem, bez troski o pokrzykiwania, skądkolwiek by pochodziły. Rząd nie jest, Bogu dzięki, ani pod rozkazami pułkownika Driant, ani, na przeciwnym biegunie, pana Clemenceau. Trzeba przygiąć karku zawodowym agitatorom i nie dać im podnieść głowy. Francja w swojej ogromnej większości pragnie pracy i ładu! W tym względzie moje wyznanie wiary jest jasne. Ale nie trzeba się bać oświecić opinię; a jeżeli parę owiec, z tych, które tak dobrze znał nasz Rabelais, rzuci się na łeb na szyję w wodę, godziłoby się pokazać im, że ta woda jest mętna, że ją zmacił rozmyślnie posiew obcego chowu, aby zasłonić niebezpieczne kulisy. I rząd nie powinien robić wrażenia, że porzuca swą bierność jakby pomimo woli, kiedy będzie wykonywał prawo będące zasadniczym jego prawem: mam na myśli prawo wprawienia w ruch ramienia Sprawiedliwości. Rząd przyjmie wszystkie wasze sugestie, panowie. Jeżeli stwierdzone zostanie, że zaszła omyłka sądowa, rząd będzie pewien przygniatającej większości, która mu pozwoli na rozmach w działaniu.

— Pan, proszę pana — rzekł Bloch, zwracając się do pana d'Argencourt, któremu wymieniono wraz ze wszystkimi jego nazwisko — pan jest z pewnością dreyfusistą; za granicą wszyscy są za Dreyfusem.

— To jest sprawa, która obchodzi tylko Francuzów, tylko ich, nieprawdaż? — odparł pan d'Argencourt z ową specjalną impertynencją, która polega na tym, aby używać partnerowi mniemania, którego on najoczywiściej nie podziela, skoro właśnie wyraził sąd przeciwny.

Bloch spiekl raka; pan d'Argencourt uśmiechnął się, patrząc dokoła siebie, a o ile ten uśmiech, podczas gdy go kierował na innych gości, był niezyczyliwy dla mego kolegi, zabarwił się serdecznością, spoczawszy w końcu na Blochu, aby mu odjąć pozór do obrazy za słowa, które mimo to pozostały okrutne. Pani de Guermentes szepnęła panu d'Argencourt coś, czego nie słyszałem, ale co się musiało odnosić do religii Blocha; bo w tej chwili po twarzy księżnej przebiegł ów wyraz, któremu strach, iż dotycząca osoba mogła coś spostrzec, daje coś niepewnego i fałszywego, z domieszką owej ciekawej i złośliwej wesołości, jaką budzi grupa ludzka zasadniczo nam obca.

Aby się odegrać, Bloch zwrócił się do księcia de Châtellerault:

— Pan, proszę pana, jakkolwiek Francuz, wie pan z pewnością, że zagranica jest za Dreyfusem, mimo iż twierdzą, że we Francji nie wie się nigdy, co się dzieje za granicą. Zresztą, wiem, że z panem można się dogadać. Saint-Loup mówił mi to.

Ale młody książę widział, że wszyscy zgodnie są przeciw Blochowi; tchórzliwy, jak często ludzie bywają w „świecie”, obdarzony zresztą ciętym dowcipem, jak gdyby przejętym atawistycznie od pana de Charlus, rzekł:

Obcy, Obyczaj

— Daruje pan, że nie będę z nim dysputował o Dreyfusie, ale mam za zasadę mówić o tej sprawie jedynie z potomkami Jafeta.

Wszyscy się uśmiechnęli, z wyjątkiem Blocha, mimo iż często zdarzało mu się wygłaszać ironiczne aluzje do swego semickiego pochodzenia, co do swojej genealogii wiodącej do stóp góry Synaj. Ale w miejsce jednego z tych powiedzeń, które widocznie nie były gotowe, sprężyna jego duchowej maszyny sprowadziła na usta Blocha inne słowa. I dosłyszano tylko to: „Ale skąd pan może wiedzieć? Kto panu powiedział?” tak jak gdyby był synem zbrodniarza. Z drugiej strony, zważywszy jego fizys i jego nazwisko niemające nie szczególnie chrześcijańskiego, zdumienie jego trąciło pewną naiwnością.

Ponieważ deklaracja pana de Norpois nie zadowoliła Blocha całkowicie, zbliżył się do archiwisty i spytał, czy nie widuje się czasem u pani de Villeparisis pana du Paty de Clam albo Józefa Reinach. Archiwista nie odpowiedział; był nacjonalistą i nieustannie kładł w uszy margrabinie, że niebawem przyjdzie do wojny socjalnej i że powinna być ostrożniejsza w wyborze stosunków. Pomyślał, czy Bloch nie jest tajnym emisariuszem syndykatu, przybyłym celem wywiadu; toteż poszedł natychmiast powtórzyć pani de Villeparisis pytania Blocha. Margrabina uznała, że Bloch jest co najmniej źle wychowany, a może niebezpieczny dla sytuacji pana de Norpois. Chciała zarazem dać satysfakcję archiwście, jedynemu człowiekowi którego się trochę bała i który katechizował ją bez wielkiego sukcesu (co rano czytał jej artykuł pana Judet w „Petit Journal”). Pragnąc tedy okazać Blochowi, że nie ma po co wracać, znalazła na poczekaniu w swoim światowym repertuarze scenę, za pomocą której wielka dama ekspediuje kogoś za drzwi; scenę niewymagającą zgoła rozkazująco wyciągniętej ręki ani płomiennych oczu, jakby to sobie można wyobrazić. Kiedy Bloch podszedł, aby się pożegnać, margrabina, zanurzona w wielkim fotelu, zaledwie że się ocknęła niby to z mimowolnej drzemki. Zamglone jej oczy miały słaby i uroczy blask perły. Pożegnanie Blocha, ledwie znacząc na twarzy margrabiny omdlewający uśmiech, nie wyrwało jej ani słowa; nie wyciągnęła doń ręki. Scena ta wprawiła Blocha w niesłychane zdumienie, ale ponieważ krąg stojących dookoła osób był jej świadkiem, nie sądził, aby ją mógł przeciągać bez ujmy dla siebie; aby wyrwać margrabinę z bierności, sam podał rękę, której ona nie kwapiła się podjąć. Pani de Villeparisis uczuła się zgorzonna; ale zapewne, dając doraźną satysfakcję archiwście oraz obozowi antydreyfusistów, chciała jednak zabezpieczyć sobie przyszłość; poprzestała na spuszczeniu powiek i przymknięciu oczu.

— Zdaje się, że śpi — rzekł Bloch do archiwisty, który, czując poparcie margrabiny, przybrał wyraz oburzony. — Moje uszanowanie pani — krzyknął Bloch.

Margrabina poruszyła lekko wargami, niby umierająca, która chciałaby otworzyć usta, ale już nie poznaje. Następnie odwróciła się, kipiąca odzyskanym życiem, ku margrabie-mu d'Argencourt, podczas gdy Bloch oddalał się, przekonany, że ona jest „zramolala”. Ciekawość i chęć przeniknięcia tak dziwnego zdarzenia zaprowadziły go do margrabiny po kilku dniach. Przyjęła go bardzo uprzejmie, bo była dobra kobieta, bo archiwisty nie było, zależała jej na bluetce, którą Bloch miał u niej wystawić, a wreszcie bo odegrała już swoją scenę wielkiej damy, powszechnie podziwianą i komentowaną tego samego wieczora w różnych salonach, ale wedle wersji niemającej już nic wspólnego z prawdą.

— Mówiła pani o *Siedmiu księżniczkach*; wie księżna, czym zresztą nie mam powodu się pysnić, że autor tego... jak mam powiedzieć, tego *dowodu rzeczowego* jest moim ziomkiem — rzekł pan d'Argencourt z ironią niepozbawioną odcienia satysfakcji, iż zna lepiej od innych autora utworu będącego tematem rozmowy. — Tak, to jest z profesji Belg — dodał.

— Doprawdy? Nie, nie będziemy pana posądzali o to, aby pan miał jakikolwiek udział w tych *Siedmiu księżniczkach*. Szczęściem dla pana i dla pańskich ziomków, nie jest pan w niczym podobny do autora tej bzdury. Znam Belgów bardzo miłych: pan, pański król, trochę nieśmiały, ale pełen inteligencji, moi kuzynowie Ligne i wielu innych, ale na szczęście nie posługujecie się tym samym językiem, co autor *Siedmiu księżniczek*. Zresztą, jeżeli mam być szczerą, za dużo mówimy o tym, bo przede wszystkim to jest nic. To są ludzie, którzy starają się być mętni, a w potrzebie gotowi są być śmieszni, aby pokryć to, że mają pustkę w głowie. Gdyby w tym coś było, powiem panu, że ja się nie lękam niektórych śmiałości — dodała tonem serio — z chwilą, kiedy gdzieś jest myśl. Nie wiem, czy pan widział sztukę pana Borelli. Są ludzie, których to raziło; ja, gdyby mnie nawet miano

ukamienować — dodała księżna, nie zdając sobie sprawy, że nie ryzykuje zbyt wiele — przyznając, że mi się to wydało nieskończenie ciekawe. Ale *Siedem księżniczek!* Daremnie jedna z nich darzy łaskami mego siostrzeńca, niepodobna mi posunąć tak daleko uczuć rodzinnych...

Księżna urwała, bo wchodząca właśnie dama to była wicehrabina de Marsantes, matka Roberta. Pani de Marsantes miała w *Faubourg Saint-Germain* opinię istoty wyższej, anielskiej rezygnacji i dobroci. Słyszałem o tym i nie miałem specjalnego powodu się dziwić, nie wiedząc wówczas, że to jest rodzona siostra księcia de Guermantes. Później dziwiło mnie zawsze, ilekroć się dowiedziałem w tym towarzystwie, że kobiety melancholijne, czyste, otoczone kultem, czczone na kształt idealnych świętych z witraża, wykwitły z tej samej genealogicznej gałęzi, co ich bracia, brutalni, rozwiązli i plugawi. Zdawało mi się, że bracia i siostry, kiedy są zupełnie podobni z twarzy (jak książę de Guermantes i pani de Marsantes), powinni by mieć jedną inteligencję, jedno serce, jak osoba, która może mieć dobre lub złe chwile, ale od której nie można się spodziewać szerokich widnokręgów, jeżeli jest ograniczona, ani wzniosłej abnegacji, jeżeli ma twarde serce.

Pani de Marsantes uczęszczała na wykłady Brunetière'a. Budziła entuzjazm *Faubourg Saint-Germain*, budując zarazem salony życiem świętej. Ale morfologiczne powinowactwo ładnego nosa i przenikliwych oczu kazałyby ją jednakże zaliczyć do tej samej intelektualnej i moralnej rodziny, co brata jej, księcia de Guermantes. Nie mogłem uwierzyć, iż sam fakt, że ktoś jest kobietą i może to, że ta kobieta była nieszczęśliwa i że ma za sobą sympatię opinii, mógł sprawić, aby ktoś był tak różny od swoich bliskich, niby w *Chansons de gestes*, gdzie wszystkie cnoty i wdzięki skupiają się w siostrze dzikich braci. Zdawało mi się, że natura, bardziej skrupowana od starych poetów, musi się posługiwać niemal wyłącznie składnikami wspólnymi całej rodzinie; nie umiałem przypisywać naturze takiej zdolności odnawiania się, aby, z materiałów analogicznych do tych, co składały głupca i chama, stworzyła wielki umysł bez najmniejszej domieszki głupoty, świętą bez żadnej zmaży brutalności.

Pani de Marsantes miała białą jedwabną suknię w wielkie palmy, od których odcinały się czarne kwiaty. Przed trzema tygodniami straciła kuzyna, pana de Montmorency, co jej nie przeszkadzało robić wizyt i chodzić na mniejsze obiady, ale w żałobie. To była wielka dama. Przez atawizm, dusza jej była wypełniona czczością egzystencji dworskich, ze wszystkim, co w nich jest powierzchownego i formalistycznego.

Pani de Marsantes nie miała siły długo oplakiwać ojca i matki, ale za nic na świecie nie włożyłaby nic kolorowego w ciągu miesiąca po śmierci kuzyna. Była dla mnie niezmiernie uprzejma, ponieważ byłem przyjacielem Roberta i ponieważ nie byłem z tego samego świata. Dobroci tej towarzyszyła udana nieśmiałość, objawiająca się chwilowym powściągnięciem głosu, spojrzenia, myśli, które kobieta ściąga ku sobie niby zbyt obfitą spódnicę, aby nie zabierać za wiele miejsca, aby zachować linię prostą — mimo iż giętką — jak żąda dobre wychowanie. Dobre wychowanie, którego nie trzeba zresztą brać dosłownie: wiele z tych dam osuwa się bardzo szybko w wyuzdanie, nie tracąc nigdy dziecinnej niemal poprawności manier. Pani de Marsantes była nieco drażniąca w rozmowie, bo za każdym razem, kiedy chodziło o kogoś „nieurodzonego”, jak np. Bergotte, Elstir, mówiła skandując słowa, podkreślając je i psalmodiując na dwa odmienne tony, z modulacją właściwą Guermantom: „Miałam *zaszczyt*, wielki *zaszczyt* spotkać pana Bergotte, poznać pana Elstir”; czy aby kazać podziwiać swoją pokorę, czy przez to samo upodobanie, jakie znajdował pan de Guermantes w antycznych formach, w proteście przeciw dzisiejszemu brakowi wychowania, nie dosyć posługującemu się słowem „zaszczycony”. Która bądź z tych dwóch racji była istotną, czuło się, iż kiedy pani de Marsantes mówi: „Miałam *zaszczyt*, wielki *zaszczyt*”, dama ta sądzi, iż spełnia wielką rolę, pokazuje, iż umie witać nazwiska ludzi wartościowych, tak jakby witała ich samych w swoim zamku, gdyby się znaleźli gdzieś w sąsiedztwie. Z drugiej strony, ponieważ miała liczną rodzinę i bardzo ją kochała, ponieważ powolna w dykcji, a lubiąca się w wyjaśnieniach, chciała wykladać gruntownie pokrewieństwa, co chwila cytowała (bez najmniejszej chęci popisu, szczerze lubiła mówić jedynie o wzruszających chłopach i o wzniosłych gajowych) wszystkie mediatyzowane rody Europy, czego mniej świetne od niej osoby nie mogły jej przebaczyć i — o ile były trochę intelektualne — drwiły z jej głupoty.

Na wsi ubóstwiano panią de Marsantes dla jej dobroczynności, ale zwłaszcza dlatego,

Dama

że czystość jej krwi, w której od kilku pokoleń skupiało się jedynie to, co było największego w historii Francji, odejmowała jej wzięciu wszystko, co lud nazywa „fasonami”, dając mu zupełną prostotę. Nie lękała się uściśnąć biednej kobiety, która była w nędzy, i kazać jej przyjść po worek drzewa do zamku. Była to — powiadano — doskonała chrześcijanka. Pragnęła dla Roberta kolosalnie bogatego małżeństwa. Być wielką damą, znaczy grać wielką damę; to znaczy, po części, grać prostotę. To jest gra, która kosztuje niezmiernie drogo; zwłaszcza że prostota czaruje jedynie pod tym warunkiem, żeby inni wiedzieli, iż ktoś mógłby nie być prosty, to znaczy, że jest bardzo bogaty. Mówiono mi potem, kiedyś opowiedział, że widział panią de Marsantes: „Musiał pan sobie uprzytomnić, że ona była kiedyś czarująca”. Ale prawdziwa piękność jest tak swoista, tak nowa, że nie poznaje się jej jako piękności. Powiedziałem sobie jedynie tego dnia, że pani de Marsantes ma małeńki nosek, bardzo niebieskie oczy, długą szyję i smutny wyraz twarzy.

— Słuchaj — rzekła pani de Villeparisis do księżnej de Guermantes — sądzę, że za chwilę zjawi się tutaj kobieta, której nie masz ochoty poznać; wolę cię uprzedzić, żeby cię to nie zaskoczyło. Zresztą możesz być spokojna, nigdy nie przyjmę jej później, ale ma przyjść tylko jeden raz, dzisiaj. To żona Swanna.

Pani Swann, widząc proporcje, jakie przybierała sprawa Dreyfusa i bojąc się, aby pochodzenie męża nie obróciło się przeciwko niej, błagała go, aby nigdy już nie mówił o niewinności skazanego. Kiedy Swanna nie było, posuwała się dalej i głosiła *credo* najżarliwszego nacjonalizmu; naśladowała w tym zresztą panią Verdurin, w której mieszczkański i skryty antysemityzm obudził się i doszedł do prawdziwego szału. Pani Swann zyskała na swojej postawie to, że weszła do paru antysemickich lig kobiecych, które zaczynały się tworzyć, oraz nawiązała stosunki z licznymi osobami z arystokracji. Może się wydać dziwne, że daleka od ich naśladowania księżna de Guermantes, tak zaprzyjaźniona ze Swannem, wytrwale opierała się jego nietajonej chęci przedstawienia jej swojej żony. Ale ujrzymy później, że to był skutek swoistego charakteru księżnej, która sądziła, że „nie musi” zrobić takiej a takiej rzeczy i narzucała despotycznie to, co zdecydowała jej światowa „wolna wola”, bardzo arbitralna.

— Dziękuję, że mnie ciocia uprzedziła — odparła księżna. — To by mi było w istocie bardzo przykre. Ale ponieważ ją znam z widzenia, zerwę się na czas.

— Upewniam cię, Oriano, ona jest bardzo miła, to wyborna osoba — rzekła pani de Marsantes.

— Nie wątpię, ale nie czuję żadnej potrzeby sprawdzać tego osobiście.

— Czy jesteś zaproszona do lady Israel? — spytała pani de Villeparisis księżnej, aby odmienić rozmowę.

— Ależ, Bogu dzięki, ja jej nie znam — odparła pani de Guermantes. — To naszej Marii trzeba o to pytać. Ona ją zna, nigdy nie mogłam pojąć czemu.

— Znałam ją w istocie — odparła pani de Marsantes — wyznaję swoje błędy. Ale jestem zdecydowana jej już nie znać. Zdaje się, że to jedna z najgorszych, i nie kryje się z tym. Zresztą wszyscy byliśmy zbyt ufni, zbyt gościnni. Noga moja już nie postanie u nikogo z tej nacji. Zamykało się drzwi starym kuzynom z prowincji, ludziom tej samej krwi, a otwierało się je Żydom. Widzimy teraz, jak nam za to dziękują. Niestety, nie mam prawa nic mówić: mam czarującego syna, który, jak młody wartogłów, wygłasza wszystkie możliwe niedorzeczności — dodała, słysząc, że pan d'Argencourt robi aluzję do Roberta. — Ale *à propos* Roberta, czy ty go nie widziałas? — spytała, zwracając się do pani de Villeparisis — ponieważ to jest sobota, myślałam, że mógłby wpaść na dwadzieścia cztery godzin do Paryża i w takim razie zaszedłby cię z pewnością odwiedzić.

W rzeczywistości pani de Marsantes myślała, że jej syn nie dostał pozwolenia; że jednak w każdym razie wiedziała, iż, gdyby je miał, nie zaszedłby do pani de Villeparisis, miała nadzieję, udając, iż wierzy, że by go tutaj zastała, zyskać mu przebaczenie u podejrzliwej ciotki za wszystkie wizyty, o które ją oszukał.

— Robert tutaj! Ależ ja nie miałam nawet słówka od niego; zdaje się, że go nie widziała od czasu Balbec.

— Jest taki zajęty, tyle ma do roboty — rzekła pani de Marsantes.

Niedostrzegalny uśmiech sfalował rzęsy pani de Guermantes; patrzyła na kółko, które końcem parasolki kreśliła na dywanie. Za każdym razem, kiedy książę zaniedbywał zbyt jawnie żonę, pani de Marsantes brała z rozgłosem stronę szwagierki przeciw bratu. Ta za-

chowowała jej opiekę we wdzięcznej i urażliwej pamięci i niezbyt się martwiła wybrykami Roberta. W tej chwili drzwi otwały się znowu i wszedł Robert.

— O, kiedy mowa o *wilku*... — rzekła pani de Guermantes, igrając z nazwiskiem Saint-Loup.

Pani de Marsantes, siedząc plecami do drzwi, nie widziała wchodzącego syna. Kiedy go spostrzegła, radość w tej matce zatrzepotała naprawdę jak skrzydło, ciało pani de Marsantes na wpół się uniosło, twarz jej zadrgała, wlepiła w Roberta zachwycone oczy:

— Jak to, przyszedłeś! co za szczęście! co za niespodzianka!

— A, kiedy mowa o wilku, rozumiem — rzekł dyplomata belgijski, śmiejąc się do rozpuku. — Saint-Loup.

— To rozkoszne — rzekła sucho pani de Guermantes, która nie cierpiała kalamburów i zaryzykowała ten, jedynie niby to kpiąc z samej siebie.

— Jak się masz, Robercie — rzekła — więc tak zapomina się o swojej ciotce.

Rozmawiali chwilę z sobą, i z pewnością o mnie, bo podczas gdy Saint-Loup zbliżał się do matki, pani de Guermantes obróciła się do mnie.

— Dzień dobry — rzekła — jak się pan ma.

Spuściła na mnie deszcz światła swego błękitnego spojrzenia, zawahała się chwilę, rozwinęła i wyciągnęła łodygę swego ramienia, pochyliła naprzód ciało, które wyprostowało się szybko wstecz, niby drzewko, które ktoś nagiął i które, zwolnione, wraca do naturalnej pozycji. Tak robiła pod ogniem spojrzeń Roberta, który ją obserwował i czynił na odległość rozpaczliwe wysiłki, aby uzyskać od ciotki jeszcze coś więcej. Bojąc się, aby rozmowa nie upadła, przyszedł ją podsyć i odpowiedział za mnie:

— Nie miewa się zbyt dobrze, jest trochę zmęczony; zresztą może by się miewał lepiej, gdyby cię częściej widywał, bo nie ukrywam ci, że lubi cię widzieć.

— A, ależ to bardzo uprzejmie! — rzekła pani de Guermantes tonem rozmyślnie banalnym, tak jakbym jej przyniósł płaszcz. — Bardzo mi to pochlebia.

— Pójdę trochę usiąść koło matki, zostawiam ci swoje krzesło — rzekł Saint-Loup, zmuszając mnie w ten sposób, abym usiadł przy jego ciotce.

Zamilkliśmy oboje.

— Spotykam pana czasem rano — rzekła, jak gdyby mi oznajmiała nowinę i jakbym ja jej nie widział. — To bardzo dobre dla zdrowia.

— Oriano — rzekła półgłosem pani de Marsantes — mówiłaś, że idziesz do pani de Saint-Ferréol; czy byłabyś tak uprzejma powiedzieć jej, żeby mnie nie czekała z obiadem: zostanę w domu, skoro mam Roberta. Śmiem nawet prosić cię jeszcze o coś: powiedz przechodząc, żeby kupiono tych cygar, które Robert lubi; to się nazywa „Corona”, nie ma ich już w domu.

Robert zbliżył się, usłyszał tylko nazwisko pani de Saint-Ferréol.

— Co to jest znowu takiego pani de Saint-Ferréol? — spytał tonem ostentacyjnego zdziwienia, przybrał bowiem manierę ignorowania wszystkiego, co dotyczy „świata”.

— Ależ, kochanie, wiesz dobrze — rzekła matka — to siostra pana de Vermandois; to ona ci dała ten ładny bilardzik, który tak lubiłeś.

— Jak to, to jest siostra Vermandois, nie miałem o tym najlżejszego pojęcia. A, moja rodzina jest bajeczna — rzekł, na wpół obracając się do mnie i przejmując bezwiednie akcenty Blocha, jak przejmował jego myśli — zna ludzi niesłychanych, ludzi nazywających się co najmniej de Saint-Ferréol — (wybijał ostatnią spółgłoskę każdego słowa) — chodzi na bale, jeździ na spacer powozami, prowadzi fantastyczną egzystencję. Bajkowe.

Pani de Guermantes wydobyła z gardła ów lekki i silny dźwięk, niby wymuszony uśmiech, który się polyka, a który miał na celu okazanie, że w stopniu, w jakim pokrewieństwo ją do tego zmusza, bierze udział w dowcipie swego siostrzeńca.

W tej chwili lokaj oznajmił, że książe von Faffenheim-Münsterburg-Weiningen każe powiedzieć panu de Norpois, że przyszedł.

— Niech go pan wprowadzi — rzekła pani de Villeparisis do ex-ambasadora, który ruszył naprzeciw niemieckiego premiera.

Ale margrabina przywołała ambasadora:

— Niech pan zaczeka; czy mam mu pokazać miniaturę cesarzowej Szarlotty?

Śmiech, Rodzina, Obyczaje

— A, sądzę, że będzie zachwycony! — rzekł z przejęciem ambasador, tak jakby zadościł szczęśliwemu ministrowi łaski, która go czeka.

— Tak, wiem, że on jest bardzo *dobrze myślący* — rzekła pani de Marsantes — a to takie rzadkie u cudzoziemców. Ale ja mam informacje. To wcielony antysemityzm.

Nazwisko księcia von Faffenheim — w szczerości, z jaką pierwsze sylaby były — jak się mówi w muzyce — *atakowane*, i w zająkliwej repetycji, która je skandowała — zachowało rozmach, zmanierowaną naiwność, ciężkie fincje germańskie, rzucone niby zieleniące się gałęzie na ciemnobłękitną emalię zgłoski „Heim”, roztaczającą mistycyzm nadreńskiego witrażu, poza bladymi i subtelnie cyzelowanymi złoceniami niemieckiego XVIII wieku. Wśród różnych członów, które je składały, nazwisko to zawierało nazwę niemieckiego miasteczka kąpielowego, gdzie raz dzieckiem byłem z babką, u stóp góry zaszczyconej przechadzkami Goethego oraz winnic, z których piliśmy w Kurholfie szacowne wina o nazwach skomplikowanych i grzmiących jak epitety dawane przez Homera jego bohaterom. Toteż, ledwie usłyszał nazwisko księcia, zanim sobie przypomniałem kąpielisko, wydało mi się ono zmniejszone, nasiąkłe ludzkością, mieszczące się swobodnie w małym zakątku mojej pamięci, do której przyłgnęło, poufale, przyziemne, malownicze, soczyste, lekkie, z dodatkiem czegoś jakby autoryzowanego, przepisowego. Co więcej, pan de Guermantes, tłumacząc, kim jest książę, wymienił kilka jego tytułów; wówczas poznałem wioskę przeciętą rzeką, gdzie co wieczór, po skończonej kuracji, puszczałem się łódką poprzez chmarę komarów; i nazwę lasu, na tyle odległego, aby mi lekarz zabronił tam chodzić na spacer. I w istocie, zrozumiałe było, że zwierchnictwo udzielonego pana rozciągało się na otaczające miejscowości i w wyliczaniu jego tytułów skupiło na nowo nazwy, które można było wyczytać jedne tuż koło drugich na mapie. Tak więc, pod przyłbicą księcia Świętego Imperium i giermka Frankonii, ujrzałem twarz ukochanej ziemi, gdzie często zatrzymywały się dla mnie promienie wieczornego słońca, którym znów ujrzał w tej chwili, przynajmniej zanim książę, ryngrabia i elektor Palatynatu wszedł do salonu. Bo dowiedziałem się w ciągu kilku chwil, że dochody jakie czerpie z lasu i z rzeki zaludnionej gnomami i ondynamami, z zaczarowanej góry, gdzie wznosi się stary gród pamiętający Lutra i Ludwika germańskiego, książę obraca na to, aby mieć pięć automobilów marki Charron, jeden pałac w Paryżu, a drugi w Londynie, abonowaną łożę (poniedziałki) w Operze, a drugą (wtorki) w Komedii Francuskiej. Nie wydawało mi się (i on sam nie zdawał się w to wierzyć), aby on się różnił od ludzi tego samego majątku i wieku o mniej poetycznym rodowodzie. Posiadał ich kulturę, ich ideały, cieszył się swoją pozycją, ale jedynie dla korzyści, jakie mu dawała, i miał w życiu już tylko jedną ambicję: zostać członkiem korespondentem Akademii Nauk Moralnych i Politycznych, z której to przyczyny zjawił się u pani de Villeparisis.

Jeżeli książę, którego żona wodziła rej w najbardziej zamkniętej koterii Berlina, prosił o zaszczyt przedstawienia go margrabinie, to nie dlatego, aby sam z siebie żywił tę ochotę. Trawiony od lat żądzą wejścia do Instytutu, nigdy, na swoje nieszczęście, nie zdołał przekroczyć liczby pięciu Akademików skłonnych nań głosować. Wiedział, że pan de Norpois rozporządza sam jeden co najmniej dziesiątkiem głosów, do których dyplomata ów miał możliwość, dzięki zręcznym transakcjom, przydać inne. Toteż książę, znajomy jego z Rosji, kiedy byli tam obaj ambasadorami, wybrał się do pana de Norpois z wizytą i robił co mógł, aby go sobie zjednać. Ale daremnie mnożył uprzejmości, daremnie zdobywał margrabiemu rosyjskie orderzy, cytował go w artykułach o polityce zagranicznej — miał do czynienia z niewdzięcznikiem, człowiekiem, któremu wszystkie uprzejmości zdawały się niczym, który nie posunął jego kandydatury ani o krok, nie przyrzekł mu nawet swojego głosu! Niewątpliwie, pan de Norpois przyjmował księcia niezmiernie uprzejmie, nie chciał nawet, aby się trudził i „drapał się po schodach”; udawał się sam do pałacu księcia, kiedy zaś rycerz teutoński wybąkał: „Chciałbym bardzo być pańskim kolegą”, odpowiadał z przekonaniem: „Och, byłbym szczęśliwy!”. I z pewnością człowiek naiwny, jakiś Cottard, powiedziałby sobie: „No tak, przyszedł do mnie, zależało mu na tym, aby przyjść, bo uważa mnie za figurę wyższą od siebie, mówi mi, że byłby szczęśliwy, gdybym się znalazł w Akademii, słowa mają przecież jakieś znaczenie, coś u licha, z pewnością jeżeli mi nie proponuje, że będzie głosował na mnie, to dlatego, że mu to nie przyszło na myśl. Za wiele mówi o mojej wielkiej władzy, musi myśleć, że mnie pieczone gołąbki same

wpadają do ust, że mam tyle głosów, ile zapagnę i dlatego nie proponuje mi swojego; ale wystarczy mi przycisnąć go do muru, o tak, w cztery oczy, i powiedzieć mu: »No więc, niech pan głosuje za mną«, a będzie musiał to zrobić”.

Ale książę von Faffenheim nie był naiwny; był — jakby powiedział doktor Cottard — „szczwanym dyplomatą” i wiedział, że pan de Norpois jest nie mniej szczwany, ani też nie jest człowiekiem niezdolnym zgadnąć w lot, że mógłby sprawić przyjemność kandydatowi, głosując za nim. W czasie swoich ambasad i jako minister spraw zagranicznych, książę miewał, na rzecz swojego kraju, jak obecnie dla samego siebie, owe rozmowy, w których człowiek wie z góry, jak daleko chce zejść i czego nie chce powiedzieć. Wiedział, że w języku dyplomatycznym rozmawiać znaczy ofiarowywać. I dlatego postarał się dla pana de Norpois o wielką wstęgę świętego Andrzeja. Ale gdyby musiał zdać sprawę swemu rządowi z rozmowy, jaką miał potem z panem de Norpois, mógłby sformułować to w depeszy: „Zrozumiałem, że obrał fałszywą drogę”. Bo z chwilą gdy książę znów zaczął mówić o Instytucie, pan de Norpois odpowiedział:

— Bardzo bym się z tego cieszył, bardzo, dla moich kolegów. Muszą, jak sądzę, czuć się naprawdę zaszczytzeni tym, że książę o nich pomyślał. To jest kandydatura bardzo interesująca, trochę niezwykła dla naszych przyzwyczajęń. Książę wie, Akademia jest wielka rutynistka, przeraża ją wszystko, co wydaje dźwięk trochę nowy. Osobiście nie chwalebę jej tego. Ileż razy zdarzyło mi się dać to do zrozumienia moim kolegom. Nie wiem nawet, niech mi Bóg odpuści, czy słowo „mamuty” nie wyszło raz z moich ust — dodał ze zgorzonym uśmiechem, półgłosem, prawie *na stronie*, rzucając na księcia szybkie i skośne spojrzenie swego niebieskiego oka, niby stary aktor sprawdzający wrażenie. — Rozumie książę, że nie chciałbym osobistości tak wybitnej jak pańska narażać na partię z góry przegraną. Dopóki pojęcia moich kolegów będą równie zacofane, sądzę, że roztropność każe się powstrzymać. Niech książę będzie zresztą przeświadczony, że gdybym widział kiedy, że duch nieco świeższy, nieco żywszy rysuje się w tym kolegium, które staje się po trosze cmentarzyskiem, gdybym dostrzegł jakąś możliwą szansę, pierwszy uprzedziłbym księcia o tym.

„Wielka wstęga świętego Andrzeja była omyłką — pomyślał książę; rokowania nie posunęły się ani o jotę; nie tego chciał. — Nie znalazłem właściwego klucza”.

Był to rodzaj wnioskowania, do jakiego pan de Norpois, wychowany w tej samej szkole, byłby równie zdolny. Można sobie drwić z pedantycznego ramolizmu, z jakim dyplomaci w stylu pana de Norpois rozplywają się nad oficjalnym słówkiem, prawie nieznaczącym. Ale ich dzieciństwo ma swoją korekturę: dyplomaci wiedzą, że na wadze, która zapewnia równowagę europejską lub inną, nazywaną pokojem, dobre uczucia, piękne słowa, błagania, ważą bardzo mało; że ważki i prawdziwy ciężar, decyzje, zależą od czego innego: od możliwości, jaką posiada przeciwnik (o ile jest dość silny) zaspokojenia, w drodze wymiany, jakiejś chęci. Z tym systemem prawd, którego osoba całkowicie bezinteresowna, jak moja babka na przykład, nie byłaby zdolna pojąć, pan de Norpois i niemiecki książę zmagali się często. Jako ambasador w krajach, z którymi bywaliśmy o włos od wojny, pan de Norpois, niespokojny o obrót wypadków, wiedział bardzo dobrze, że nie pod słowem *pokój* lub pod słowem *wojna* będą mu one zakomunikowane; ale pod innym, banalnym na pozór, strasliwym lub błogosławionym, które dyplomata, przy pomocy swego szyfru, zdoła natychmiast odczytać. Aby ocalić godność Francji, odpowiedziałby na nie innym, równie banalnym słowem, w którym minister wrogiego narodu wyczytałby natychmiast: wojna. I nawet, wedle dawnego zwyczaju, pokrewnego temu, który pierwszemu zbliżeniu dwojga przeznaczonych dla siebie istot dawał formę przypadkowego spotkania w teatrze *Gymnase*, dialog, w którym los podyktowałby słowo *Wojna* lub słowo *Pokój*, nie odbywał się zazwyczaj w gabinecie ministra, ale na ławce jakiegoś „*Kurgartenu*”, gdzie minister i pan de Norpois chodzili obaj do źródeł mineralnych wychylać kubki zdrowiodajnej wody. Jak gdyby mocą cichego układu, spotykali się w godzinie kuracji, robili najpierw mały spacer, o którym, pod jego niewinnym pozorem, obaj partnerzy wiedzieli, że jest równie tragiczny jak nakaz mobilizacji. Otóż w sprawie prywatnej, jak ta kandydatura do Instytutu, książę posługiwał się tym samym systemem indukcji, jaki praktykował w ciągu swojej kariery, i tą samą metodą czytania poprzez warstwę symbolów.

I z pewnością nie można twierdzić, aby wyłącznie moja babka i podobne jej natury

Polityka, Słowo

Polityka, Interes, Naród,
Lud, Państwo

nie znały rachub tego rodzaju. To pewna, iż ogół ludzi uprawiających określone zawody swoim brakiem intuicji dorównywa ignorancji, jaką babce dawała jej absolutna bezinteresowność. Często trzeba zstąpić aż do osób będących na utrzymaniu — mężczyzn lub kobiet — aby pobudek czynów lub słów, na pozór najniewinniejszych, umieć szukać w interesie, w koniecznościach życia. Któryż mężczyzna nie wie, iż kiedy kobieta, której ma płacić, powiada: „Nie mówmy o pieniądzach”, że te słowa trzeba liczyć, aby się posłużyć terminem muzycznym, za „pusty takt”; a jeżeli później oświadcza mu: „Robiłeś mi za wiele przykrości, często ukrywałeś mi prawdę, przebrałeś miarę”, powinien to odczytać: „inny protektor ofiarowuje jej więcej”. A i to jest tylko język kokoty dość zbliżonej do kobiet z towarzystwa. Apasze dostarczają jaskrawszych przykładów. O ile pan de Norpois i niemiecki książę nie znali świata apaszów, przywykli w zamian wcielać się w psychikę narodów, które, mimo swej wielkości, są także istotami pełnymi egoizmu i podstępem, istotami, które poskramia się jedynie siłą, względami interesu, zdolnego je popchnąć do morderstwa, morderstwa też często symbolicznego, gdyż proste zawahanie się przed walką lub odmowa walki może oznaczać dla narodu śmierć. Że jednak wszystko to nie jest powiedziane w *Żółtych* (i innych tym podobnych) księgach, lud jest chętnie pacyfistą; jeżeli jest wojowniczy, to instynktownie, przez nienawiść, przez urazę, a nie z racji, które zdecydowały naczelników państwa, ostrzeżonych przez panów de Norpois.

Następnej zimy książę bardzo chorował; wyzdrowiał, ale serce jego zachowało ślad nieuleczalnego draśnięcia.

„Tam do licha! — powiedział sobie — nie trzeba tracić czasu, bo jeżeli będę zanadto odwlekał, grozi mi, że umrę, zanim wejdę do Instytutu, a to byłoby doprawdy zbyt głupie”.

Napisał, w przedmiocie polityki ostatnich dwudziestu lat, studium do „Revue des Deux Mondes”, gdzie wyraził się kilkakrotnie najpochlebniej o panu de Norpois. Ten wybrał się z wizytą do księcia i podziękował mu. Dodał, iż nie wie, jak mu ma okazać swoją wdzięczność. Książę powiedział sobie, jak ktoś, kto spróbował do zamku nowego klucza: „To jeszcze nie ten”. Zadyshawy się nieco, odprowadzając pana de Norpois, pomyślał: „Ej, do licha, te zuchy pozwolą mi kipnąć, zanim mnie powołają. Trzeba przyspieszyć”.

Tego samego wieczora książę spotkał pana de Norpois w operze.

— Drogi ambasadorze — rzekł — powiedział mi pan dziś rano, że pan nie wie, jak mi okazać swoją wdzięczność; to wielka przesada, nie jest mi pan winien żadnej, ale będę na tyle niedelikatny, aby go wziąć za słowo.

Pan de Norpois nie mniej cenił takt księcia niż książę jego własny. Zrozumiał natychmiast, że książę von Faffenheim wystąpi nie z prośbą, lecz z ofertą, i z przychylnym uśmiechem gotował się go wysłuchać.

— Powiem więc, o co chodzi, mimo że się może panu wydają wielce natrętny. Są dwie osoby, do których jestem bardzo przywiązany (na bardzo różny sposób, jak pan to zaraz zrozumie), a które od niedawna osiadły na stałe w Paryżu. Te osoby, to moja żona i wielka księżna Janowa. Mają wydać parę obiadów, w szczególności na cześć królestwa angielskich, i marzeniem ich byłoby móc uraczyć swoich dostojnych gości towarzystwem kobiety, dla której, nie znając jej, obie żywią wielką admirację. Wyznaję, że nie wiedziałem, co począc, aby zadowolić ich pragnienie, kiedy — najzupełniejszym przypadkiem — dowiedziałem się przed chwilą, że pan zna tę osobę; wiem, że żyje bardzo ustronnie, widuje bardzo mało kogo, *happy few*; ale gdyby pan zechciał mnie poprzeć z życzliwością, jaką mi pan okazuje, jestem pewien, że dama ta zgodziłaby się, aby mnie pan jej przedstawił i abym jej oznajmił pragnienie wielkiej księżnej i księżnej mojej żony. Może zgodziłaby się przyjść do nas spożyć obiad z królową angielską, a może, o ile byśmy jej nie znudzili zbyt, spędziłaby z nami święta wielkanocne w Beaulieu u wielkiej księżnej Janowej. Ta osoba zwie się margrabina de Villeparisis. Wyznaję, że nadzieja zostania jednym ze stałych gości tego *bureau d'esprit* pozwoliłaby mi bez przykrości wyrzec się kandydatury do Akademii. To jest także Akademia inteligencji i wytwornej rozmowy.

Z uczuciem niewysłowionej rozkoszy książę uczuł, że zamek się nie opiera i że narzeczcie klucz wchodzi.

— Zbyt uczciwa alternatywa, drogi książę — odparł pan de Norpois — nic lepiej się nie godzi z Instytutem niż salon, o którym pan mówi i który jest prawdziwą wylęgarnią akademików. Przekażę pańskie życzenie margrabinie de Villeparisis, z pewnością pochlebi jej bardzo. Co się tyczy obiadu u państwa, to będzie może trudniej, margrabina rusza się

z domu bardzo rzadko. Ale przedstawię jej księcia i będzie książę mógł sam bronić swojej sprawy. Nie trzeba zwłaszcza wyrzekać się Akademii; właśnie od jutra za dwa tygodnie jem śniadanie (po czym udajemy się na ważne posiedzenie) u pana Leroy-Beaulieu, bez którego niepodobna myśleć o żadnym wyborze; już wspominałem mu pańskie nazwisko, które zna oczywiście doskonale. Sformułował pewne zarzuty. Ale tak się składa, że on potrzebuje poparcia mojej grupy przy najbliższym wyborze, toteż mam zamiar ponowić atak; wyznam mu bardzo szczerze na wskroś serdeczne związki, jakie nas łączą; nie zataję, że, gdyby pan postawił swoją kandydaturę, poprosiłbym wszystkich swoich przyjaciół, aby głosowali za panem — (książę odetchnął z głęboką ulgą) — a on wie, że ja mam przyjaciół. Sądzę, że gdybym zdołał sobie zapewnić jego poparcie, widoki pańskie stałyby się bardzo poważne. Niech pan przyjdzie tego wieczora o szóstej do pani de Villeparisis, wprowadzę pana i będę mógł panu zdać sprawę z mojej rannej rozmowy.

W ten sposób książę von Faffenheim dopłynął do salonu pani de Villeparisis. Kiedy zaczął mówić, sprawił mi głębokie rozczarowanie. Nie pomyślałem o tym, że o ile dana epoka posiada rysy swoiste ogólne, silniejsze od narodowości, tak że w ilustrowanej encyklopedii, gdzie nam pokazują zgoła autentyczny portret Minerwy, Leibnitz ze swoją peruką i krezą mało się różni od Marivaux lub od Samuela Bernard, o tyle znowuż narodowość ma swoiste rysy, silniejsze od kasty. Otóż wyraziły się one w mojej obecności nie słowami, w których spodziewałem się zawczasu usłyszeć szmer elfów i taniec koboldów, ale ich transpozycją, nie mniej świadczącą o tym poetycznym pochodzeniu; faktem, iż, składając ukłon pani de Villeparisis, mały, czerwony i brzuchaty ryngrabia powiedział: „Zień topry, bani margiso”, z akcentem odźwiernego Alzaczyka.

— Czy pozwoli pan podać sobie filiżankę herbaty albo kawalek torciku, wyborny jest — rzekła do mnie pani de Guermentes, rozwijając dla mnie maksimum uprzejmości. — Robię honory w tym domu jakby we własnym — dodała z odcieniem ironii, która dawała coś gardłowego jej głosowi, tak jakby stłumiła chrapliwy śmiech.

— Panie ambasadorze — rzekła pani de Villeparisis do pana de Norpois — będzie pan pamiętał za chwilę, że pan miał coś do powiedzenia księciu w sprawie Akademii?

Pani de Guermentes spuściła oczy i obróciła dłoń, aby spojrzeć na zegarek.

— Och, Boże, ostatni czas pożegnać się z ciotką, jeżeli mam jeszcze wpaść do pani de Saint-Ferréol, a mam obiad u pani Leroi.

Wstała, nie żegnając się ze mną. Spostrzegła panią Swann, która zdawała się dosyć zakłopotana moim widokiem. Przypominała sobie z pewnością, że wcześniej niż ktokolwiek mówiła mi, że jest przekonana o niewinności Dreyfusa.

— Nie chcę, żeby mnie ciotka przedstawiała pani Swann — rzekł do mnie Saint-Loup. — To ex-kokota. Jej mąż to Żyd, a ona nam odwała nacjonalizm. O, przyszedł wuj Palamed.

Obecność pani Swann miała dla mnie specjalne znaczenie dzięki faktowi, który się zdarzył kilka dni wprzód, a który trzeba przytoczyć, dla następstw, jakie miał mieć o wiele później; opowiemy je szczegółowo, kiedy przyjdzie właściwy moment. Zatem kilka dni przed tą wizytą spotkała mnie inna znów wizyta, doprawdy nieoczekiwana: wizyta Karola Morel, nieznanego mi syna dawnego kamerdynera w domu wuja Adolfa. Ten mój wujeczny dziadek (ten sam, u którego spotkałem „różową damę”) umarł poprzedniego roku. Jego kamerdyner objawiał kilka razy zamiar odwiedzenia mnie; nie znałem celu jego wizyty, ale byłbym go ujrzał chętnie, bo dowiedziałem się przez Franciszkę, że zachował prawdziwy kult dla pamięci wuja i odbywał przy każdej sposobności pielgrzymki na cmentarz. Ale, zmuszony udać się dla zdrowia w swoje strony i spodziewając się pozostać tam dłużej, wyprawił do mnie syna. Zdziwiłem się, widząc wchodzącego pięknego osiemnastoletniego młodzieńca, ubranego raczej bogato niż ze smakiem, ale wyglądającego prędkiej na wszystko niż na lokaja. Przeciął zresztą od razu związek z lokajstwem z którego pochodził, powiadamiając mnie z uśmiechem zadowolenia, że jest laureatem konserwatorium. Cel wizyty był ten: z pamiątek po wuju Adolfie, ojciec jego odłożył niektóre, uważając za niewłaściwe przesyłać je moim rodzicom; ale pomyślał, że mogłyby interesować młodego człowieka w moim wieku. Były to fotografie sławnych aktorek, wielkich kokot, znajomych wuja, ostatnie obrazy życia starego hulaki, które oddzielał od swego życia rodzinnego hermetyczną ścianką. Podczas gdy młody Morel pokazywał mi te pamiątki, zdałem sobie sprawę, że on sili się mówić ze mną jak z równym. Znajdował

w mówieniu „vous”, a jak najrzadziej „monsieur” przyjemność człowieka, którego ojciec, zwracając się do moich rodziców, czynił to jedynie w trzeciej osobie.

Prawie wszystkie fotografie nosiły podpisy: „Memu najlepszemu przyjacielowi”. Któraś aktorka, bardziej niewdzięczna a sprytniejsza, napisała: „Najlepszemu z przyjaciół”, co jej pozwalało, jak mnie zapewniano, opowiadać, iż mój wuj nie był bynajmniej (nawet w przybliżeniu) jej najlepszym przyjacielem, ale przyjacielem, który oddał jej najwięcej drobnych usług, przyjacielem, którym się posługiwała, najpocziwszym człowiekiem, niemal starym osłem.

Młody Morel daremnie starał się wyzwolić ze swoich początków; czuć było, że cień wuja Adolfa, czcigodny i nieproporcjonalnie wielki w oczach starego kamerdynera, nie przestał padać, niemal święty, na dzieciństwo i młodość syna. Podczas gdy ja przeglądałem fotografie, Morel badał mój pokój. I kiedy szukałem miejsca, gdzie bym je mógł schować, on rzekł (tonem, który nie potrzebował wyrażać nagany, tak dalece mieściła się ona w samych słowach):

— Ale czym się dzieje, że nie widzę ani jednej fotografii wuja w pańskim pokoju?

Uczulem, że się czerwienię, i wyjąkałem:

— Zdaje się, że nie mam żadnej.

— Jak to, pan nie ma ani jednej fotografii wuja Adolfa, który pana tak kochał? Prześlę panu którąś jutro; wezmę z mnóstwa fotografii, które ma mój stary i mam nadzieję, że ją pan zainstaluje na honorowym miejscu; o, nad tą komodą, którą pan ma właśnie po wuju.

Co prawda, skoro nie miałem w pokoju nawet fotografii ojca ani matki, nie było nic rażącego w tym, że nie było i fotografii wuja Adolfa. Ale nietrudno było zgadnąć, że dla Morela, który wszczepił ten pogląd swemu synowi, wuj był ową najważniejszą osobą w rodzinie, osobą, z której moi rodzice czerpali jedynie odbłask. Byłem dla niego czymś, bo wuj powtarzał co dnia, że będzie ze mnie nowy Racine, Vaulabelle, a Morel uważał mnie niemal za przybranego syna, za ukochane dziecko wuja.

Zdałem sobie rychło sprawę, że syn Morela był wielkim *arywistą*. I tak, owego dnia spytał mnie, będąc także po trochu kompozytorem, zdolnym dorobić muzykę do jakiejś poezji — czy nie znam jakiego poety, mającego poważną sytuację w wielkim świecie. Wymieniłem takiego. Nie znał dzieł tego poety i nigdy nie słyszał jego nazwiska; zanotował je sobie. Otóż dowiedziałem się, że niedługo potem napisał do owego poety z oświadczeniem, że, jako fanatyczny wielbiciel jego talentu, ułożył muzykę do jego sonetu i byłby szczęśliwy, gdyby autor tekstu postarał się o wykonanie utworu u hrabiny ***. To było zbyt obcesowe, zbyt jasno zdradził swój plan. Poeta, zmrożony, nie odpowiedział.

Zresztą, niezależnie od ambicji, młody Morel zdawał się żywić skłonność do konkretniejszych realności. Zauważył w dziedzińcu siostrzenicę Jupiena szyjącą kamizelkę; mimo że mi tylko powiedział, że mu właśnie potrzeba kolorowej kamizelki, uczulem, iż młoda dziewczyna zrobiła na nim silne wrażenie. Bez chwili wahania poprosił mnie, żebym z nim zeszedł i przedstawił go; „ale nie w związku z pańską rodziną, rozumie pan, liczę na pańską dyskrecję co do mego ojca; niech pan powie tylko: *wielki artysta, mój przyjaciel*; rozumie pan, że w stosunkach z rękodzielnikami trzeba dbać o wrażenie”. Natrącił, iż nie będąc z nim na tyle blisko, aby go nazywać (on to rozumie) „drogim przyjacielem”, mógłbym do niego mówić — w obecności siostrzenicy Jupiena — nie „drogi mistrzu” oczywiście... chociaż... „gdyby to panu odpowiadało: *drogi wielki artysto*”. Mimo to uniikałem w sklepie „specyfikowania go”, jakby powiedział Saint-Simon i poprzestałem na zobopólnym „pan”.

Morel wybrał z kilku sztuk aksamitu kolor czerwony, tak żywy i krzyczący, że mimo całego swego złego gustu, nie mógł nigdy włożyć tej kamizelki. Młoda dziewczyna wróciła do pracy ze swymi dwiema „pannami”, ale zdawało mi się, że wrażenie było wzajemne i że młody Morel, który wydał się jej kimś „z jej świata” (tyle tylko, że był wykwintniejszy i bogatszy), szczególnie się jej spodobał. Bardzo się zdziwiłem, znajdując między fotografiami, które mi przesłał jego ojciec, fotografię portretu *miss Sacripant* (to znaczy Odety) roboty Elstira; odprowadzając Morela aż do bramy, rzekłem:

— Bardzo obawiam się, że pan nie potrafi mnie objaśnić. Czy wuj blisko znał tę damę? Nie bardzo widzę, w jakiej epoce jego życia mógłbym ją pomieścić; a interesuje mnie to z powodu pana Swann...

— Właśnie zapomniałem panu powiedzieć, że ojciec polecił mi zwrócić pańską uwagę na tę damę. W istocie, ta heroina półświatka była u wuja na śniadaniu ostatnim razem, kiedy go pan widział. Ojciec nie bardzo wiedział, czy pana może wpuścić. Zdaje się, że pan się bardzo spodobał tej puszczałskiej i że spodziewała się pana spotkać jeszcze kiedy. Ale właśnie w tej chwili (wedle tego, co mówił ojciec) przyszło do kwasów w rodzinie i już pan nigdy nie widział wuja.

Morel uśmiechnął się w tej chwili, żegnając z daleka siostrzenicę Jupiena. Patrzała na niego, podziwiając z pewnością jego ściągniętą twarz o regularnych rysach, jego puszyste włosy, wesołe oczy. Ja, podając mu rękę, myślałem o pani Swann i powiadałem sobie ze zdziwieniem — tak bardzo te dwie istoty były odległe od siebie i różne w moim wspomnieniu — że odtąd będę ją musiał utożsamiać z „różową damą”.

Pan de Charlus usiadł niebawem koło pani Swann. Wszędzie, gdzie się znajdował, zawsze wzgardliwy wobec mężczyzn, otoczony przez kobiety, przylepiał się do najbardziej eleganckiej, w której toalecie czuł się jak gdyby strojny. Tużurek czy frak dawały baronowi podobieństwo do owych portretów, gdzie wielki kolorysta namalował mężczyznę w czerni, ale rzucił koło niego na krzesło jaskrawy płaszcz, który mężczyzna ów przybierze na jakiś bal kostiumowy. Takie odseparowanie się, zazwyczaj z jakąś „wysokością”, stwarzało panu de Charlus ramę i przywilej zarazem. Miało ono na przykład ten skutek, że gospodyni domu jednemu baronowi pozwalała na jakiejś fecie zająć krzesło na przedzie w szeregu dam, gdy inni mężczyźni tłoczyli się w głębi. Co więcej, baron, opowiadający z przejęciem i bardzo głośno zabawne historyjki zachwyconej damie, zwolniony był od witania się z innymi, tym samym od dopełnienia obowiązków grzeczności. Poza pachnącą barierą, jaką stawiała mu się wybrana piękność, siedział na środku salonu niby na widowni teatru w łoży, i kiedy podchodzono, aby go witać poprzez — można rzec — piękność jego sąsiadki, można było baronowi wybaczyć, że odpowiada na ukłon bardzo krótko, nie przerywając rozmowy z damą. Niewątpliwie pani Swann nie bardzo była z rzędu kobiet, z którymi pan de Charlus lubił się afiszować w ten sposób. Ale manifestował swój podziw dla niej a przyjaźń dla Swanna, wiedząc, że jej pochlebią jego względy, jemu zaś samemu pochlebiało to, że się kompromituje z najładniejszą z obecnych w tym salonie kobiet.

Pani de Villeparisis nie była zresztą zachwycona wizytą pana de Charlus. Ów, mimo iż widząc w ciotce wielkie wady, kochał ją bardzo. Ale chwilami, pod wpływem gniewu lub urojonych pretensji, niezdolny się pohamować, pisał do niej listy straszliwie gwałtowne, wyolbrzymiając drobniaki, których dotąd zdawał się nie spostrzegać. Między innymi mogę zacytować ten fakt, o którym dowiedziałem się w związku ze swoim pobytem w Balbec. Pani de Villeparisis, bojąc się, że nie wystarczy jej pieniędzy do końca wilegiatury, a nie mając ochoty, przez skąpstwo i przez niechęć do zbyt dużych kosztów, pisać o pieniądze do Paryża, pożyczyła od pana de Charlus trzy tysiące franków. W miesiąc później, baron, urażony na ciotkę o jakąś błahostkę, zażądał owych pieniędzy telegraficznie. Otrzymał dwa tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt i kilka franków. Widząc ciotkę w kilka dni potem w Paryżu i rozmawiając z nią przyjaźnie, zauważył bardzo spokojnie błąd popełniony przez bank przy wysyłce pieniędzy.

— Ależ to nie błąd — odparła pani de Villeparisis — przesyłka telegraficzna kosztowała sześć franków siedemdziesiąt pięć centimów.

— A, skoro to jest umyślne, wszystko w porządku — odparł pan de Charlus. — Wspominałem ci o tym jedynie na wypadek, gdybyś nie wiedziała, bo w takim razie, gdyby bank postąpił tak samo wobec kogoś będącego z tobą w mniej zażyłych stosunkach, mogłoby ci to być niemiłe.

— Nie, nie, nie ma żadnej omyłki.

— W gruncie, miałaś zupełną słuszość — zakonkludował wesoło pan de Charlus, czule całując ciotkę w rękę. W istocie nie miał do niej pretensji, uśmiechnął się jedynie z tej małostkowości. Ale w jakiś czas potem, uwierzył, że w pewnej rodzinnej sprawie ciotka chce go „nabrać” i że ukuła przeciw niemu cały spisek. Kiedy ona, dość niemądrze, chowała się za adwokatów (gdy baron podejrzewał ją właśnie o konszachty z tymi ludźmi przeciw niemu), napisał do niej list buchający wściekłością i impertynencją. „Nie poprzestanę na tym, aby się zemścić (dodał w *post-scriptum*); ośmieszę cię. Od jutra zacznę opowiadać wszystkim historię przekazu telegraficznego i sześciu franków siedemdziesiąt-

ciu pięciu centimów, które mi odciągnęłaś od pożyczonych trzech tysięcy. Okryję cię hańbą”.

Zamiast tego, poszedł na drugi dzień przeprosić ciotkę, żalując listu, gdzie znajdowały się zwroty naprawdę ohydne. Zresztą, komu miał opowiedzieć historię przekazu? Nie pragnąc zemsty, lecz szczerego pojednania, teraz właśnie chciałby zataić tę historię. Ale przedtem, będąc bardzo dobrze z ciotką, opowiedział ją wszędzie; opowiadał bez złośliwości, dla zabawy i dlatego, że był wcieloną niedyskrecją. Opowiadał, ale bez wiedzy pani de Villeparisis. Tak iż, dowiedziawszy się z jego listu, że on zamierza ją skompromitować rozgłoszeniem rzeczy, którą sam uznał wprzód za właściwą i naturalną, sądziła, że ją oszukał wówczas i że kłamie, udając przywiązanie.

Wszystko to załagodziło się, ale żadne z nich dwojga nie знаło ściśle stanu ducha drugiej strony. Niewątpliwie zachodził tu nieco specjalny typ nieporozumienia. Innego typu były scysje Blocha z jego przyjaciółmi. Innego jeszcze typu zwady pana de Charlus — jak się to okaże — z osobami całkiem innymi niż pani de Villeparisis. Mimo to trzeba pamiętać, że opinia, jaką mamy wzajem o sobie, stosunki przyjacielskie, rodzinne, stałe są jedynie na pozór, w istocie zaś są wiecznie ruchliwe jak morze. Stąd tak częste pogłoski o rozwodzie między małżonkami, którzy wydają się tak idealnie zgodni i którzy wkrótce potem mówią najczulej o sobie; stąd tyle bezceństw opowiadanych przez przyjaciela o najbliższym przyjacielu, z którym już zdąży się pogodzić, zanim my zdołamy ochłonąć z naszego zdumienia; stąd tyle zdeptanych przymierzy między narodami i to w tak krótkim czasie!

— Mój Boże, ależ tam ciepło między wujaszkiem a panią Swann! — rzekł do mnie Saint-Loup. — A mama, która w niewinności ducha przeszkadza im! Czystym wszystko jest czyste!

Patrzałem na pana de Charlus. Jego szpakowaty czub, uśmiechnięte oko z brwią stroszą się nad monoklem, czerwony kwiat w butonierce, tworzyły niby trzy ruchome szczyty konwulsyjnie drgającego i uderzającego trójkąta. Nie odważyłem mu się ukłonić, bo nie ośmielił mnie żadnym znakiem. Ale, mimo że się baron nie zwrócił w moją stronę, byłem przekonany, że mnie widział; opowiadał jakąś historię pani Swann, której wspaniałe płaszcze koloru bratków spływał aż na kolana barona, przy czym biegające oczy pana de Charlus, podobne oczom domokrażcy, który drży przed zjawieniem się „gliny”, przepatrzyły z pewnością każdą okolicę salonu i zanotowały wszystkich obecnych. Kiedy pan de Châtellerault podszedł, aby się z nim przywitać, nic na twarzy pana de Charlus nie zdradziło, że widział młodego księcia, zanim ten znalazł się tuż przy nim. W ten sposób, na takich liczniejszych zebraniach, pan de Charlus zachowywał niemal bez przerwy uśmiech bez określonego kierunku i specjalnego przeznaczenia, uśmiech który, obecny na jego wargach niejako przed ukłonem przybyłych, mógł być, w momencie gdy ci wchodzili w jego strefę, wyzuty z wszelkich cech indywidualnie umiejscowionej uprzejmości.

Ale trzeba mi się było przywitać z panią Swann. Nie wiedząc, czy ja znam panią de Marsantes i pana de Charlus, przyjęła mnie dość chłodno, bojąc się z pewnością, że ją poproszę, aby mnie przedstawiła. Podszedłem wówczas do pana de Charlus i natychmiast pożałowałem tego, gdyż widząc mnie z pewnością doskonale, nie zdradzał tego niczym. W chwili gdy się ukłonił, ujrzałem — w pewnej odległości od jego ciała, do którego baron bronił mi dostępu całą długością wyciągniętego ramienia — palec, огоłocony — można by rzec — z biskupiego pierścienia, palec podawany jak gdyby po to, aby się go ucałowało w uświęcone miejsce. Robiło to wrażenie, że wtargnął w strefę pana de Charlus bez jego wiedzy „z włamaniem”, za które całą odpowiedzialność składał na mnie, wyrażając to bezimienną, bezosobistą i roztargnioną ciągłością swego uśmiechu. Ten jego chłód nie przyczynił się do podniesienia temperatury pani Swann.

— Jak ty wyglądasz, zmęczony, niespokojny — rzekła pani de Marsantes do syna, który podszedł, aby się przywitać z panem de Charlus.

I w istocie, oczy Roberta zdawały się chwilami dosięgać głębi, którą opuszczały natychmiast niby nurek, gdy dotknie dna. Owym dnem, tak bolesnym dla Roberta, że skoro się go dotknął, opuszczał je natychmiast, aby doń wrócić w chwilę potem, była myśl, iż zerwał z kochanką.

— To nic — dodała matka, gładząc go po twarzy — to nic, miło jest widzieć swojego chłopca.

Ale ta czułość drażniła wyraźnie Roberta. Pani de Marsantes pociągnęła syna w głąb salonu, gdzie w obitej żółtym jedwabiem niży parę foteli Beauvais odcinało się swoimi fioletowymi haftami, niby purpurowe irysy w polu jaskrów. Pani Swann, znalazłszy się sama i zrozumiałwszy, że ja jestem blisko z Robertem de Saint-Loup, przyzwala mnie gestem. Nie widziałem jej od tak dawna, że nie wiedziałem, o czym mówić. Nie traciłem z oczu mojego kapelusza pośród wszystkich tych, które się znajdowały na podłodze, ale pytałem się ciekawie sam siebie, do kogo może należeć jeden z nich, niebędący kapeluszem księcia de Guermantes, a naznaczony literą G, z koroną książęcą. Wiedziałem, kto są wszyscy goście i nie znajdowałem wśród nich odpowiednika dla tego kapelusza.

— Jaki ten pan de Norpois jest sympatyczny — rzekłem, wskazując na ambasadora.
— Co prawda, Robert de Saint-Loup mówi mi, że to żmija...

— Ma rację — rzekła pani Swann.

Czytając w jej spojrzeniu jakąś myśl, którą przede mną taila, zacząłem naglić panią Swann pytaniami. Rada, iż wygląda na bardzo obleganą przez kogoś w tym salonie, gdzie nie знаła prawie nikogo, pociągnęła mnie w kąt.

— Powiem panu, co niewątpliwie pan de Saint-Loup miał na myśli — odparła — ale niech mu pan tego nie powtarza, bo uważałby mnie za niedyskretną, a mnie bardzo zależy na jego szacunku; pan wie, ja jestem bardzo „porządny człowiek”. Niedawno Charlus był na obiedzie u księżnej Marii de Guermantes; nie wiem skąd, rozmowa zeszła na pana. Pan de Norpois powiedział podobno, to idiotyczne, ale niech pan sobie nie nabija tym głowy, nikt do tego nie przywiązywał wagi, wiedziano zbyt dobrze z jakich ust to wychodzi, że pan jest pochlebcą dochodzącym granic hysterii.

Zaznaczyłem znacznie wcześniej moje zdumienie, że przyjaciel ojca, jakim był pan de Norpois, mógł się o mnie wyrażać w ten sposób. Jeszcze bardziej zdumiała mnie wiadomość, że moje wzruszenie z owego dawnego dnia, kiedym mówił o pani Swann i o Gilbertcie, znane jest księżnej Marii, gdy ja nie przypuszczałem, że ona wie o moim istnieniu! Każdy nasz uczynek, każde słowo, każdy gest, oddzielone są od „świata”, od ludzi, do których nie doszły bezpośrednio, strefą, której przepuszczalność zmienia się bez końca i pozostaje nam nieznana. Wiedząc z doświadczenia, że jakieś ważne odezwanie się, którego rozpowszechnienia pragnęlibyśmy żywo (na przykład owe hymny na cześć pani Swann, które wyśpiewywałem wówczas wszystkim i przy każdej sposobności, w nadziei, że na tyle rzuconych ziarn znajdzie się jedno, które wszędzie), zostało często właśnie wskutek owego naszego pragnienia natychmiast ukryte pod korcem, z tym większą racją dalecy byliśmy od przypuszczenia, że jakieś drobne słówko, zapomniane przez nas samych, nigdy może nawet przez nas niepowiedziane i powstałe w drodze wskutek niedokładnej refrakcji innego słowa, będzie wędrowało bez przerwy, bez końca, na nieskończoną odległość — w danym wypadku aż do księżnej Gilbertowej — i ubawi naszym kosztem ucztę bogów. Szczegółów naszego zachowania się, które sobie przypominamy, nie zauważył nasz najbliższy sąsiad; w zamian słowa, o których zapomnieliśmy lub może nigdyśmy ich nie powiedzieli, będą śmieszyły zgoła mieszkańców innej planety! Obraz, jaki inni tworzą sobie o naszych uczynkach, równie mało podobny jest do obrazu, jaki my tworzymy sobie sami, jak mało podobna byłaby do rysunku jakaś nieudana odbitka, gdzie czarnej plamie odpowiadałaby pusta przestrzeń, a białej zagadkowy kontur. Może się zresztą zdarzyć, że to, co się nie utrzymało, to jest jakiś nierealny rys, który my widzimy jedynie mocą naszego samozłudzenia; to zaś, co się nam wydaje dodane, stanowi przeciwnie naszą cechę, ale tak istotną i własną, że uchodzi naszej uwagi. Tak że ta szczególna odbitka, która się nam wydaje tak niepodobna, zawiera niekiedy ten sam rodzaj prawdy — niewątpliwie mało pochlebny, ale głęboki i pożyteczny — co rentgenowska fotografia. Nie jest to racją, abyśmy się w niej poznali. Wyobraźmy sobie kogoś, kto przywykł uśmiechać się w lustrze do swojej pięknej twarzy i pięknego torsu, i pokażmy mu jego zdjęcie; wobec tego kościstego różańca, mającego być obrazem jego samego, będzie miał to samo wrażenie omyłki, jaką ma zwiedzający wystawę, gdy, stojąc przed portretem młodej kobiety, wyczyta w katalogu: „Odpoczywający dromader”. Ten rozdźwięk między naszym obrazem, zależnie od tego czy narysowany jest przez nas samych czy przez kogoś drugiego, miałem sobie później uświadomić na innych osobach, żyjących błogo pośród fotografii, które zdjęli z samych siebie, podczas gdy dokoła szczerzą zęby okropne obrazy,

Portret, Plotka, Obyczaje

zazwyczaj niewidoczne dla nich samych, ale pogrążające ich w zdumieniu, skoro je im pokaże przypadek, mówiąc: „To ty”.

Kilka lat wprzódbym się szczęśliwy, opowiadając pani Swann, z jakiej przyczyny byłem tak czuły dla pana de Norpois, skoro tą przyczyną była żądza poznania jej. Ale nie odczuwałem już tej żądzy, nie kochałem już Gilberty. Z drugiej strony, nie mogłem utożsamić pani Swann z *różową damą* mego dzieciństwa. Toteż zacząłem jej mówić o kobiecie, która mnie zaprzętała w tej chwili.

— Czy widziała pani księżnę de Guermantes? — spytałem pani Swann.

Ale, ponieważ księżna nie kłaniała się pani Swann, Odeta chciała stworzyć pozór, że to ona uważa księżnę za osobę nieinteresującą, której obecności nawet się nie spostrzega.

— Nie wiem, nie *zrealizowałam* — odparła niechętnie, używając terminu przetłumaczonego z angielskiego.

Co do mnie, pragnąłem zdobyć informacje nie tylko o pani de Guermantes, ale o wszystkich osobach żyjących w jej pobliżu; zupełnie tedy jak Bloch, z nietaktem ludzi troszczących się w towarzystwie nie o to, aby sprawić przyjemność innym, ale o to, aby egoistycznie wyświetlić szczegóły, które zajmują ich samych, chcąc tym dokładniej odtworzyć sobie życie pani de Guermantes, zacząłem wypyttywać panią de Villeparisis o panią Leroi.

— Tak, wiem — odparła z robioną wzgardą — to córka tego wielkiego handlarza drzewem. Wiem, że u niej teraz bywają, ale powiem panu, że jestem za stara, aby robić nowe znajomości. Znałam ludzi tak interesujących, tak miłych, że doprawdy nie sądzę, aby pani Leroi dała mi coś więcej.

Pani de Marsantes, która objęła rolę damy dworu przy margrabinie, przedstawiła mnie niemieckiemu księciu: nie dokończyła jeszcze, kiedy pan de Norpois przedstawił mnie również, w nader gorących słowach. Może było mu na rękę wyświadczyć mi grzeczność, nienaruszającą w niczym jego kredytu (skoro właśnie ktoś inny już mnie przedstawił); może sądził, iż cudzoziemiec, nawet tak znamienity, mniej jest biegły we francuskich salonach i może myśleć, że mu przedstawiono młodzieńca z wielkiego świata; może rad był zrobić użytek ze swojej prerogatywy, kładąc niejako na akcie prezentacji ambasadorski podpis; lub może przez gust do archaizmu chciał wskrzesić, na rzecz księcia Rzeszy, pochlebny dlań obyczaj, żądający dla prezentacji pary chrzestnych rodziców.

Pani de Villeparisis przywołała pana de Norpois, czując potrzebę powiedzenia mi jego ustami, że nie ma powodu żałować, iż nie zna pani Leroi.

— Nieprawdaż, panie ambasadorze, że pani Leroi jest osobą nieciekawą, niedorastającą wszystkich tych, które bywają tutaj, i że miałam rację nie starając się jej ściągnąć?

Ale pan de Norpois — bylli to skutek niezależności czy znużenia? — poprzestał na pełnym szacunku, ale nic niemówiącym ukłonie.

— Wie pan — rzekła doń pani de Villeparisis ze śmiechem — zdarzają się ludzie bardzo pocieszni. Czy pan uwierzy, że miałam dziś wizytę pewnego jegomościa, który chciał we mnie wmówić, iż większą sprawia mu przyjemność ucałować rękę moją niż rękę młodej kobiety.

Zrozumiałem natychmiast, że to był Legrandin. Pan de Norpois uśmiechnął się z lekkim zmrużeniem powiek, jak gdyby chodziło o pożądlivość tak naturalną, że niepodobna mieć jej za złe komuś, kto jej doznaje; niemal o zaczątek romansu, który ambasador gotów był rozgrzeszyć, nawet protegować, z przewrotną pobłażliwością *à la Voisenon* lub *à la Crébillon-junior*.

— Mało która ręka młodej kobiety byłaby zdolna zrobić to, co widzę tutaj — rzekł niemiecki *Prinz*, wskazując akwarele zaczęte przez panią de Villeparisis.

I spytał jej, czy widziała kwiaty Fantin-Latour, których właśnie była wystawa.

— Pierwszorządne są; Fantin-Latour, to jak się dziś mówi, tęgi pędzel, prawdziwy mistrz palety — oświadczył pan de Norpois — mimo to, znajduję, że jego prace nie wytrzymują porównania z kwiatami pani de Villeparisis, w których lepiej czuje się koloryt kwiatu.

Nawet uwzględnwszy, że stronniczość dawnego kochanka, nawyk pochlebstwa, opinie koterii, podyktowały te słowa ex-ambasadorowi, dowodziły one jednak, na jakiej niemości prawdziwego smaku opiera się artystyczny sąd światowców, tak dowolny, że lada co

wystarczy, abyazać im pleść najgorsze brednie, których nie powstrzyma ani nie pohamuje żadne naprawdę szczere wrażenie.

— Nie mam żadnej zasługi w tym, że się znam z kwiatami — odparła skromnie pani de Villeparisis — zawsze żyłam na wsi. Ale — dodała z wdziękiem, zwracając się do księcia — jeżeli sobie przyswoiłam za młodu wiedzę nieco poważniejszą niż inne dzieci wsi, zawdzięczam to bardzo niepospolitemu ziomkowi pańskiemu, panu von Schlegel. Spotkałam go w Broglie, dokąd mnie wzięła ciotka moja Kordelia (marszałkowa de Castellane). Przypominam sobie doskonale, że pan Lebrun, pan de Salvandy, pan Doudon wyciągnęli go na rozmowę o kwiatach. Byłam kompletnym dzieckiem, nie mogłam dobrze zrozumieć, co on mówi. Ale on lubił się bawić ze mną, wróciwszy zaś do swego kraju, przysłał mi piękny zielnik na pamiątkę wspólnego spaceru faetonem do Val Richer, kiedy to zasnęłam na jego kolanach. Zachowałam ten zielnik; nauczył mnie odróżniać wszystkie właściwości kwiatów, które inaczej nie byłyby mnie uderzyły. Kiedy pani de Barante ogłosiła nieco listów pani de Broglie, pięknych i afektowanych jak ona sama, spodziewałam się znaleźć tam jakąś rozmowę z panem von Schlegel. Ale to była kobieta, która szukała w naturze jedynie argumentów na rzecz religii.

Robert odwołał mnie w głąb salonu, gdzie był z matką.

— Jaki ty byłeś miły — rzekłam — jak ci podziękować! Czy będziesz mógł zjeść ze mną obiad jutro?

— Jutro, dobrze, jeżeli chcesz, ale w takim razie i z Blochem; spotkałam go przed bramą; po chwili chłodu, bo mimo chęci zostawiłam bez odpowiedzi jego dwa listy (nie powiedział mi, że to go zmroziło, ale domyśliłam się), był dla mnie tak czuły, że nie mogę się okazać niewdzięczny wobec takiej przyjaźni. Czuję, z jego strony przynajmniej, że to jest między nami na śmierć i życie.

Nie sądzę, aby Saint-Loup absolutnie się mylił. Wieszanie na kimś psów było często u Blocha skutkiem żywej sympatii, o ile Bloch przypuszczał, że jej ktoś nie odwzajemnia. Że zaś mało wnikał w życie innych, nie przychodziło mu na myśl, że ktoś może być chory albo w podróży, etc. Tydzień milczenia zaraz mu się wydawał wpływem rozmyślnego chłodu. Toteż nigdy nie sądziłem, aby jego najgorsze wybuchy jako przyjaciela, a później jako pisarza, były zbyt głębokie. Dochodziły szczytu, gdy ktoś odpowiadał na nie chłodną godnością lub płaszczeniem się, które zachęcało go do zdawania razów; ale ustępowały często wobec gorącej sympatii.

— Co się tyczy nas obu — dodał Saint-Loup — twierdzisz, że byłem miły dla ciebie; ależ ja nic nie zrobiłem! Ciotka Oriana twierdzi, że to ty jej unikasz, że do niej nie mówisz ani słowa. Zastanawia się, czy ty nie masz czego przeciwko niej?

Szcześciem dla mnie, gdybym się dał omamić tym słowom, bliski wyjazd do Balbec przeszkodziłby mi próbować widzieć panią de Guermantes, upewnić ją, że nic nie mam przeciwko niej i zmusić ją do okazania mi, że ona ma coś przeciwko mnie. Ale wystarczyło mi przypomnieć sobie, że nie zaproponowała mi nawet obejrzenia Elstirów. Zresztą to nie był zawód; nie spodziewałam się wcale, aby mi pani de Guermantes wspomniała o tym; wiedziałam, że się jej nie podobam, że nie mogę marzyć o tym, aby mnie pokochała; wszystko czegom mógł pragnąć, to abym, dzięki jej dobroci, zachował z niej — skorom nie miał jej ujrzeć przed wyjazdem z Paryża — wrażenie całkowicie słodkie, które bym uniósł do Balbec, przedłużone w nieskończoność, nietknięte, zamiast wspomnienia zaprawnego lękiem i smutkiem.

Co chwilę pani de Marsantes przerywała rozmowę z Robertem, aby mi powiedzieć, jak często on jej mówił o mnie, jak on mnie bardzo kocha; była dla mnie tak serdeczna, że mi to robiło niemal przykrość, bo czułem w tym jej obawę pogniewania syna, którego jeszcze nie widziała dzisiaj, z którym pragnęła co rychlej zostać sama i na którego własny jej wpływ nie dorównywał, jak sądziła, mojemu: stąd potrzeba liczenia się ze mną. Usłyszawszy poprzednio, że pytał Blocha o pana Nissima Bernard, jego wuja, pani de Marsantes spytała, czy to ten, który dawniej mieszkał w Nizzy.

— W takim razie znał mego męża, jeszcze jako kawalera — odparła. — Mąż mówił mi często o nim jak o najlepszym człowieku, o delikatnym i szlachetnym sercu.

„Powiedzieć, że ten jeden raz nie skłamał, to nie do wiary!” — pomyślałby Bloch.

Przez cały czas byłbym pragnął upewnić panią de Marsantes, że Robert jest do niej nieskończenie więcej przywiązany niż do mnie, i że gdyby mi ona nawet okazała niechęć,

nie byłbym zdolny buntować syna przeciw niej, odciągnąć go od niej. Ale od czasu jak pani de Guermantes poszła, mogłem swobodnie obserwować Roberta; wówczas dopiero spostrzegłem, że znów wzbiera w nim gniew, napływając do jego twardej i posępnej twarzy. Bałem się, aby na wspomnienie popołudniowej sceny nie czuł się upokorzony wobec mnie, że dał sobą tak bezkarnie poniewierać kochance.

Wyrwał się gwałtownie matce, która mu okoliła szyję ramieniem, podszedł do mnie, pociągnął mnie poza stół z kwiatami, przy którym siedziała pani de Villeparisis, i dał mi znak, abym się udał za nim do saloniku obok. Skierowałem się tam dość żywo, kiedy pan de Charlus, przypuszczając może, że ja już wychodzę, opuścił nagle pana von Faffenheim, z którym rozmawiał i skreślił tak, że się znalazł na wprost mnie. Ujrzałem z niepokojem, że on bierze kapelusz, w którym było owo G z koroną księżęcą. W drzwiach do saloniku baron rzekł, nie patrząc na mnie:

— Ponieważ widzę, że pan teraz bywa w świecie, niech mi pan zrobi tę przyjemność i odwiedzi mnie kiedy. Ale to dosyć skomplikowane — dodał niedbale, a zarazem obliczając coś w myśli, tak jakby chodziło o przyjemność, której by już nie odnalazł, skoro by przepuścił sposobność omówienia ze mną warunków jej ziszczenia. — Rzadko bywam w domu, musiałby pan napisać do mnie. Ale wolałbym to panu wytłumaczyć spokojnie. Wychodzę za chwilę. Czy zechce pan przejść ze mną kilka kroków? Nie zatrzymam pana długo.

— Racz pan pozwolić, że panu zwrócę uwagę — rzekłem. — Wziął pan przez omyłkę kapelusz któregoś z gości.

— Nie wolno mi wziąć własnego kapelusza?

Przypuszczałem — ile że to samo zdarzyło mi się nieco przedtem — że ktoś mu zabrał kapelusz i że baron wybrał sobie na chybi trafi jakiś inny, aby nie wracać z gołą głową; zapewne wprowadziłem go w zakłopotanie, odsłaniając jego podstęp. Oświadczyłem panu de Charlus, że muszę przedtem coś powiedzieć Robertowi.

— Rozmawia właśnie z tym idiotą księciem de Guermantes.

— To śliczne, co pan mówi, powtórzę to mojemu bratu.

— A, pan myśli, że to może interesować pana de Charlus? — (Wyobrażałem sobie, że jeżeli baron ma brata, ten brat musi się nazywać również Charlus. Saint-Loup dał mi wprawdzie jakieś objaśnienia w tej mierze w Balbec, ale zapomniałem ich).

— Kto panu mówi o panu de Charlus? — rzekł baron impertynencko. — Niech pan idzie do Roberta. Wiem, że pan brał dziś udział w jednej z orgii uprawianych z kobietą, która go okrywa hańbą. Powinien by pan użyć na niego swego wpływu, aby zrozumiał zgryzotę, jaką sprawia biednej matce i nam wszystkim, włócząc nasze nazwisko w błocie.

Byłbym rad odpowiedzieć, że na owym hańbiącym śniadaniu mówiło się tylko o Emmermersonie, o Ibsenie, o Tolstoju, i że młoda kobieta prawda Robertowi kazanie, żeby pił tylko wodę; aby dać jakąś pociechę Robertowi, który musiał cierpieć w swojej dumie, starałem się wybielić jego kochankę. Nie wiedziałem, że w tej samej chwili, mimo iż wściekły na nią, on obsypuje samego siebie wymówkami. Nawet w kłótniach między kimś dobrym a kimś złym, i kiedy słuszność jest całkowicie po jednej stronie, zawsze bywa, iż jakaś błahostka może dać osobie złej pozór słuszności na jednym punkcie, wszystkie zaś inne punkty osoba ta zlekceważy; byle tedy ów człowiek dobry trochę jej potrzebował, byle był przybity zerwaniem, przygnębienie jego obudzi w nim skrupuły, przypomni mu niedorzeczne wymówki, jakimi go obsypano, przy czym zapyta sam siebie, czy nie były poniekąd sprawiedliwe.

— Zdaje się, że źle postąpił w tej sprawie z naszymi — rzekł do mnie Robert. — Oczywiście, nie robiłem tego w złej intencji, ale rozumiem, że ktoś może patrzeć na rzeczy z innego punktu niż my sami. Rachela miała dzieciństwo bardzo ciężkie. Dla niej ja jestem mimo wszystko bogacz, który myśli, że wszystko osiągnie pieniędzmi i z którym biedny nie może walczyć, czy by chodziło o decyzję Boucheron'a czy o proces sądowy. Niewątpliwie ona była bardzo okrutna; ja przecie zawsze chciałem tylko jej dobra. Ale zdaję sobie sprawę: ona sądzi, iż ja chciałem jej dać uczuć, że ją można trzymać pieniędzmi, a to nie jest prawda. Ona, która mnie tak kocha, co ona musi myśleć! Biedna mała, gdybyś ty wiedział... Ona ma tyle delikatności, nie umiem ci powiedzieć... często robiła dla mnie rzeczy czarujące. Jakaż ona musi być nieszczęśliwa w tej chwili! W każdym razie, co bądź się stanie, nie chcę, żeby mnie brała za bydlaka, lecę do Boucheron'a zamówić kolację. Kto

wie, widząc, że ja postępuję w ten sposób, może uzna swoje winy. Widzisz, ja nie mogę znieść myśli, że ona cierpi w tej chwili. To, co się cierpi samemu, to się wie; to nie jest nic. Ale powiedzieć sobie, że ona cierpi i nie móc sobie tego wyobrazić... mam wrażenie, że bym oszalał; wolalbym raczej nie widzieć jej nigdy niż pozwolić jej cierpieć. Niech będzie szczęśliwa beze mnie, skoro tak być musi, to wszystko, czego żądam. Słuchaj, wiesz, dla mnie wszystko, co jej dotyczy, jest olbrzymie, nabiera czegoś kosmicznego... lecę do jubilera i potem przeproszę ją. Aż do tego czasu, co ona będzie sobie o mnie myślała! Gdyby choć wiedziała, że ja przyjdę! W każdym razie mógłbyś zajść do niej; kto wie, wszystko się może ułożyć. Może — rzekł z uśmiechem, jakby nie śmiejąc uwierzyć w takie marzenie — pojedziemy wszyscy troje na obiad na wieś. Ale nie można jeszcze wiedzieć; ja tak nie umiem z nią postępować; biedna mała, znów ją może tylko zranić. A przy tym jej decyzja jest może nieodwołalna.

Robert pociągnął mnie gwałtownie do swojej matki.

— Do widzenia — rzekł do niej — muszę jechać. Nie wiem, kiedy znów dostanę przepustkę, z pewnością nie przed miesiącem. Napiszę ci, skoro będę wiedział.

Z pewnością Saint-Loup nie był z tych synów, którzy, będąc w towarzystwie z matką, sądzą, iż opryskliwość w stosunku do niej powinna zrównoważyć uśmiechy i ukłony, jakie znajdują dla obcych. Nic powszechniejszego niż ten ohydny odwet tych, co zdają się wierzyć, że grubiaństwo wobec swoich dopełnia w zupełnie naturalny sposób galowego stroju. Cokolwiek biedna matka powie, syn jej, tak jakby go wyciągnięto z domu wbrew woli i jakby chciał jej drogo dać opłacić swoją obecność, gasi natychmiast ironicznym, precyzyjnym i okrutnym sprzeciwem każde nieśmiało wygłoszone zdanie; daremnie matka poddaje się natychmiast — nie mogąc go tym ulagodzić — opinii syna, tej wyższej istoty: ona będzie sławiła poza oczy jego uroczy charakter, a on nie oszczędził jej najdokuczliwszych szpileczek! Saint-Loup był całkiem inny; ale niepokój, jakim go napędliała nieobecność Racheli, sprawiał, że z odmiennych przyczyn był dla swojej matki nie mniej przykry niż tamci synowie dla swoich. I na słowa, które wyrzekł, ujrzałem, jak zrywa się to samo trzepotanie, podobne trzepotaniu skrzydeł, jakiego pani de Marsantes nie mogła wstrzymać za przybyciem syna; ale teraz wlepiła w niego strwożoną twarz, zrozpaczone oczy:

— Jak to, Robercie, odchodzisz, serio? moje dzieciątko! Jedyny dzień, kiedy cię mogłam mieć!

I prawie po cichu, możliwie naturalnym tonem, starając się wygnać z głosu wszelki smutek, aby nie budzić w synu litości, która byłaby może dla niego okrutna lub też bezcelowa i zdolna go jedynie rozdrażnić, dodała na kształt prostego, rzeczowego argumentu:

— Wiesz, że to nie jest ładnie, to, co ty robisz.

Ale z tą prostotą łączyła tyle nieśmiałości, aby okazać synowi, że ona nie robi zamachu na jego swobodę, tyle czułości, aby jej nie mógł wyrzucać, że go krępuje w jego przyjemnościach, że Saint-Loup musiał dostrzec w sobie samym coś jakby możliwość rozczulenia się, to znaczy przeszkodę do spędzenia wieczoru z kochanką. Toteż wpadł w gniew:

— Bardzo żałuję. Ładnie czy nie, ale tak już jest.

I zaczął robić matce wymówki, czując z pewnością, że on sam może na nie zasługuje; w ten sposób egoiści mają zawsze ostatnie słowo; przyjąwszy za zasadę, że ich postanowienie jest nieodwołalne, im bardziej uczucie, do którego ktoś u nich apeluje, jest wzruszające, tym bardziej wydają się im godni potępienia nie oni sami, że się opierają, ale ci, co im narzucają konieczność oporu; twardość ich może sięgać ostatecznego okrucieństwa, przy czym twardość ta pomnaża jedynie w ich oczach winy istoty na tyle niedelikatnej, aby cierpieć, aby mieć rację i zadawać im tak niecnie ten ból, iż muszą działać wbrew własnej litości. Zresztą pani de Marsantes sama z siebie przestała nalegać, bo czuła, że go już nie zatrzyma.

— Zostawiam cię, rzekł do mnie; ale niech go mama nie trzyma długo, bo on koniecznie musi iść zaraz z wizytą.

Czułem, iż moja obecność nie może zrobić żadnej przyjemności pani de Marsantes; ale wolalem nie odchodzić razem z Robertem, aby nie myślała, że ja mam udział w przyjemnościach, które ją pozbawiają syna. Byłbym pragnął znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla Roberta, mniej przez przyjaźń dla niego niż przez litość dla niej. Ale ona przemówiła pierwsza:

Egoizm, Cierpienie,
Sumienie, Okrucieństwo

— Biedny mały — rzekła — jestem pewna, że mu zrobiłam przykrość. Widzi pan, drogi panie, matki są bardzo samolubne; on nie ma przecież tak wiele przyjemności, tak rzadko przyjeżdża do Paryża. Mój Boże, gdyby jeszcze nie wyszedł, chciałabym go móc złapać, nie aby go zatrzymać, ale aby mu powiedzieć że nie mam do niego żalu, uważam, że on miał rację. Czy to panu nic nie szkodzi, że ja wyjrzę na schody?

Wyszliśmy razem.

— Robercie, Robercie! — wołała. — Nie, już poszedł, spóźniłam się.

Teraz byłbym się równie chętnie podjął misji rozłączenia Roberta z kochanką, jak przed kilku godzinami misji ułatwienia im wspólnej podróży i w ogóle współżycia. W jednym wypadku Saint-Loup uznałby mnie za zdrajcę, w drugim rodzina nazwałaby mnie jego złym duchem. A przecież byłem tym samym człowiekiem na przestrzeni kilku godzin.

Wróciliśmy do salonu. Nie widząc Roberta, pani de Villeparisis wymieniła z panem de Norpois owo pytające, drwiące i niezbyt współczujące spojrzenie, jakie ma ktoś, pokazując zbyt zazdrosną żonę albo zbyt czułą matkę, które dają z siebie widowisko; spojrzenie mające znaczyć: „Patrz pan, musiała być burza”.

Robert poszedł do kochanki, przynosząc jej wspaniałą klejnot, którego, w myśl ich układu, nie powinien był jej dać. Zresztą to wyszło na jedno, bo ona nie wzięła naszyjnika; nawet później nigdy nie zdołał jej skłonić do przyjęcia. Niektórzy przyjaciele Roberta sądzili, że te jej dowody bezinteresowności są wyrachowaniem mającym go przywiązać tym mocniej. Ale jej nie zależało na pieniądzach, wyjąwszy może na to, aby móc wydawać bez rachuby. I widziałem, jak rozdawała je na prawo i lewo ludziom, o których myślała, że są biedni. „W tej chwili — mówili Robertowi przyjaciele, aby przeciwważyć złymi słowami jakiś bezinteresowny postępek Racheli — w tej chwili spaceruje w hallu *Folies Bergères*. Ta Rachel, to zagadka, to prawdziwy sfinks”. Ileż zresztą widzimy kobiet interesownych (czego dowodem, że idą na utrzymanie), jak przez delikatność, zakwitającą czasami w tej sferze, same powściągają tysiącem nieuchwytnych granic hojność swego kochanka!

Robert nie wiedział bez mała nic o zdradach kochanki i truł się w myśli tym, co było jedynie błahostką wobec prawdziwego życia Racheli, życia zaczynającego się co dzień dopiero wówczas, gdy on się z nią pożegnał. Nie wiedział prawie nic o tych zdradach. Można by mu powiedzieć o nich, nie osłabiając jego wiary w Rachelę. Bo uroczym prawem natury, objawiającym się w najbardziej złożonych społeczeństwach, jest to, że człowiek żyje w całkowitej nieznajomości przedmiotu ukochania. Z jednej strony zwierciadła, kochanek powiada sobie: „To anioł, nigdy nie zgodzi się należeć do mnie, pozostaje mi tylko umrzeć, a przecież ona mnie kocha; kocha mnie tak, że kto wie... ale nie, to niemożliwe”. I w egzaltacji swoich pragnień, w niepokoju oczekiwania, ileż klejnotów składa u stóp tej kobiety, zapożycza się, aby jej oszczędzić jakiejś troski; podczas gdy z drugiej strony ścianki, przez którą te rozmowy nie przechodzą, niby te, które wymieniają ludzie spacerujący przed akwariem, publiczność mówi: „Nie zna jej pan? Winszuję panu; ona okradła, zrujnowała nie wiem ilu mężczyzn; nie ma gorszej dziwki jak ona. To skończona hultajka. I jaka szczwana!”. I może publiczność nie całkiem się myli co do ostatniego epitetu, bo nawet człowiek sceptyczny, który nie jest naprawdę zakochany w tej kobiecie i któremu się ona tylko podoba, powiada do przyjaciół: „Ależ nie, mój drogi, to wcale nie jest kokota. Nie powiem, aby w swoim życiu nie miała paru epizodów, ale to nie jest kobieta, której się płaci; to by było stanowczo za drogo! Z nią — to pięćdziesiąt tysięcy franków albo nic”. Otóż ten człowiek wydał dla niej pięćdziesiąt tysięcy franków, miał ją raz, ale ona — znajdując zresztą współnika w nim samym, w jego próżności — umiała mu wmówić, że on był z tych, którzy ją mieli gratis. Takie jest społeczeństwo, gdzie każda istota jest podwójna, i gdzie człowieka najbardziej przejrzanego na wylot, najbardziej osławionego, jakiś inny człowiek będzie znał niby pod osłoną muszli, miękkiego kokona, rozkosznej naturalnej ciekawości. Było w Paryżu dwóch godnych ludzi, którym Saint-Loup się nie kłaniał i o których nie mógł mówić bez drżenia w głosie, nazywając ich sutenerami; a to dlatego, że ich zrujnowała Rachel.

— Wyrzucam sobie tylko jedno — rzekła po cichu pani de Marsantes — niepotrzebnie powiedziałam Robertowi że on jest dla mnie niedobry. Jemu, temu cudownemu, jedynemu, niezrównanemu synowi, widząc go nareszcie, powiedzieć, że nie jest dobry! Wołałabym, żeby mnie wybito kijem, bo jestem pewna, że jakkolwiek przyjemność mia-

ła go spotkać dziś wieczór (biedny mały, nie ma ich wiele!), zepsuje mu ją to krzywdzące słowo. Ale nie zatrzymuję drogiego pana, skoro się pan spieszy.

Pani de Marsantes pożegnała mnie ze wzruszeniem. Uczucie to odnosiło się do Roberta, była szczerą. Ale przestała nią być, aby się stać z powrotem wielką damą:

— Bardzo mnie pan *zainteresował*, byłam *szczęśliwa*, że mogła z panem porozmawiać. Dziękuję, dziękuję!

I z pokorną miną wlepiała we mnie spojrzenia wdzięczne, upojone, tak jakby moja rozmowa była jedną z największych przyjemności, jakich zaznała w życiu. Te urocze spojrzenia doskonale godziły się z czarnymi kwiatami w desenie jej sukni; spojrzenia wielkiej damy, która zna swój fach.

— Ależ ja się nie spieszę, proszę pani; czekam zresztą na pana de Charlus, z którym się umówiłem.

Pani de Villeparisis usłyszała ostatnie słowa. Zdawała się nimi przykro uderzona. Gdyby nie chodziło o rzecz niezdolną poruszyć tej kategorii uczuć, miałbym wrażenie, że uczuciem urażonym w pani de Villeparisis w tej chwili była wstydlivość. Ale ta hipoteza nie przeszła mi nawet przez głowę. Byłem rad z pani de Guermantes, z Roberta, z pani de Marsantes, z pana de Charlus, z pani de Villeparisis, nie zastanawiałem się, paplałem wesoło na prawo i lewo.

— Pan ma wyjść z moim kuzynem Palamedem? — rzekła margrabina.

Myśląc, że fakt mojej zażyłości z siostrzeńcem, którego ceniła tak wysoko, może wywrzeć korzystne wrażenie na pani de Villeparisis, odparłem z radością:

— Prosił mnie, abyśmy wyszli razem. Bardzo mnie to ucieszyło. Jesteśmy zresztą z sobą bliżej niż pani przypuszcza, a jestem gotów uczynić wszystko, aby być z nim jeszcze bliżej.

Niezadowolenie pani de Villeparisis zmieniło się w wyraźną troskę.

— Niech pan na niego nie czeka, rzekła z naciskiem; rozmawia z panem von Faffenheim, z pewnością nie pamięta już tego, co panu mówił. Niech pan idzie, niech pan prędko korzysta z tego, że on jest odwrócony tyłem.

Pierwszy niepokój pani de Villeparisis podobny był (ale skąd?) do odruchu zawstydzenia. Jej naleganie, jej sprzeciw — gdyby sądzić jedynie z wyrazu twarzy — mogłyby się zdawać dyktowane cnotą. Co do mnie, wcale mi nie było pilno do Roberta i jego przyjaciółki. Ale pani de Villeparisis tak widocznie zależało na tym, abym się zabrał, że, myśląc, iż ma do pomówienia z siostrzeńcem o czymś ważnym, pożegnałem ją. Obok niej siedział ciężko w fotelu pan de Guermantes, wspaniały i olimpijski. Można by rzec, że rozlana w jego członkach i wszechobecna świadomość wielkich bogactw daje mu szczególną gęstość, tak jakby te bogactwa stopiono w tyglu w jedną sztabę ludzką, aby stworzyć tego tak drogiego człowieka. Kiedym go żegnał, podniósł się grzecznie z krzesła: uczułem bezwładną masę trzydziestu milionów, poruszonych z miejsca i podtrzymywanych starym francuskim wychowaniem, stojącą naprzeciw mnie. Zdawało mi się, że widzę posąg owego Olimpijskiego Jowisza, który Fidiasz, jak powiadają, odlał cały w złocie. Taka była władza, jaką dobre wychowanie miało nad panem de Guermantes, nad ciałem pana de Guermantes przynajmniej, bo nie panowało ono równie przemożnie nad duchem księcia. Pan de Guermantes śmiał się ze swoich dowcipów, ale nie rozchmurzały go dowcipy innych.

Na schodach usłyszałem za sobą głos:

— Więc tak pan na mnie czeka!

Był to pan de Charlus.

— Nic panu nie szkodzi przejść kilka kroków pieszo? — rzekł sucho, kiedyśmy się znaleźli w dziedzińcu. — Przejdziemy się, aż znajdzie fiakra, który by mi się nadał.

— Chciał pan o czymś ze mną mówić, panie baronie?

— A tak, prawda, chciałem w istocie powiedzieć panu pewne rzeczy; ale nie jestem pewien, czy mu je powiem. Niewątpliwie, sędzę, że mogłyby się stać dla pana zaczątkiem nieobliczalnych korzyści. Ale przeczuwam również, że wniosłyby one w moją egzystencję, w wieku, gdy człowiek zaczyna tęsknić za spokojem, dużo straty czasu, dużo zamętu. Pytam sam siebie, czy pan jesteś wart, abym sobie zadawał dla niego tyle kłopotu, a nie mam przyjemności znać pana na tyle, aby go osądzić. Może też nie pragnie pan w tym stopniu

tego, co mógłbym zrobić dla pana, abym sobie miał zadać tyle utrapień, bo powtarzam bardzo szczerze, dla mnie to może być jedynie utrapieniem.

Okrzyknąłem się, że w takim razie nie trzeba nawet o tym myśleć. Abnegacja ta nie zdawała się być w guście barona.

— Te ceremonie nie znaczą nic — rzekł twardo. — Nie ma nic przyjemniejszego niż zadawać sobie trudy dla osoby, która jest tego warta. Dla najlepszych spomiędzy nas sztuka, antyki, kolekcje, ogród to są tylko namiastki, *ersatz*, alibi. Z głębi naszej beczki, jak Diogenes, wołamy człowieka. Hodujemy begonie, strzyżemy cyprysy, w braku czegoś lepszego, dlatego że cyprysy i begonie dają z sobą robić, co chcemy. Ale wolelibyśmy oddać swój czas roślinie ludzkiej, gdybyśmy byli pewni, że jest tego warta. W tym mieści się cała kwestia: pan musi znać trochę siebie samego. Czy pan jesteś wart, czy nie?

— Nie chciałbym, proszę pana, za nic w świecie sprawić mu kłopotów — rzekłem — ale co się tyczy mojej przyjemności, niech mi pan wierzy, że wszystko, co pochodzi od pana, sprawi mi wielką przyjemność. Jestem głęboko wzruszony, że pan zwrócił na mnie uwagę i że pan pragnie być mi użyteczny.

Ku memu zdumieniu, baron podziękował mi za te słowa niemal z zapalem. Wziął mnie pod ramię z tą nagłą poufałością, która mnie już uderzyła w Balbec i która stanowiła kontrast z oschłością jego tonu.

— Zważywszy niedoświadczenie pańskiego wieku — odparł — mógłby pan wyrzec czasami słowa zdolne wykopać między nami przepaść nie do przebycia. Przeciwnie, to coś pan rzekł przed chwilą, to są właśnie rzeczy zdolne mnie wzruszyć i kazać mi wiele uczynić dla pana.

Wciąż idąc ze mną pod ramię i wymawiając te słowa, które, mimo domieszki czegoś wzgardliwego, były tak serdeczne, pan de Charlus wpijał we mnie owe uporczywe, przenikliwe, twarde spojrzenia, które mnie uderzyły pierwszego rana, kiedym go ujrzał pod kasynem w Balbec, a nawet wiele lat wprzód, koło różowego głogu, obok pani Swann, którą brałem wówczas za jego kochankę, w parku w Tansonville. To znów, za chwilę, pozwalając błądzić tym spojrzeniom dokoła i badać fiakry (które, o tej godzinie zmiany, były dość liczne) tak pilnie, że niejeden z nich zatrzymał się, bo woźnica myślał, że chcemy wsiąść. Ale pan de Charlus odprawiał go natychmiast.

— Żaden nie jest dla mnie — rzekł — cała rzecz to kwestia latarni, dzielnicy, do której wracają. Pragnąłbym, proszę pana — rzekł — aby się pan nie omylił co do na wskroś bezinteresownego i altruistycznego charakteru propozycji, jaką panu zrobię.

Uderzyło mnie (bardziej jeszcze niż w Balbec), jak dalece dykcja barona podobna była do sposobu mówienia Swanna.

— Jest pan dosyć inteligentny, jak sądzę, aby nie przypuszczać, że to przez „brak stosunków”, z obawy samotności i nudy, zwracam się do pana. Nie lubię dużo mówić o sobie, ale ostatecznie, wie pan może (dość głośny artykuł „Timesa” robi do tego aluzję), że cesarz austriacki, który mnie zawsze zaszczycał życzliwością i który raczy utrzymywać ze mną kuzynowskie stosunki, oświadczył świeżo w rozmowie (która się stała publiczną), że gdyby hrabia de Chambord miał przy sobie człowieka znającego równie gruntownie jak ja podszewki polityki europejskiej, byłby dzisiaj królem Francji. Często myślałem, że jest we mnie (nie z racji moich nikłych darów, ale dzięki okolicznościom, które pan poznasz może kiedyś) skarb doświadczenia, rodzaj tajnego i nieoszacowanego *dossier*, którego nie uważałem za właściwe spożytkować osobiście, ale które jest bez ceny dla młodego człowieka, dostającego ode mnie w ręce w ciągu kilku miesięcy to, na czego nabycie obróciłem więcej niż trzydzieści lat i co może posiadam sam jeden. Nie mówię o rozkoszach intelektualnych, jakie by pan znalazł, dowiadując się pewnych sekretów, za których poznanie jakiś Michelet naszych czasów oddałby lata życia i dzięki którym pewne wypadki przybrałyby w jego oczach zupełnie odmienną postać. I nie tylko mówię o faktach spełnionych, ale o łańcuchu okoliczności — było to jedno z ulubionych wyrażań pana de Charlus i często, kiedy je wymawiał, składał obie ręce tak, jak się czyni do modlitwy, ale ze sztywnymi palcami, jak gdyby chcąc wyrazić tym gestem ów splot okoliczności, których nie określał bliżej, oraz ich zazębienie się. — Dałbym panu nieznaną wykład nie tylko przeszłości, ale przyszłości.

Tu pan de Charlus przerwał, aby mi postawić kilka pytań co do Blocha, o którym mówiono (sądziłem, że baron wówczas nie słuchał) u pani de Villeparisis. I intonacją

umiał tak dobrze punktować to, co mówił, że zdawało się, iż myśli całkiem o czym innym, a mówi machinalnie; przez prostą uprzejmość spytał mnie, czy mój kolega jest młody, przystojny etc. Gdyby go Bloch słyszał, byłby jeszcze w większym kłopotie niż z panem de Norpois (mimo iż dla bardzo odmiennych przyczyn), chcąc zgadnąć, czy pan de Charlus jest za Dreyfusem czy przeciw.

— Jeżeli pan chce rozwinąć swoją inteligencję — rzekł pan de Charlus, zadawszy mi kilka pytań dotyczących Blocha — nieźle pan robi, że wśród swoich przyjaciół ma pan paru cudzoziemców.

Odparłem, że Bloch jest Francuzem.

— A! — rzekł pan de Charlus — ja myślałem, że to Żyd!

Zaakcentowanie tej sprzeczności kazało mi przypuszczać, że pan de Charlus jest większym antydreyfusistą niż ktokolwiek z moich znajomych. Oświadczył się, przeciwnie, przeciw zarzutowi zdrady, o którą oskarżano Dreyfusa. Ale uczynił to w tej formie:

— Zdaje się, że dzienniki mówią, iż Dreyfus popełnił zbrodnię przeciw ojczyźnie; zdaje się, że tak mówią, bo ja nie zwracam uwagi na dzienniki, czytam je tak, jak myję ręce, nie znajdując, aby warto się było tym interesować. W każdym razie, ta zbrodnia jest fikcją; rodak pańskiego przyjaciela popełniłby zbrodnię przeciw ojczyźnie, gdyby zdradził Judeę, ale co on ma wspólnego z Francją?

Napomknąłem, że gdyby była wojna, Żydów powołano by pod broń tak samo jak innych.

— Być może, i nie jest dowiedzione, czy to nie byłaby nieostrożność. Ale kiedy się sprowadza Senegalczyków albo Malgaszów, nie sędzę, aby oni wiele serca wkładali w obronę Francji, i to jest bardzo naturalne. Waszego Dreyfusa raczej by można skazać za naruszenie praw gościnności. Ale dajmy temu pokój. Może by pan poprosił swego przyjaciela, aby mnie wprowadził na jaką piękną uroczystość w bóżnicy, na jakieś obrzezanie, śpiewy żydowskie. Mogłby wynająć salę i urządzić dla mnie jakieś biblijne *divertissement*, jak panienki z Saint-Cyr grały sceny zaczerpnięte z *Psalmów* przez Racine'a dla rozrywki Ludwika XIV. Moglibyście tam może nawet wprowadzić jakieś komiczne scenki. Na przykład walkę między pańskim przyjacielem i jego ojcem, w której syn by go zranił jak Dawid Goliata. To by mogła być farsa wcale ucieszna. Mogłby nawet, skoroby się rozmachał, przetrzepać porządnie to ściervo („ścirwo”, jak mówi moja służąca), swoją matkę. To by było bardzo ładne i mogłoby nam sprawić przyjemność, he, młody przyjacielu, skoro lubimy egzotyczne spektakle i skoro poturbować to pozaeuropejskie indywiduum znaczyłoby dać zasłużoną nauczkę starej klępie.

Mówiąc te okropne, niemal obłąkane słowa, pan de Charlus ścisnął mi ramię aż do bólu. Przypominałem sobie, że rodzina pana de Charlus cytowała wiele rysów anielskiej dobroci barona dla tej starej służącej, której molierowską gwarę przypominał w tej chwili; i powiadałem sobie, że byłoby interesujące ustalić mało dotąd zbadane stosunki między dobrocią a złością — mimo całej ich rozbieżności — w jednym i tym samym sercu.

Oznajmiłem baronowi, że w każdym razie pani Bloch już nie żyje, co zaś do starego Blocha, nie wiem, czy by mu przypadła do smaku zabawa, w której mógłby stracić oko. Pan Charlus był wyraźnie zirytowany:

— Bardzo nie w porę — rzekł — umarła ta kobieta. A co do wybitych oczu, właśnie Synagoga jest ślepa, nie widzi prawd Ewangelii. W każdym razie, pomyśl pan, w chwili gdy wszyscy ci nieszczęśni Żydzi drżą przed idiotyczną wściekłością chrześcijan, jakimż zaszczytem byłoby dla nich widzieć, że człowiek taki jak ja zniża się do bawienia się ich igraszkami.

W tej chwili spostrzegłem starszego pana Blocha, który minął nas, idąc zapewne naprzeciw syna. Nie widział nas, ale ofiarowałem się, że go przedstawię panu de Charlus. Nie domyślałem się gniewu, jaki rozpetam w swoim towarzyszczu:

— Przedstawić mi go! Ależ, doprawdy, pan nie ma najmniejszego poczucia waleń! Nie tak łatwo jest dostąpić zaszczytu mojej znajomości. W danym wypadku, nieprzyzwoitość byłaby dubeltowa z przyczyny młodego wieku tego, kto przedstawia, i nikczemności tego, którego przedstawia. Co najwyżej, o ile wyprawia dla mnie to azjatyckie igrzysko, którego plan naszkicowałem przed chwilą, mógłbym zaszczyścić tę plugawą figurę paroma łaskawymi słowy. Ale pod warunkiem, że się wprzód da porządnie wygrzmocić swemu synowi. Wówczas mógłbym się posunąć do wyrażenia mu swojej satysfakcji.

Zresztą pan Bloch nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. Idąc, złożył pani Sazerat głęboki ukłon, bardzo dobrze przez nią przyjęty. Zdumiało mnie to, bo niegdyś w Combray dama ta była oburzona, że rodzice przyjmują młodego Blocha, do tego stopnia była antysemitką. Ale dreyfuszizm jak wentylator zaniósł aż do niej w ciągu kilku dni pana Blocha. Ojciec mego przyjaciela zachwycony był panią Sazerat; głaskał go zwłaszcza miłe antysemityzm tej damy, który mu się wydał dowodem żywości jej wiary oraz szczerości jej dreyfuszizmu, a zarazem przydawał ceny wizycie, do której go uprawnili. Nie uraziło go nawet, kiedy pani Sazerat przez nieuwagę rzekła w jego obecności: „Pan Drumont pakuje rewizjonistów do wspólnego worka z protestantami i Żydami. Przemile sąsiedztwo!”.

„Bernardzie — z dumą powiedział za powrotem do domu pan Bloch do pana Nissim Bernard — ty wiesz, ona ma przesady!” Ale Nissim Bernard odpowiedział jedynie anielskim spojrzeniem wzniesionym ku niebu. Smucąc się niedolą Żydów, wspominając swoich przyjaciół chrześcijan, stając się z biegiem lat zmanierowanym i sztucznym z przyczyn, które poznamy później, robił obecnie wrażenie jakiejś prerafaelitycznej larwy, nieregularnie porosłej szczecią podobną do włosów utopionych w opalu.

— Cała ta sprawa Dreyfusa — ciągnął baron, wciąż trzymając mnie pod ramię — ma tylko jedną przykrą stronę: tę że niszczy *towarzystwo* (nie powiadam *dobre towarzystwo*, od dawna już towarzystwo nie zasługuje na ten chlubny epitet) przez napływ pań i panów Łykowskich, Łykowiczów i Łykowieckich, słowem ludzi nieznanymi, których spotykam nawet u swoich kuzynek, dlatego że należą do ligi patriotycznej, antyżydowskiej i sam już nie wiem jakiej, tak jakby opinie polityczne dawały prawo do pozycji socjalnej.

Ta światowa czczość tym bardziej zbliżała pana de Charlusa do księżnej de Guermantes. Podniosłem to podobieństwo. Ponieważ baron zdawał się mniemać, że ja go nie znam, przypomniałem mu wieczór w Operze, gdzie wyraźnie chował się przede mną. Oświadczył tak stanowczo, że mnie wcale nie widział, iż byłbym w to w końcu uwierzył, gdyby niebawem drobna okoliczność nie kazała mi wnosić, że pan de Charlus, może przez nadmiar pychy, nie lubi, aby go ze mną widziano.

— Wróćmy do pana — rzekł — i do moich projektów na niego. Istnieje, drogi panie, między pewnymi ludźmi rodzaj masonerii, o której niepodobna mi bliżej mówić, ale która liczy w tej chwili w swoich szeregach czterech monarchów Europy. Otóż otoczenie jednego z nich chce go uleczyć z jego chimery. To jest rzecz bardzo poważna i może nas doprowadzić do wojny. Tak, drogi panie, absolutnie tak. Zna pan historię owego człowieka, który wierzył, że ma zamkniętą w butelce księżniczkę chińską. Było to szaleństwo. Uleczono go. Ale z chwilą, gdy się pozbył swego szaleństwa, kompletnie zgłupiał. Są choroby, których nie trzeba leczyć, bo właśnie chronią nas od innych, cięższych. Jeden z moich krewnych chorował na żołądek, nic nie mógł trawić. Najtężsi specjaliści od żołądka kurowali go bez skutku. Zaprowadziłem go do pewnego lekarza (też, mówiąc nawiasem, ciekawa figura, o której byłoby wiele do powiedzenia). Poznał natychmiast, że choroba jest czysto nerwowa, przekonał chorego o tym, kazał mu jeść bez obawy co zechce, ręcząc, że wszystko dobrze strawi. Ale mój kuzyn miał także chore nerki. Żołądek trawił jedzenie wybornie, ale nerki nie mogły wydzielać, i mój kuzyn, zamiast żyć długie lata z urojoną chorobą żołądka, która go zmuszała do przestrzegania diety, umarł koło czterdziestki z wyleczonym żołądkiem, ale ze zrujnowanymi nerkami. Wyprowadzając tak olbrzymio swoje własne życie, staniesz się pan może tym, czym mógłby być wybitny człowiek minionych czasów, gdyby jakiś dobroczynny geniusz odkrył mu zasady pary i elektryczności nieznane wszystkim innym. Nie bądź pan głuptasem, nie odmawiaj przez delikatność. Zrozum pan, że jeżeli ja panu oddaję wielką przysługę, umiem w zamian ocenić tę, którą pan mi może oddać. Od dawna już ludzie mego świata przestali mnie interesować; mam już tylko jedną namiętność: starać się okupić błędy własnego życia, dzieląc się swymi skarbami z duszą jeszcze dziewiczą i zdolną do płomienia entuzjazmu. Miałem wielkie zgryzoty, drogi panie, opowiem je panu może kiedy; straciłem żonę, istotę najszlachetniejszą, najpiękniejszą, najdoskonalszą, jaką można wymarzyć. Mam młodych krewnych, którzy nie są, nie powiem godni, ale nie są zdolni przyjąć moralnego dziedzictwa, o którym panu mówię. Kto wie, czy nie pan jesteś człowiekiem, w którego ręce ono może przejść, człowiekiem, którego życiem będę mógł pokierować i wznieść je tak wysoko! Moje życie zyskałoby na tym. Może wtajemniczając pana w wielkie sprawy dyplomatyczne, odnalazłbym samego siebie i dokonałbym wreszcie niezwykłych rzeczy,

w których pan miałbyś udział. Ale zanim się o tym upewnię, musiałbym pana widywać często, bardzo często, co dzień.

Chciałem skorzystać z tych dobrych intencji pana de Charlus, aby go poprosić, czy by nie mógł ułatwić mi zbliżenia ze swoją bratową; ale w tej chwili jak gdyby elektryczny wstrząs skrzył mi ramię. To pan de Charlus wyrwał spiesznie spod niego rękę. Mimo iż, mówiąc do mnie, cały czas biegał wzrokiem we wszystkich kierunkach, w tej chwili dopiero ujrzał pana d'Argencourt, wychodzącego z poprzecznej ulicy. Na nasz widok, pan d'Argencourt zachnął się lekko, objął mnie nieufnym spojrzeniem, niemal takim, jakim mierzy się osobnika innej rasy, jakie pani de Guermantes miała dla Blocha. Próbował nas minąć; ale zdawałoby się, iż pan de Charlus chce okazać, że się nie stara bynajmniej kryć przed nim, bo przywołał go, aby mu powiedzieć jakąś rzecz zupełnie błahą. Obawiając się może, że mnie pan d'Argencourt nie poznał, baron zakomunikował mu, że jestem wielkim przyjacielem pani de Villeparisis, księżnej de Guermantes, Roberta de Saint-Loup, że on sam, Charlus, jest starym przyjacielem mojej babki, szczęśliwym, iż może przenieść na wnuka trochę swojej dla niej sympatii. Mimo to zauważyłem, że pan d'Argencourt, któremu ledwo wymieniono moje nazwisko u pani de Villeparisis, a któremu pan de Charlus obszernie teraz opowiadał o mojej rodzinie, był dla mnie chłodniejszy niż przed godziną i zachował ten chłód przez długi czas, ilekroć mnie spotkał. Obserwował mnie z ciekawością wyzuta z cienia sympatii i zdawał się nawet pokonywać pewien opór, kiedy, żegnając nas, podał mi po chwili wahania rękę, cofając ją zresztą natychmiast.

— Żałuję tego spotkania — rzekł pan de Charlus. — Ten d'Argencourt, dobrze urodzony, ale źle wychowany, dyplomata mniej niż mierny, mąż oplakany, dziwkarz, intrygant jak z komedii, jest z rzędu ludzi niezdolnych zrozumieć, ale bardzo zdolnych zniszczyć rzeczy naprawdę wielkie. Mam nadzieję, że nasza przyjaźń, jeżeli ma się kiedyś ugruntować, będzie taką i mam nadzieję, że pan zrobi mi ten zaszczyt, aby ją, na równi ze mną, chronić od kopnięć osłów, którzy, przez próżniactwo, brak taktu, złość, depcą to, co zdawało się mieć szanse trwania. Na nieszczęście ludzie światowi są przeważnie z rzędu takich.

— Księżna de Guermantes wydaje się bardzo inteligentna. Mówiliśmy przed chwilą o możliwości wojny. Zdaje się, że ona ma specjalne wiadomości w tej mierze.

— Nie ma żadnych — odparł pan de Charlus sucho. — Kobiety, jak wielu mężczyzn zresztą, nie rozumieją nic ze spraw, o których chciałem mówić. Moja bratowa jest uroczą istotką, która sobie wyobraża, że żyje jeszcze w czasach powieści Balzaka, kiedy kobiety miały wpływ na politykę. Stosunki z nią mogłyby w danej chwili oddziaływać na pana jedynie ujemnie, jak zresztą wszelkie stosunki światowe. I to jest właśnie jedna z pierwszych rzeczy, które panu chciałem powiedzieć, kiedy mi ten głupiec przerwał. Pierwsza ofiara, jaką trzeba dla mnie zrobić (będę żądał od pana tyluż ofiar, ile panu przynoszę darów), to aby się pan nie starał bywać w świecie. Cierpiałem przed chwilą, widząc pana na tym pociesnym zebraniu. Powie pan, że i ja tam byłem; ale dla mnie to nie jest zebranie światowe, to wizyta rodzinna. Później, kiedy pan dojdiesz do szczytu, o ile cię będzie bawiło zejść na chwilę w salony, nie będzie to już może niebezpieczne. I wówczas, nie potrzebuję panu mówić, jak bardzo będę ci mógł być użyteczny. Sezam pałacu Guermantes (i wszystkich tych, które są warte, aby ich wrota otworzyły się przed panem) ja mam w ręku. Ja będę o tym sądził i ja chcę decydować o tym, kiedy przyjdzie pora.

Chciałem skorzystać z tego, że pan de Charlus wspomniał wizytę u pani de Villeparisis, aby się dowiedzieć, kim jest, ściśle biorąc, ta margrabina, ale pytanie moje wypadło inaczej niżbym chciał: zapytałem, co to jest rodzina Villeparisis.

— To zupełnie tak, jakby mnie pan spytał, co to jest rodzina Nic — odparł pan de Charlus. — Ciotka moja zaślubiła z miłości niejakiego pana Thirion, zresztą bardzo bogatego i którego siostry były bardzo dobrze zamężne; od tego czasu, nazwał się margrabią de Villeparisis. Nic to nikomu nie szkodziło, co najwyżej jemu samemu, i to bardzo niewiele! Co do racji tego przezwiska, nie wiem, przypuszczam, że to był w istocie pan z *Villeparisis*, jegomość urodzony w Villeparisis; pan wie, że to jest miejscowość pod Paryżem. Ciotka moja utrzymywała, że to margrabstwo było w rodzinie; chciała załatwić rzeczy prawidłowo, nie wiem czemu. Z chwilą kiedy się bierze nazwisko, do którego się nie ma prawa, lepiej jest nie bawić się w komedię legalności.

Pani de Villeparisis, będąca tylko panią Thirion, dopełniła upadku, jaki rozpoczęła w moim umyśle w chwili, gdy ujrzałam mieszany skład jej salonu. Uważałam za niesprawiedliwe, aby kobieta, której nawet tytuł i nazwisko były zupełnie świeże, mogła mylić współczesnych — jak miała zmylić potomność — dzięki swoim monarszym stosunkom. Pani de Villeparisis stała się znów tym, czym mi się wydawała w dzieciństwie; osobą bez cienia czegoś arystokratycznego; owe dostojne krewieństwa, które ją otaczały, zdawały mi się całkowicie jej obce.

Zresztą margrabina nie przestała wciąż być dla nas czarująca. Odwiedzałam ją od czasu do czasu i często przysyłała mi jakiś upominek. Ale nigdy nie miałam wrażenia, aby ona była z *Faubourg Saint-Germain*, i gdybym miał szukać jakichś informacji co do tego świata, ona byłaby ostatnią osobą, do której bym się zwrócił.

— Obecnie — ciągnął pan de Charlus — bywając w świecie, szkodziłby pan jedynie sobie, pacząc swoją inteligencję i charakter. Zresztą musi pan czuwać nawet, a raczej *zwłaszcza*, nad swymi przyjaciółmi. Miej pan kochanki, jeśli twoja rodzina nie ma nic przeciwko temu; to mnie nie obchodzi; mogę cię tylko do tego zachęcać, młody urwisie, młody urwisie, który niedługo zaczniesz golić brodę — rzekł, dotykając mego podbródka. — Ale wybór męskich przyjaciół, to inna sprawa. Na dziesięciu młodych ludzi ośmiu to są kanalie, łobuzy zdolne wyrządzić panu krzywdę, której nie odrobisz nigdy. Ot, mój siostrzeniec Saint-Loup, to jest od biedy dobry koleżka dla pana. Z punktu widzenia pańskiej przyszłości nie przyda się panu na nic, ale ja tu wystarczę. A na to, aby panu dotrzymać towarzystwa, wówczas gdy będziesz miał mnie dosyć, na to, w sumie, wydaje mi się człowiekiem nieprzedstawiającym poważnych niebezpieczeństw, przynajmniej tak sądzę. To jest bodaj mężczyzna, a nie jeden z tych niewieściuchów, jakich spotyka się dziś tyłu; fałszywych braci zdolnych dziś lub jutro zaprowadzić może na rusztowanie swoją niewinną ofiarę.

Nie bardzo rozumiałem sens gwarowego wyrażenia „fałszywy brat”. Ten co by je znał, byłby równie zdziwiony jak ja. Światowcy dosyć lubią mówić gwarą, a ludzie, którym można zarzucić pewne rzeczy, lubią okazywać, że się o nich nie boją mówić. To stanowi w ich oczach dowód niewinności. Ale zatracili granicę, nie zdają już sobie sprawy ze stopnia, od którego począwszy, pewien żart robi się zbyt specjalny, zbyt rażący, stając się raczej dowodem zepsucia niż naiwności.

— On nie jest taki jak inni, jest bardzo miły, bardzo serio — dodał pan de Charlus.

Nie mogłem się wstrzymać od uśmiechu przy tym epitecie „serio”, któremu intencja pana de Charlus dawała znaczenie „cnotliwy”, „stateczny”, jak się mówi o młodej robotnicy, że jest „serio”. W tej chwili minął nas fiakier, jadący zygakiem; młody woźnica, zlazszy z kozła, powoził z głębi dorożki, gdzie rozwalili się wpół pijany na siedzeniu. Pan de Charlus zatrzymał go żywo. Woźnica parlamentował chwilę.

— W którą stronę pan chce jechać?

— W swoją — (zdziwiło mnie to, bo pan de Charlus już odmówił kilku fiakrom, mającym latarnie tego samego koloru).

— Ale mnie się nie chce siadać na kozioł. To panu nie przeszkadza, że ja zostanę w dorożce?

— Tak, tylko podnieś budę. Zatem, niech się pan zastanowi nad moimi propozycjami — rzekł pan de Charlus przed rozstaniem — daję panu kilka dni do namysłu, niech pan do mnie napisze. Powtarzam, będę pana musiał widywać co dzień i uzyskać od pana rękojmię lojalności, dyskrecji, które zresztą, muszę to przyznać, zdajesz się przedstawiać. Ale w ciągu mego życia tak często zwiodły mnie pozory, że nie chcę się już na nie spuszczać. Do kroćset, to chyba najmniej, czego można żądać: zanim się powierzy skarb, wiedzieć, w jakie ręce się go oddaje! Słowem, niech pan pamięta, co ja panu ofiaruję. Jest pan jak Herkules, którego, nieszczęściem dla pana, nie zdajesz się mieć tęgiej muskulatury: Herkules na rozstaju dwóch dróg. Staraj się pan nie musieć żałować całe życie, żeś nie obrał tej, która wiedzie do cnoty. Cóż to — rzekł baron do woźnicy — jeszcześ nie podniósł budy? Ja sam podniosę. Zdaje mi się zresztą, że i powozić będę musiał sam, zważywszy stan, w jakim się znajdujesz.

Wskoczył i usiadł obok woźnicy w głębi fiakra, który ruszył tęgim klusem.

Co do mnie, ledwie wróciwszy do domu, zastałem tam *pendant* rozmowy, jaką wiedli dopiero co Bloch i pan de Norpois, ale w formie zwięzłej, odwróconej i okrutnej. Była to dyskusja pomiędzy naszym kamerdynerem, który był dreyfusistą, a kamerdynerem Guermantów — antdreyfusistą. Prawdy i kontrprawdy, które walczyły z sobą na wyżynach intelektualnych pod postacią *Patrie française* oraz *Ligi praw człowieka*, docierały zaiste aż do warstw ludu. Reinach grał na uczuciach ludzi, którzy go nigdy nie widzieli na oczy, podczas gdy dla niego samego sprawa Dreyfusa była jedynie nieodpartym teorematem, którego dowiódł w istocie w drodze największego sukcesu racjonalnej polityki (sukcesu smutnego dla Francji, powiedzą niektórzy), jaki kiedykolwiek widziano. W dwa lata zmienił gabinet Ribota na gabinet Clemenceau, zmienił do gruntu opinię publiczną, wydobył z więzienia Picquarta, aby go uczynić — niewdzięcznego — ministrem wojny. Może ten kierujący tłumami racjonalista sam kierował się swoim pochodzeniem. Jeżeli systemy filozoficzne, zawierające najwięcej prawd, poczynają się, w ostatecznej instancji, w umyśle swoich twórców z racji uczuciowych, jak przypuszczać, że w prostej sprawie politycznej, jak sprawa Dreyfusa, racje tego rodzaju nie mogłyby, bez wiedzy rozumującego, władać jego rozumem? Bloch sądził, iż logika podyktowała mu dreyfusizm, chociaż wiedział, że jego nos, skóra i włosy są dziedzictwem rasy. Niewątpliwie, rozum jest swobodniejszy; podlega jednakże pewnym prawom, których sam nie wybrał.

Przypadek lokaja Guermantów i naszego był dość specjalny. Fale dwóch prądów, dreyfusizmu i antdreyfusizmu, które od góry do dołu dzieliły Francję, były dość milczące; ale nieliczne echa, jakim dawały początek, były szczere. Słyszac, jak ktoś, wśród rozmowy, która chętnie unikała „Sprawy”, udziela mimochodem wiadomości politycznej, zazwyczaj fałszywej, ale zawsze upragnionej, można było z charakteru jego wróżby wnosić o kierunku jego pragnień. W ten sposób zderzały się na niektórych punktach z jednej strony nieśmiały apostołstwo, z drugiej święte oburzenie. Dwaj lokaje, których usłyszałem wracając, stanowili wyjątek z tego prawidła. Nasz dał do zrozumienia, że Dreyfus jest winien; lokaj Guermantów — że jest niewinny. Nie czynili tego, aby ukryć swoje przekonania, ale przez złośliwość i zacierzwienie. Nasz lokaj, niepewny, czy dojdzie do rewizji procesu, chciał z góry, w razie klęski, pozbawić lokaja Guermantów radości przeświadczenia, że dobra sprawa przegrała. Lokaj Guermantów myślał, że w razie odmowy rewizji większą przykrość sprawi naszemu lokajowi fakt, iż trzymają na Diablej Wyspie niewinnego.

Wszedłszy, zastałem babkę bardziej cierpiącą. Od jakiegoś czasu, nie bardzo wiedząc, co jej jest, skarżyła się na zdrowie. Dopiero w chorobie zdajemy sobie sprawę, że żyjemy nie sami, ale zespoleni z istotą odmiennego gatunku, od której dzieli nas przepaść, która nas zna, a z którą niepodobna nam się porozumieć: nasze ciało. Bandytę spotkanego na drodze zdołalibyśmy może wzruszyć jego własną korzyścią, jeżeli nie naszym nieszczęściem. Ale błagać litości naszego ciała, znaczy mówić do potwora morskiego, dla którego słowa nasze nie więcej mają znaczenia niż szmer wód i z którym współzycie wydałoby się nam czymś przerażającym. Niedyspozycje babki uchodziły jej uwagi, wciąż zwróconej ku nam. Kiedy zbytnio od nich cierpiała, siłała się na próżno zrozumieć je, aby próbować je leczyć. O ile objawy chorobowe, których ciało babki było widowiskiem, pozostawały ciemne i nieuchwytnie dla jej inteligencji, były one jasne i zrozumiałe dla istot należących do tego samego fizycznego królestwa; istot, do których duch ludzki nauczył się wreszcie zwracać, aby zrozumieć to co mu mówi jego ciało, tak jak słysząc mowę cudzoziemca, szukamy kogoś z tego samego kraju, iżby nam posłużył za tłumacza. Owe istoty mogą rozmawiać z naszym ciałem, oznajmić nam, czy jego gniew jest poważny, czy też rozprószy się niebawem. Cottard, którego wezwano do babki i który podrażnił nas, pytając w pierwszej chwili, kiedyśmy mu powiedzieli, że babka jest chora: „Chora? Ale to nie jest choroba dyplomatyczna?” — Cottard próbował dla uspokojenia chorej diety mlecznej. Ale wiekiute zupki na mleku nie działały, ponieważ babka sypała do nich dużo soli (odkrycia Widala jeszcze nie istniały), której szkód w owym czasie nie znano. Bo medycyna to jest

Lekarz, Nauka

Cottard polecił zmierzyć temperaturę. Przyniesiono termometr. Na całej prawie przestrzeni rurka była próżna. Ledwo się dostrzegało srebrną salamandrę rtęci, przycupniętą na dnie naczynka. Zdawała się martwa. Umieszczono szklany pręcik w ustach babki. Nie potrzeba było trzymać go długo; mała wróżka nie długo ociągała się z horoskopem. Ujrzelśmy ją nieruchomą, siedzącą w połowie swojej wieży i nie ruszającą się już; wskazywała dokładnie cyfrę, o którąś jej pytali, a której wszystkie refleksje, jakie by nad sobą czyniła dusza babki, nie zdołałyby stwierdzić: 38,3°. Pierwszy raz odczuliśmy pewien niepokój. Potrząsnęliśmy silnie termometr, aby usunąć wróżebny znak, jak gdybyśmy mogli, wraz ze stopniem temperatury, obniżyć tym gorączkę. Niestety, jasne było, że mała, pozbawiona rozumu sybilla nie udzieliła tej odpowiedzi dowolnie; bo nazajutrz, ledwo znów włożono babce do ust termometr, natychmiast, prawie jednym skokiem, mała prorokini, wspaniała pewnością i intuicją niewidzialnego dla nas faktu, zatrzymała się na tym samym punkcie, w nieubłaganym bezruchu, i ukazała nam lśniącym pręcikiem tę samą cyfrę: 38,3°. Nie mówiła nic więcej, ale daremnie byśmy pragnęli, chcieli, prosili — pozostawała głucha, zdawało się, że to jest jej ostatnie, przestrożne i groźne słowo. Wówczas, próbując zmusić ją do zmiany odpowiedzi, zwróciliśmy się do innej istoty z tego samego królestwa, ale istoty potężniejszej, która nie ogranicza się do pytania ciała, lecz może mu rozkazywać: do środka przeciw gorączce, pokrewnego z nieużywaną jeszcze wówczas aspiryną. Nie strzepnęliśmy termometru poniżej 37,5° w nadziei, że w ten sposób słupek rtęci nie będzie się musiał podnosić. Podaliśmy babce preparat i założyliśmy znów termometr. Jak nieubłagany strażnik, gdy mu pokazać rozkaz wyższej władzy, do której znaleźliśmy protekcję, oświadcza, widząc rozkaz w porządku: „Wybornie, nie mam nic do powiedzenia, skoro tak, można przejść”, czujna strażniczka nie ruszyła się tym razem. Ale zdawała się mówić chmurna: „Na co się wam to przyda? Skoro znacie chininę, da mi rozkaz, abym się nie ruszała, raz, dziesięć, dwadzieścia razy. Ale wreszcie zmęczy się, ja ją znam, wierzcie. To nie będzie trwało wiecznie. I co wam to pomoże?”.

Wówczas, babka odczuła w sobie obecność istoty znającej ciało ludzkie lepiej niż my sami, obecność spółceznicy zaginionych ras, obecność pierwszego mieszkańca o wiele wcześniejszego niż istnienie myślącego człowieka; uczuła tego tysiącletniego sprzymierzeńca, który obmacywał, dość brutalnie nawet, jej głowę, serce, łokieć, rozpoznawał miejsca, organizował wszystko do tej przedhistorycznej walki, która nastąpiła tuż potem. W jednej chwili zwyciężył gorączkę, niby zmiażdżonego Pytona, potężny czynnik chemiczny, któremu babka, idąc poprzez królestwa, poprzez wszystkie zwierzęta i rośliny, chciałaby móc podziękować. I była do głębi wzruszona spotkaniem, jakie jej było dane, poprzez tyle wieków, z klimatem zgoła wcześniejszym od istnienia roślin. Ze swojej strony termometr, niby parka zwyciężona na chwilę przez starszego boga, trzymał nieruchomo swoje srebrne wrzeciono. Niestety inne, niższe istoty, ułożone przez człowieka do polowania na ową tajemniczą zwierzynę, której nie może ścigać w głębi samego siebie, okrutnie zwiastowały nam co dnia cyfrę białka, słabą, ale na tyle stałą, aby się również można było domyślić związku z jakimś trwałym stanem, któregośmy nie dostrzegali. Swego czasu Bergotte uraził we mnie nieomylny instynkt zmuszający do milczenia moją inteligencję, mówiąc o doktorze du Boulbon, jako o lekarzu, który mnie nie znudzi, który znajdzie metody, choćby na pozór dziwaczne, ale dostosowane do odrębności mego intelektu. Ale pojęcia przeobrażają się w nas, pokonują opór, jaki im zrazu stawiamy i czerpią soki z gotowych już bogatych zasobów intelektualnych, o których nie wiedzieliśmy, że są dla nich przeznaczone. I, jak się dzieje zawsze, gdy zasłyszane słowa, tyjące kogoś, kogo nie znamy zdołały w nas obudzić pojęcie wielkiego talentu, niemal geniuszu, obecnie dąrzyłem w myśli doktora du Boulbon owym bezgranicznym zaufaniem, jakie w nas budzi ktoś, kto głębszym od innych okiem przenika prawdę. Wiedziałem niewątpliwie, że on jest raczej specjalistą chorób nerwowych, tym, któremu Charcot przepowiedział przed śmiercią, iż będzie królem neurologii i psychiatrii. „A, nie wiem, to bardzo możliwe” — rzekła obecna przy tym Franciszka, która pierwszy raz słyszała nazwiska Charcot i du Boulbon. Ale to jej zgoła nie przeszkadzało mówić: „To możliwe”. Te jej „możliwe”, jej „może może”, „nie wiem” doprowadzały mnie w takich sytuacjach do rozpacz. Miało się ochotę odpowiedzieć jej: „Rozumie się że nie wiesz, skoro nie masz pojęcia o rzeczy, o którą chodzi; jak możesz mówić, czy to możliwe czy nie, nie wiesz nic o tym! W każdym razie, teraz nie możesz mówić, że nie wiesz, co Charcot powiedział doktorowi du

Boulbon etc., wiesz, bośmy ci powiedzieli, a twoje »może może« i twoje »możliwe« nie są na miejscu, skoro to jest pewne”.

Mimo iż du Boulbon był raczej specjalistą mózgu i układu nerwowego, wiedząc, że to jest wielki lekarz, niepospolity człowiek o twórczej i głębokiej inteligencji, błagałem matkę, aby go sprowadziła; nadzieja, iż dzięki trafnej diagnozie uleczy może babkę, przeważała w końcu naszą obawę, iż fakt konsylium może ją przerazić. Zdecydowało matkę to, że babka, utwierdzona w tym pośrednio przez Cottarda, nie wychodziła już i prawie nie wstawała. Próżno odpowiadała nam listem pani de Sevigne o pani de la Fayette: „Nazywano ją wariatką, że nie chce wychodzić. Mówiłam tym osobom tak nagłym w swoich sądach: Pani de la Fayette nie jest wariatką, i obstawałam przy tym. Musiała dopiero umrzeć, aby dowieść, jak słusznie wzbraniała się wychodzić”.

Wezwany doktor du Boulbon potępił, jeżeli nie panią de Sévigne, której mu nie zacytowano, to przynajmniej babkę. Zamiast ją auskultować, zwrócił na nią swoje wspaniałe oczy, w których kryło się może złudzenie, że przenika do głębi chorą, lub chęć wiania w nią tej iluzji — chęć rozmyślna, ale mająca robić wrażenie machinalnej — lub zamiar niezdradzenia przed chorą, że myśli całkiem o czym innym, lub wreszcie zyskania władzy nad nią. Doktor skierował rozmowę na Bergotte’a.

— A, bardzo wierzę, droga pani, to jest cudowne; jakże pani ma rację, że pani kocha jego książki! Ale którą pani woli? A, doprawdy! Mój Boże, istotnie, to może najlepsza. W każdym razie najlepiej skomponowana; Klara jest urocza; a z mężczyzn, który jest pani najsympatyczniejszy?

Myślałem zrazu, że on tak ściąga rozmowę na literaturę, bo go medycyna nudzi, może też aby okazać szerokość swego umysłu, a nawet — w bardziej terapeutycznym celu — aby wrócić chorej otuchę, okazać, że nie jest niespokojny, oderwać ją od jej stanu. Ale później zrozumiałem, że du Boulbon, głośny zwłaszcza jako psychiatra i sławny ze studiów nad mózgiem, chciał sobie przez te pytania zdać sprawę ze stanu pamięci u babki. Prawie niechętnie, z chmurnym i martwym wzrokiem, doktor wypytywał ją po trosze o jej życie. I naraz, jak gdyby dostrzegając prawdę i pragnąc jej dosięgnąć za wszelką cenę, z uprzednim gestem, który jakby z trudem otrząsał się z ostatnich wahań i z naszych możebnych zarzutów, patrząc na babkę jasnym okiem, rzekł swobodnie i tak jakby nareszcie znalazł się na stałym lądzie, punktując łagodnym i ujmującym tonem słowa, których odcienie łagodziła i cieniowała inteligencja. (Zresztą, przez cały czas tej wizyty głos jego zachował swoją naturalną słodycz, a pod krzaczastymi brwiami ironiczne oczy doktora pełne były dobroci).

— Będzie pani zdrowa, w dalekim lub bliskim dniu, a od pani jedynie zależy, aby to było choćby dziś, kiedy pani zrozumie, że nic pani nie jest i kiedy pani wróci do zwykłego życia. Mówiono mi, że pani nie je, nie wychodzi.

— Ale, panie doktorze, ja mam trochę gorączki.

Sprawdził ręką.

— Nie w tej chwili przynajmniej. A przy tym, to ładna wymówka! Czy pani nie wie, że my trzymamy na świeżym powietrzu, że przekarmiamy gruźlików mających do 39°.

— Ale ja mam także trochę białka.

— Nie powinna pani o tym wiedzieć. Ma pani to, co ja opisałem pod nazwą „albuminurii psychicznej”. Każdy z nas miewał, w trakcie jakiejś niedyspozycji, porcję białka, które lekarz co żywo utrwalil przez to, że zwrócił nam na nie uwagę. Na jedną chorobę, którą lekarze leczą swymi medykamentami (twierdzą przynajmniej, że im się to zdarza czasem), wywołują sami dziesięć chorób u osób zdrowych, zaszczepiając im ten czynnik chorobotwórczy, tysiąc razy jadowitszy od wszystkich mikrobów, mianowicie myśl, że się jest chorym. Takie przeświadczenie, potężnie działające na naturę każdego z nas, jest szczególnie groźne u nerwowców. Powiedźcie im, że okno, w istocie zamknięte, otwarte jest za ich plecami, zaczną kichać; kaźcie im uwierzyć, że im wsypano magnezji do zupy, dostaną biegunki; powiedźcie im, że kawa była mocniejsza niż zwykle, nie zmrują oka całą noc. Czy pani myśli, że nie wystarczyło mi zobaczyć pani oczy, usłyszeć sposób mówienia, co mówię, ujrzeć pani córkę i wnuka, który jest do pani tak podobny, aby zgadnąć, z kim mam do czynienia?

— Słuchaj, babcia mogłaby może usiąść, skoro pan doktor pozwala, w jakiej spokojnej alei na Polach Elizejskich, koło tego klombu, gdzie się bawił niegdyś — rzekła matka,

radząc się w ten sposób pośrednio doktora du Boulbon, przy czym głos jej miał coś nieśmiałego i uległego, czego by nie miał, gdyby się zwracała tylko do mnie.

Doktor obrócił się do babki, że zaś był równie wykształcony, jak uczony, rzekł:

— Niech pani idzie na Pola Elizejskie, usiąść koło owego laurowego klombu drogiego wnukowi pani. Laur przyniesie pani zdrowie. Oczyszcza. Zgładziwszy węża Pytona, Apollo wszedł uroczyście do Delf z gałązką lauru w ręce. Chciał się tym ubezpieczyć od zarazków jadowitego zwierzęcia. Widzi pani, że laur jest najstarszym, najczcigodniejszym, i dodam (co ma swoją wartość w terapii, jak i w profilaktyce) najpiękniejszym z antyseptyków.

Ponieważ lekarze większej części tego, co wiedzą, uczą się od chorych, skłonni są wierzyć, że ta wiedza pacjentów jednak jest u wszystkich i spodziewają się zdumieć chorego jakimś spostrzeżeniem nabytym od innych chorych. Toteż, przybierając subtelny uśmiech paryżanina, który, rozmawiając z wieśniakiem, myśli go zdumieć zwrotem z jego gwary, doktor du Boulbon rzekł:

— Prawdopodobnie okresy wiatru przynoszą pani sen, którego by nie zdołały spowodzić najsilniejsze środki nasenne.

— Przeciwnie, panie doktorze, wiatr odbiera mi sen całkowicie.

Ale lekarze są drażliwi: „Hum!” — mruknął du Boulbon marszcząc brwi, tak jakby mu ktoś nastąpił na nogę i jakby bezsenność babki podczas burzy była dlań obrazą osobistą. Ale nie był przesadnie ambitny; ponieważ, jako umysł wyższy, uważał za swój obowiązek nie wierzyć w medycynę, szybko odzyskał filozoficzną pogodę.

Matka moja, w gorącej chęci znalezienia pociechy u przyjaciela Bergotte’a, dodała, na poparcie słów doktora, że kuzynka babki, cierpiąca na nerwy, spędziła siedem lat zamknięta w swojej sypialni w Combray, wstając nie częściej niż raz lub dwa na tydzień.

— Widzi pani, ja nie wiedziałem o tym, a byłbym mógł to pani powiedzieć.

— Ale, panie doktorze, ja mam naturę wręcz odmienną; przeciwnie, zwykle lekarz nie może mnie utrzymać w łóżku — rzekła babka, czy że ją nieco drażniły teorie doktora, czy też pragnąc wyczerpać wszelkie możliwe zarzuty w nadziei, że lekarz je odeprze i że, odchodząc, nie zostawi jej już żadnej wątpliwości co do swojej szczęśliwej diagnozy.

— Ależ oczywiście, pani; nie można mieć, niech mi pani daruje wyrażenie, wszystkich fiołów; nie ma pani tego, ma pani inne. Wczoraj zwiedzałem sanatorium dla neurasteników. W ogrodzie stał na ławce jakiś człowiek, nieruchomy jak fakir, z szyją zgiętą w sposób najwyraźniej bardzo uciążliwy. Kiedy go spytałem, co on tam robi, odpowiedział bez najlżejszego gestu, nie odwracając głowy: „Panie doktorze, mam wielką skłonność do reumatyzmu i do kataru; za wiele używałem ruchu i będąc spocony dotknąłem szyję flanelowego kaftanika. Gdybym teraz wychylił szyję, nie dawszy jej wyparować, jestem pewien, że skończyłoby się zawianiem, a może i bronchitem”. I z pewnością byłoby tak! „Z pana jest ładny neurastenik, tyle panu powiem”, rzekłem. Czy pani wie, co on powiedział, aby mi dowiedzieć, że nie? To że, gdy wszyscy chorzy w zakładzie mają manię ważenia się (tak że musiano zamknąć wagę na kłódkę, aby się przez cały dzień nie ważyli), jego trzeba było przemocą pędzić do wagi, tak dalece nie miał na to ochoty. Był dumny, że nie ma tej manii co drudzy, nie pamiętając, że ma swoją własną i że to ona chroni go od tamtej. Niech pani moje porównanie nie uraża, bo ów człowiek, który bał się poruszyć szyją, aby się nie zaziębić, jest największym poetą naszych czasów. Ten biedny maniak, to najwyższa inteligencja, jaką znam. Niech pani raczy pozwolić, że panią nazwę neurasteniczką. Należy pani do tej wspaniałej i żalosnej rodziny, która jest solą ziemi. Wszystko, co znamy wielkiego, zawdzięczamy nerwowcom. To oni, a nie inni, poczęli religie i stworzyli arcydzieła. Nigdy świat się nie dowie, ile im zawdzięcza, a zwłaszcza ile oni wycierpieli, aby to dać światu. Sycimy się ich boską muzyką, ich pięknymi obrazami, tysiącem subtelności, ale nie wiemy, ile one kosztowały bezsennych nocy, płaczów, spazmatycznego śmiechu, pokrzywek, astmy, epilepsji, lęku przed śmiercią, który jest gorszy niż to wszystko i który pani może zna — dodał, uśmiechając się do babki — bo przyzna pani, kiedy tu wszedłem, nie była pani zbyt spokojna. Myślała pani, że pani jest chora, może niebezpiecznie chora. Bóg wie, jakich chorób objawy odnajdywała pani w sobie. I nie myliła się pani, miała je pani. Neurastenia jest genialnym transformistą. Nie ma choroby, której by nie udawa znakomicie. Naśladuje do złudzenia rozstrzeń żołądka dyspeptyków, nudności ciężarnych, arytmie chorych na serce, gorączkę gruźlików. Zdolna oszukać lekarza, jakże nie miałaby oszukać chorego? Och, niech pani nie sądzi, że ja żartuję z pani cierpień; nie

miałbym prawa ich leczyć, gdybym ich nie umiał zrozumieć. I niech mnie pani posłucha; skuteczna spowiedź powinna być wzajemna. Powiedziałem pani, że bez nerwowej choroby nie ma wielkiego artysty; co więcej — dodał, podnosząc poważnie palec — nie ma wielkiego uczonego. Dodam, że bez nerwowej choroby, na którą sam cierpi, nie ma, nie chcę powiedzieć dobrego lekarza w ogóle, ale przyzwoitego lekarza chorób nerwowych. W patologii nerwowej lekarzem, który nie mówi zbyt wiele osielstw, może być tylko na wpół wyleczony chory, tak jak krytyk, to jest poeta, który przestał pisać wiersze, agent policji, to złodziej który porzucił swoje rzemiosło. Ja, droga pani, nie tranię się, jak pani, o swoje białko, nie mam nerwowego lęku przed jedzeniem i powietrzem, ale za to nie mogę usnąć bez wstawania po dwadzieścia razy i bez sprawdzania, czy drzwi są zamknięte. I w sanatorium, gdzie zastał wczoraj poetę nieporuszającego szyją, byłem właśnie po to, aby zamówić dla siebie pokój, bo, mówiąc między nami, obracam tam swój urlop na kurację, kiedy, zmęczony się leczeniem cudzych chorób, zbyt zaniedbam własne.

— Ależ, panie doktorze, czy i ja powinnam odbyć taką kurację? — spytała babka z przestachem.

— Zbyteczne, droga pani. Objawy, które panią trapią, ustąpią przed moim słowem. A przy tym pani ma przy sobie kogoś bardzo potężnego, którego od tej chwili mianuję jej lekarzem. To pani choroba, pani nadmierna pobudliwość nerwowa. Znałbym sposób uleczenia z niej pani, ale ani mi to w głowie! Wystarczy mi ją ująć w ręce. Widzę na pani biurku książkę Bergotte'a: gdybym panią uleczył z jej newrozy, przestałaby już pani lubić tego pisarza. Otóż, czyż ja czułbym się w prawie zamienienia rozkoszy, jakie on przynosi, na zdrowe nerwy, niezdolne dać pani podobnych wrażeń. Ależ same te rozkosze, to jest potężne lekarstwo, może najpotężniejsze! Nie, ja nie chcę uszczuplać pani aktywności nerwowej. Żądam od niej tylko, aby mnie słuchała; powierzam jej panią. Niech da kontrparę! Siłę, którą wkładała w to, aby się pani nie dać przechadzać i odżywiać dostatecznie, niechaj obróci na to, aby pani kazać jeść, czytać, chodzić na spacer, rozrywać się na wszelki sposób. Niech mi pani nie mówi, że pani jest zmęczona. Zmęczenie, to jest organiczne ziszczenie z góry istniejącej myśli. Niech pani zacznie od tego, aby tę myśl oddalić. A jeżeli się zdarzy jaka mała niedyspozycja (co się może zdarzyć każdemu), będzie to rzecz bez znaczenia, bo owa siła robi z pani, wedle głębokiego wyrażenia Talleyranda, „zdrowego z urojenia”. O, już zaczęła panią leczyć, słucha mnie pani wyprostowana, nie oparłszy się ani razu, oko żywe, mina tęga, i to już trwa dobre pół godziny, a pani się nie spostrzegła na tym. Mam zaszczyt pożegnać panią.

Kiedy, odprowadziwszy doktora du Boulbon, wróciłem do pokoju, gdzie matka siedziała sama, dławiąca mnie od kilku tygodni zgryzota uleciała; czułem, że matka wybuchnie radością i ujrzy moją radość; odczuwałem owo oświecenie, z jakim oczekujemy najbliższej chwili, kiedy obok nas jakaś osoba podda się wzruszeniu; oświecenie, w innej kategorii wrażeń będące jak gdyby lękiem, jakiego doznajemy, kiedy wiemy, że ktoś wejdzie, aby nas przestraszyć przez drzwi dotąd jeszcze zamknięte. Chciałem coś rzec, ale głos mi się załamał; zalewając się łzami, trwałem długo z głową na jej ramieniu, płacząc, przyjmując i kochając boleść, smakując ją teraz, kiedy wiedziałem, że opuściła moje życie, tak jak lubimy się upajać cnotliwymi projektami, których okoliczności nie pozwalają nam urzeczywistnić.

Franciszka podrażniła mnie swoim brakiem udziału w naszej radości. Była mocno wzruszona, bo doszło do straszliwej sceny między lokajem a odźwiernym-donosicielem. Trzeba było, aby księżna w swojej dobroci wdała się w sprawę, aby przywróciła pozór zgody i przebaczyła lokajowi. Bo księżna była dobra i miejsce u niej byłoby idealne, gdyby nie słuchała „gadań”.

Już od kilku dni wiedzano, że babka jest chora, i dopytywano się o jej stan. Saint-Loup pisał do mnie: „Nie chcę korzystać z godzin, kiedy twoja droga babka jest cierpiąca, aby ci czynić wymówki — i o wiele więcej niż wymówki — bez związku z jej osobą. Ale skłamałbym, gdybym ci powiedział, że ci nigdy nie zapomnę perfidii twojego postępowania i że nie zdołam przebaczyć twojej nieszczeroci i zdrady”. Ale przyjaciele moi, przypuszczając, iż babka nie jest zbyt cierpiąca (nie widziano nawet, że jest w ogóle chora), prosili mnie, aby się z nimi spotkać nazajutrz na Polach Elizejskich; mieliśmy wspólnie zrobić jakąś wizytę i pojechać na wieś na obiad, na który się cieszyłem. Nie miałem już powodu wyrzekać się tych przyjemności. Kiedy się mówiło babce, że powin-

na by teraz, w myśl zaleceń doktora du Boulbon, chodzić dużo na spacer, widzieliśmy, że zaraz wspomniała Pola Elizejskie. Mógłbym ją tam zawieźć; podczas gdy będzie sobie siedziała i czytała, ja umówię z przyjaciółmi miejsce spotkania i na dobrą sprawę będę miał jeszcze czas dopaść z nimi kolejki do Ville-d'Avray.

Gdy nadszedł czas, babka nie chciała wyjść, czuła się zmęczona. Ale matka, wymuszona przez doktora du Boulbon, zdobyła się na tę energię, aby się pogniewać i wymusić posłuszeństwo. Mama omal nie płakała na myśl, że babka znów może popaść w swoją nerwową prostracę i że się już z niej nie podniesie. Niepodobna było wymarzyć piękniejszej pogody na przechadzkę. Słońce, zmieniając miejsce, rozpościerało to tu, to tam, niweczając kontur balkonu, swoje wiotkie muśliny i przydawało kamieniowi jakby ciepły naskórek, nieuchwytną złotą otoczkę. Ponieważ Franciszka nie miała czasu przesłać „pneumatyka” córce, opuściła nas zaraz po śniadaniu. To już było bardzo pięknie z jej strony, że przedtem wstąpiła do Jupiena, dla zaszczytu mantylki, którą babka miała włożyć. Wracając właśnie w tej chwili z rannego spaceru, wstąpiłem z nią do krawca. „Czy to młody pan przyprowadza tu panią Franciszkę — rzekł do Franciszki Jupien — czy też pani przyprowadza młodego pana, czy też jakiś szczęśny los sprowadza was oboje?”. Mimo że Jupien nie skończył szkół, przestrzegał równie naturalnie składni, jak, mimo wielu wysiłków, gwałcił ją pan de Guermantes. Skoro Franciszka wróciła z naprawioną mantylką, trzeba było babce się ubrać. Oddaliwszy z uporem pomoc matki, babka ubierała się sama straszliwie długo. Dziwna jest ta nasza obojętność dla naszych najbliższych, dopóki żyją; można by rzec, że są dla nas na ostatnim miejscu, po wszystkich! Teraz, kiedym wiedział, że babka jest zdrowa, uważałem ją za bardzo samolubną, że się tak guzdra, skoro wie, że ja się umówiłem z przyjaciółmi i że mam jechać do Ville-d'Avray. Skoro mi powiedziano dwa razy, że zaraz będzie gotowa, zniecierpliwiony sam zeszedłem na dół. Wreszcie nadeszła, nie przepraszając mnie za opóźnienie, jak to robiła zazwyczaj w takich razach; czerwona i roztargniona jak osoba, która się spieszy i która zapomniła połowę swoich rzeczy, nadeszła, kiedym dochodził do uchylonych szklanych drzwi, które, nie ogrzewając tym ani trochę sieni, wpuszczały z zewnątrz płynne, gwarne i ciepłe powietrze, tak jakby ktoś otworzył zbiornik pośród lodowatych ścian domu.

— Mój Boże, skoro ty masz spotkać przyjaciół, powinnam była włożyć inną mantylkę. Ta trochę smutno wygląda.

Uderzyło mnie, że babka była jakby skongestionowana; pojąłem iż, zapóźniwszy się, musiała się bardzo spieszyć. Kiedyśmy wysiedli z fiakra na Polach Elizejskich koło *avenue Gabriel*, ujrzałem, że babka, nic do mnie nie mówiąc, zwraca się i kieruje do starego, obrosłego zielenią domku, gdzie swego czasu czekałem raz na Franciszkę. Ten sam strażnik, który się tam znajdował wówczas, siedział jeszcze obok „markizy”, kiedy, idąc za babką, która musiała mieć nudności, bo zasłaniała usta ręką, przebyłem stopnie tego sielskiego teatrzyku, wznoszącego się pośród ogrodów. U wejścia, niby w owych jarmarcznych budach, gdzie klaun, gotów do wejścia na scenę i umazany mąką, sam odbiera należność za miejsca, „markiza” wysiadywała stale ze swoją ogromną i brzydką, grubo uszminkowaną gębą, w kapelusiku strojnym w czerwone kwiaty i czarną koronkę, zasadzonym na rudą perukę. Ale nie sądzę, aby mnie poznała. Strażnik, zaniedbując dozór zieleni, do której dostrojono barwę jego uniformu, rozmawiał z nią, siedząc obok.

— Zatem — rzekł — pani jest wciąż tutaj. Nie myśli pani wycofać się z interesu?

— Dlaczego, po co, kochany panie. Niech pan sam powie: gdzie byłoby mi lepiej niż tutaj, gdzie miałabym większe wygody i komfort? A przy tym jest ruch, rozrywka; to istny mały Paryż; przez klientów wiem wszystko, co się dzieje. Ot, proszę pana, ten, co wyszedł stąd może pięć minut temu, to urzędowa osoba, wysoka, bardzo wysoka! I co, proszę pana — wykrzyknęła z zapalem, jakby gotowa poprzec to twierdzenie siłą, w razie gdyby stróż porządku powątpiewał o jego ścisłości — od ośmiu lat, rozumie pan, w każdy dzień, jaki pan Bóg stworzył, punktualnie z uderzeniem trzeciej, jest tutaj, zawsze grzeczny, nigdy nie podniesie głosu, nic nie powala, i siedzi dłużej niż pół godziny, aby przeczytać gazetę, załatwiając swoje. Jednego jedynego dnia nie przyszedł. Na razie nie spostrzegłam się; ale naraz wieczorem powiedziałam sobie: „O, ten mój gość nie przyszedł, może umarł”. To mnie trochę pikło w serce, bo ja się przywiązuję do ludzi, kiedy są na swoim miejscu. Toteż byłam bardzo kontenta, ujrzawszy go na drugi dzień; zagałam go: „Dzień dobry panu, a co, czy nic się panu nie zdarzyło wczoraj?”. Odpowiedział, że jemu się nic nie zdarzyło,

ale że żona mu umarła i taki był poruszony, że nie mógł przyjść. Miał minę smutną, i co się dziwić, rozumie pan, żyli z sobą od dwudziestu pięciu lat; ale i tak wydawał się kontent, że znów tu jest. Czuło się, że ten wypadek zakłócił jego przyzwyczajenia. Staralam się go pocieszyć, rzekłam: „Nie trzeba się poddawać. Niech pan przychodzi jak zawsze; w pańskim zmartwieniu zawsze to mała dystrakcja”.

Głos „markizy” złagodniał, bo stwierdziła, że opiekun grządek i klombów słuchał jej przyjaźnie, nie myśląc się sprzeciwiać, siedząc ze swoją niewinną szpadą w pochwie, robiącą wrażenie raczej jakiegoś ogrodniczego narzędzia lub rolniczego symbolu.

— A przy tym — rzekła — ja wybieram swoich klejentów, nie każdego wpuszczam do moich salonów. Bo ja to tak nazywam. Czy to nie istny salon z tymi kwiatami? Że mam klejentów bardzo grzecznych, to ten to ów przyniesie mi ładną gałązkę bzu, jaśminu albo mój ulubiony kwiat — różę.

Myśl, żeśmy się może zgubili w oczach tej damy, nie przynosząc jej nigdy bzu ani róż, przypawiła mnie o rumieniec; aby fizycznie uniknąć jej ujemnego sądu lub być osądzonym jedynie zaocznie, skierowałem się ku wyjściu. Ale w życiu nie zawsze najuprzejmiejsze przyjęcie spotyka tych, co przynoszą piękne różę, bo „markiza”, przypuszczając, że się nudzę, zwróciła się do mnie:

— Chce pan, żebym panu otworzyła gabinecik?

A kiedy odmówilem:

— Naprawdę, nie chce pan? — dodała z uśmiechem — myślałam to z dobrego serca, ale wiem, że są potrzeby, dla których obudzenia nie wystarczy ofiarować je gratis.

W tej chwili szybko weszła lichy ubrana kobieta, najwyraźniej w nagłym położeniu. Ale widać nie należała do świata „markizy”, bo ta, z całym okrucieństwem snoba, rzekła sucho:

— Wszystko zajęte.

— Czy długo? — spytała biedna dama, czerwona przy swoich żółtych kwiatkach.

— A, moja pani, radzę pani iść gdzie indziej, bo widzi pani, jeszcze dwóch panów tutaj czeka, a mam tylko jeden gabinet, wszystkie inne są w reparacji.

— Wygląda mi to na lichą klejentelę — rzekła „markiza”. — To coś nie dla mnie, nie zna to czystości, nie zna szacunku, trzeba by mi potem godzinę szorować po takiej damuli. Nie żałuję jej dwóch su.

W końcu babka wyszła. Bojąc się, że się nie postara napiwkami zatrzeć niedelikatności, jaką okazała, siedząc tak długo, ulotniłem się, aby nie mieć udziału w porcji wzgardy, jaką z pewnością okaże babce „markiza”. Szedłem ścieżką, ale powoli, aby babka mogła mnie łatwo dogonić i iść dalej ze mną. Co się też stało niebawem. Myślałem, że babka mi powie: „Dałam ci długo czekać na siebie; mam nadzieję, że jeszcze złapiesz swoich przyjaciół”. Ale nie rzekła ani słowa; tak iż trochę zawiedziony, nie chciałem się odezwać do niej pierwszy. W końcu, spojrzawszy na nią, zauważyłem, że idąc koło mnie, obraca głowę w drugą stronę. Bałem się, że znów ma nudności. Przyjrzałem się lepiej, uderzył mnie jej nierówny chód. Kapelusz miała przekrzywiony, płaszcz powalany, wydawała się zmieszana i niezadowolona; miała czerwoną i wzruszoną twarz osoby, którą dopiero co potrafił powóz lub którą wydobyto z rowu.

— Bałem się, czy nie miałaś nudności, babciu; czy czujesz się lepiej? — spytałem.

Pomyślała z pewnością, że nie sposób nie odpowiedzieć, bez obudzenia mego niepokoju.

— Słyszałam całą rozmowę między „markizą” a strażnikiem — rzekła. — To był kompletny styl Guermentes i „paczki” Verdurinów. Mój Boże! jakież oni mieli dworzyston!

I dodała jeszcze z naciskiem, cytując słowa swojej markizy, pani de Sevigne: „Słuchając ich, pomyślałam, że mi gotują rozkosze pożegnania”.

Takie były jej słowa, w które włożyła całą swoją finezję, swoje upodobanie w cytatach, znawstwo klasyków, trochę więcej nawet niż to robiła zazwyczaj, jakby dla okazania, że włada tym wszystkim. Ale raczej odgadłem niż usłyszałem te słowa, które babka wymówiła chrapliwym głosem, ściskając zęby bardziej, niżby to mogła tłumaczyć obawa wymiotów.

— Babciu — rzekłem dość lekko, aby się nie zdawało, że zbyt serio biorę jej niedyspozycję — skoro się czujesz nieszczególnie, wracajmy do domu, jeżeli pozwolisz. Nie będę oprowadzał po Polach Elizejskich babci, która ma nudności.

— Nie śmiałam ci tego proponować z powodu twoich projektów — odparła. — Biedny mały! Ale skoro sam chcesz, to będzie w istocie rozsądniej.

Bąłem się, aby babka nie zauważyła trudności, z jaką wymawia te słowa.

— No — rzekłem szorstko — nie męcz się mówieniem; skoro ci jest niedobrze, to nie ma sensu, zaczekaj choć, aż wrócimy.

Uśmiechnęła się smutno i ścisnęła mi rękę. Zrozumiała, że nie ma co ukrywać przede mną tego, com odgadł zaraz: że miała przed chwilą mały atak.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/strona-guermantes-czesc-pierwsza-tom-drugi>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, Strona Guermantes, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1938.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Magdalena Szudziak, Paulina Choromańska, Tadeusz Boy-Żeleński.

Okładka na podstawie: Viator.com@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0712-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.